KAROL DICKENS

DZIEŁA KAROLA DICKENSA

KAROL DICKENS

DZIEŁA

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM
ANDRZEJA TRETIAKA
PROF. UNIWERSYTETU WARSZAWSK.

OLIWER TWIST

W. Tarnowska

OLIWER TWIST

POWIEŚĆ

TOM I

Biblioteka Chorzelów-dwór

WARSZAWA
WYDAWNICTWO GUTENBERGA

Drukiem Zakładów Graficznych „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy

Rozdział pierwszy.

O miejscu urodzenia Oliwera Twista i okolicznościach, towarzyszących jego przyjściu na świat.

Wśród wielu zakładów publicznych, jakie posiadają wszystkie mniejsze i większe miasta Anglji, znajdują się również i Domy Robocze. Posiadaniem podobnego Domu Roboczego szczyciło się także pewne miasteczko, którego nazwy z wielu i bardzo ważnych przyczyn wymienić nie mogę, a nieprawdziwego nadać mu nie chcę. W tym oto domu urodził się na tym padole płaczu i przypadku ów śmiertelnik, którego imię widnieje na czele tego rozdziału. Kiedy to nastąpiło, nadmieniać nie myślę, nie sądzę bowiem, aby ta wiadomość mogła mieć dla czytelnika jakąkolwiek wartość.

Gdy dziecko to wprowadzone zostało przez lekarza gminnego na ten świat cierpień i boleści, bardzo było wątpliwe, czy pożyje ono tak długo przynajmniej, by można mu było nadać jakieś imię. W tym wypadku nie mielibyśmy prawdopodobnie o niem żadnych wiadomości, a gdyby się kiedykolwiek jakie ukazały, zawarte w kilku wierszach, byłyby przynajmniej miały nieoszacowaną tę zasługę, że mogłyby uchodzić za wzór zwięzłości i wiarogodności dla życiorysów wszystkich piśmiennictw, wszystkich wieków i narodów.

Choć wcale twierdzić nie myślę, że jest to wypadkiem najszczęśliwszym i najpomyślniejszym dla

istoty ludzkiej, gdy urodzi się w Domu Roboczym, to jednak powiedzieć muszę, że w tym szczególnym wypadku było to najszczęśliwszem wydarzeniem, jakie tylko Oliwera Twista spotkać mogło. Niezmiernie bowiem trudno było skłonić go do tego, aby sam przyjął na siebie funkcję oddychania — czynność bardzo niemiła, do której jednak zmusza nas przyroda, abyśmy mogli istnieć samodzielnie i swobodnie; leżał więc, chwytając powietrze, na kawałku lichego materaca, a los jego tak się ważył między tym a tamtym światem, iż przez chwilę zdawało się, że najpodobniej przechyli się na korzyść ostatniego i to w sposób dość stanowczy. Gdyby Oliwer był wówczas otoczony zapobiegliwemi babkami i trwożliwemi ciotkami, zręcznemi akuszerkami i głęboko uczonymi a biegłymi lekarzami, byłby się niezawodnie i niezaprzecznie przeniósł do wieczności. Ale że nie było przy nim nikogo, z wyjątkiem biednej, starej kobieciny, trochę podchmielonej niezwykłą porcją piwa, i lekarza z urzędu, utrzymywanego przez gminę, Oliwer mógł przeto rozprawić się z przyrodą bez jakiejkolwiek przeszkody.

Wynikiem tej walki było, iż Oliwer, po wielu wysiłkach, kichnął wreszcie i mieszkańcom Domu Roboczego obwieszczać zaczął o nowym ciężarze, spadającym na gminę, tak donośnym wrzaskiem, jakiego się tylko spodziewać było można po chłopcu, posiadającym to wysoce pożyteczne narzędzie głosu niedłużej jak trzy zaledwie minuty.

Skoro tylko Oliwer dał ten pierwszy znak, świadczący o swobodnem i samodzielnem użyciu swoich płuc, kołdra, zeszyta z różnobarwnych płatków i niedbale porzucona na żelaznem łóżku, nagle się ruszyła, a głowa i twarz młodej kobiety zwolna pod-

niosła się z poduszki i słabym głosem, dość niezrozumiale, wymówiła te słowa:

— Pozwólcie, niech zobaczę dziecko, a potem umrę!

Lekarz siedział obrócony twarzą do ognia płonącego na kominku, po kolei grzejąc sobie przy nim ręce, a potem zacierając je; gdy usłyszał głos młodej kobiety, wstał, zbliżył się do łóżka i rzekł z daleko większą dobrodusznością i uprzejmością niżby się tego po nim spodziewać można było:

— Nie powinnaś jeszcze myśleć o śmierci, moja kochana!

— Niechże Bóg uchowa, moje serce! — zawołała dozorczyni, pospiesznie kryjąc w kieszeni wielką zieloną flaszkę, z której właśnie z zapałem pociągnęła w kąciku kilka łyków — niechże Bóg uchowa, moje serce! Gdy pożyjesz tak długo, jak ja, i będziesz miała trzynaścioro dzieci, jak ja, z których wszystkie pomarły prócz dwojga, będących tutaj razem ze mną w Domu Roboczym, to inaczej mówić będziesz, moje serce; niechże Bóg uchowa! Pomyśl tylko, co to znaczy być matką! Oto jest ta ptaszyna najmilsza!

To wskazanie na obowiązki macierzyńskie nie musiało widocznie zrobić na chorej wielkiego i pożądanego wrażenia, kiedy na to wzruszyła tylko głową i wyciągała ręce po dziecko. Lekarz podał jej synka, a ona namiętnie przycisnęła blade i zimne usta do jego czoła, potem przesunęła ręką po czole i oczach. Potoczyła wzrokiem osłupiałym po izbie, zadrżała, upadła i — skonała. Użyto wszelkich starań, aby ją przywrócić do życia; nacierano jej ręce, nogi, piersi, skronie, lecz krew w jej żyłach zastygła na wieki. Mówiono jej o nadziei i pociesze... lecz ani nadziei ani pociechy od dawna już dla niej nie było.

— Już skończyła, pani Thingummy — nareszcie odezwał się lekarz.

— Biedna kobiecina! Prawda, już skończyła — odpowiedziała dozorczyni, podnosząc z kołdry korek od zielonej butelki, który wypadł jej, gdy schylała się po dziecko, aby je zabrać z rąk trupa. — Biedna kobiecina!

— Niekoniecznie trzeba posyłać po mnie, gdyby dziecko w nocy bardzo krzyczało, moja pani Thingummy, — rzekł lekarz, wdziewając rękawiczki z namysłem. — Będzie zapewne bardzo niespokojne. Dajcie mu trochę papki.

Potem włożył kapelusz na głowę, a wychodząc, raz jeszcze zatrzymał się przy łóżku i dodał:

— Wcale niebrzydka była z niej kobieta!... Czy nie wiesz, skąd przybyła?

— Przywieziono ją tutaj zeszłej nocy na rozkaz wójta — odpowiedziała staruszka. — Znaleziono ją leżącą na ulicy... Musiała odbyć niemiłą podróż, bo trzewiki miała podarte. Lecz skąd przyszła i dokąd szła, o tem nikt nie wie.

Lekarz nachylił się nad nieboszczką i podniósł jej lewą rękę.

— Stare dzieje! — rzekł, potrząsając głową — nie ma obrączki ślubnej. Dobranoc!

Szanowny lekarz poszedł sobie na obiad, a dozorczyni, posiliwszy się jeszcze trochę płynem z butelki, usiadła przy ogniu na małym stołeczku i zaczęła dziecię powijać i ubierać.

Jakże pięknym przykładem potęgi ubioru był ten mały Oliwer Twist!... Zawinięty w prześcieradło, stanowiące dotychczas jedyne jego okrycie, mógł równie dobrze uchodzić za dziecko wielkiego pana, jak i żebraka, a najdumniejszy nawet cudzoziemiec nie byłby w stanie rozpoznać i oznaczyć tego stopnia w układzie społecznym, do którego on należał. Gdy

jednak owinięto go w starą, bawełnianą sukienkę, której barwa wypłowiała od długiego używania, oddającą już bez mała sto razy tę samą usługę, został natychmiast naznaczony piętnem pewnego stanu i spadł bardzo nisko, bo aż na stopień wychowanka gminy, sieroty z Domu Roboczego, tej nędznej, napół z głodu umierającej istoty, która wlokąc w nędzy swe życie, przez wszystkich pogardzona i potrącana, od nikogo nie doznaje litości.

Oliwer krzyczał co miał sił. Lecz gdyby mógł już wtedy wiedzieć o tem, że jest sierotą, będącym na łasce rady gminnej i dozorców Domu Roboczego, byłby może krzyczał jeszcze bardziej.

Rozdział drugi.

O młodości, wychowaniu i odżywianiu Oliwera Twista.

Przez następne osiem do dziesięciu miesięcy Oliwer Twist był ofiarą systematycznej zdrady i oszukaństwa — gdyż karmiono go bez piersi. Władze Domu Roboczego doniosły w swojem urzędowem sprawozdaniu o wygłodniałym i zatrważającym stanie tej nędznej sieroty, a zwierzchność gminy z wszelką powagą i godnością kazała dowiedzieć się u władz Domu Roboczego, czy przypadkiem niema takiej kobiety w ich zakładzie, któraby mogła Oliwerowi Twistowi dostarczyć tego pokarmu i pocieszenia, jakich mu koniecznie było potrzeba, na co, po urzędowej zwłoce, z należnym władzy uszanowaniem odpowiedziano, iż podobnej kobiety w Domu Roboczym niema.

Wskutek tego zwierzchność gminy wspaniałomyślnie i miłościwie raczyła postanowić, aby Oliwera w y d z i e r ż a w i o n o, czyli innemi słowy, aby oddano go do innego, siostrzanego zakładu, od-

ległego prawie o trzy mile, w którym już dwudziestu do trzydziestu podobnych jemu przestępców wobec ustaw dla ubogich pełzało po podłodze, nie przeciążonych nigdy ani zbytecznem jadłem, ani też zbytecznym ubiorem. Ci mali złoczyńcy przebywali tam pod macierzyńską opieką pewnej staruszki, która ich za tygodniową opłatą siedmiu pensów od głowy niezmiernie czule przyjmowała do siebie i zawsze opatrywała tak troskliwie, iż żadne z nich nigdy nie zachorowało na przeładowanie żołądka. Bo też siedem pensów tygodniowej opłaty od głowy, zwłaszcza przy angielskiej drożyźnie, to ładna i okrągła sumka! Za siedem pensów dostać można wiele, czasem nawet przeładować żołądek, a to niebezpieczne!

Staruszka owa była kobietą niepospolitego doświadczenia i rozumu; znała się ona dobrze na tem, co dzieciom wychodzi na pożytek, ale też jeszcze lepiej wiedziała o tem, co, kiedy i pod jakiemi warunkami może wyjść pożytek jej samej; dlatego też, kierując się roztropnością i przemyślnością, większą część tej tygodniowej zapłaty, jako dobra gospodyni, zachowywała dla siebie, a wzrastające pokolenie gminy skazywała na mniejsze jeszcze porcje, niż mu pierwotnie były przeznaczone; przez co, umiejąc w tak wielkiej głębi znaleźć jeszcze większą głębię, jasno dowiodła, iż była nietylko niepospolitą gospodynią ale i filozofką.

Komuż nie jest znajoma powieść o pewnym wielkim filozofie, który drogą głębokich dociekań doszedł do stworzenia pożytecznej teorji, że koń może żyć bez jadła, doprowadził swego konia do tego, że wystarczyło mu jako pożywienie jedno źdźbło słomy dziennie. I niezawodnie byłby doczekał się z niego tak dziarskiego i ognistego rumaka, jakiego nikt jeszcze dotąd nie miał, gdyby

śmierć zwierzęcia nie była nastąpiła właśnie na dwadzieścia cztery godziny przedtem, zanim dostało ono po raz pierwszy czysto-filozoficzną strawę z powietrza. Na nieszczęście dla naszej praktycznej filozofki, której opiece i staraniom mały Oliwer Twist był poruczony, tenże sam skutek wieńczył również system jej gospodarności i oszczędności; zwykle bowiem zdarzało się, iż w tak miłej dla staruszki chwili, kiedy dziecko znalazło sposób żyć jak najmniejszą ilością jak najlichszej strawy, z dziesięciorga drobiazgu ośmioro do dziewięciorga jakby na złość umierało, to z zimna lub głodu, to wskutek upadku w ogień, albo też uduszenia się jakimkolwiek przypadkiem. Zawsze jednak biedna, nędzna istota przenosiła się na tamten świat i dostawała się do swoich ojców, którzy jej na tym świecie wcale nie byli znani.

Jeżeli zaś z powodu niezwykłej śmiertelności sierot gminy, których nie zauważono przy składaniu łóżek, albo też przez nieostrożność przy praniu bielizny oparzono gorącą wodą, — następowało ściślejsze niż zazwyczaj śledztwo, co się jednak zdarzało bardzo rzadko, gdyż gospodarna staruszka jak najusilniej potrafiła unikać wszystkiego, co miało najmniejsze podobieństwo do prania bielizny, lub jeżeli sądy przysięgłych coś sobie przywidziały i żądały, aby odpowiadano im na ich nudne pytania, albo jeżeli gmina zaczęła się wtrącać w nieswoje rzeczy i zamyślała podać do władz wyższych zaskarżenie opatrzone licznemi podpisami: wtedy umiano zaradzić zwykle podobnie nieprzyzwoitym pomysłom zaświadczeniem lekarza, lub też złożeniem przysięgi woźnego gminy; pierwszy bowiem dokonywał zawsze wiwisekcji trupa i nigdy w nim niczego nie znalazł, — (co było rzeczywiście jak największą prawdą); drugi zaś bez pytania składał przysięgę, co

utrzymywało powagę urzędników zakładu, a z jego strony było niemałem poświęceniem. Prócz tego zbiór zwierzchników gminy odprawiał także czasami pielgrzymki do owego zakładu; zawsze jednak w wilję tego dnia wysyłał woźnego z zapowiedzią swego przybycia. To też zwierzchnicy zastawali wszystko w porządku, dzieci umyte i czysto ubrane. Czegoż więcej gmina mogła żądać?...

Niemożna oczekiwać, aby system wydzierżawiania dzieci mógł przynosić nadzwyczajne korzyści. To było też powodem, dlaczego dziewiąta rocznica urodzin Oliwera Twista zastała go chłopcem bladym, wynędzniałym i bardzo szczupłutkim. Lecz przyroda, czy też dziedziczność, uposażyła jego klatkę piersiową w niepospolicie silne płuca, które z powodu szczupłej strawy zakładu, miały dużo miejsca do rozszerzenia się i rozrostu. Tej okoliczności należy może przypisać fakt, że Oliwer wogóle dożył dziewiątej rocznicy swych urodzin. Bądź co bądź nie ulegało żadnej wątpliwości, że to była właśnie dziewiąta rocznica jego urodzin, a on obchodził ją w piwnicy na węgle, w dobranem towarzystwie dwuch innych rówieśników, którzy się z nim naprzód dla zdrowia pobili, później zaś zostali zamknięci do piwnicy za popełnienie tej wielkiej zbrodni, iż poważyli się być głodnymi. W tym czasie właśnie pani Mann, owa poczciwa gospodyni domu, przestraszyła się niespodziewanego widoku pana Bumble, woźnego gminy, który się dobijał do drzwiczek od bramy ogrodowej.

— O, dla Boga Najwyższego! Czy to wy, panie Bumble? — zawołała pani Mann, wychylając głowę przez okienko z przedziwnie udanem uniesieniem radości. — Zosiu, wyprowadź natychmiast Oliwera i jego dwuch towarzyszów z piwnicy i umyj ich

spiesznie... O dalibóg, panie Bumble! Jakże się cieszę, że pana widzę.

Lecz pan Bumble był to mężczyzna otyły i w dodatku bardzo popędliwy. Zamiast tedy odpowiedzieć mile i przychylnie na tak serdeczne powitanie, wstrząsnął gniewnie małemi drzwiczkami i uderzył w nie nogą z taką siłą, na jaką się tylko noga woźnego gminy kiedykolwiek zdobyć mogła.

— O, na miłość Boga! — wołała pani Mann, i wybiegła ze swojego mieszkania, będąc już pewną, iż tymczasem wyprowadzono z piwnicy owych trzech chłopców, ubrano ich i umyto — o, na miłość Boga! zapomniałam całkiem, że drzwiczki z wewnątrz są zamknięte, aby ta kochana dziatwa nie wybiegała na ulicę... Proszę wejść, panie, proszę wejść, proszę.....

A każdemu słowu tych zaprosin towarzyszył taki dyg wdzięczny i powabny, że byłoby zmiękło nawet serce samego wójta gminy, lecz serce pana Bumble pozostało nieporuszone.

— Czy sądzisz, moja mości pani Mann — łajał gniewnie pan Bumble, chwyciwszy mocniej za laskę — że to jest przyzwoicie i zgodnie z winnem uszanowaniem dać tak długo czekać urzędnikowi gminy za bramą od ogrodu?

— Wiem o tem, wiem, panie Bumble! Ja poszłam tylko uwiadomić o pańskiem przybyciu kochane dzieci, które pana tak bardzo kochają — odpowiedziała pani Mann z nadzwyczajną pokorą. Pan Bumble miał wysokie pojęcie o potędze swej wymowy i o swojej godności. Pierwszą już okazał, a drugą sobie wywalczał, zmiękł więc trochę.

— Dobrze już, moja pani Mann — odpowiedział cokolwiek spokojniej; — być może, iż się rzecz tak ma, jak mówisz, być może. Proszę iść naprzód, mo-

ja pani Mann. Ja tu przychodzę z urzędu i mam spełnić pewne polecenie.

Pani Mann zaprowadziła woźnego do małej izdebki z ceglaną posadzką, podała mu krzesło i z nadzwyczajną uprzejmością położyła przed nim na stoliku jego laskę i jego trójgraniasty kapelusz. Pan Bumble otarł pot, który z powodu przechadzki wystąpił mu na czoło, spojrzał z upodobaniem na swój trójgraniasty kapelusz i uśmiechnął się. Tak jest, uśmiechnął się. Wszak woźni są tylko ludźmi i dlatego pan Bumble się uśmiechnął.

— Niech mi pan, panie Bumble, nie weźmie za złe tego, co powiem... — ozwała się pani Mann z ujmującą słodyczą — droga trochę daleka, pan sam wie o tem... w przeciwnym razie nie poważyłabym się wspomnieć... możeby się pan napił kapkę dla nabrania sił, panie Bumble?

— Ani kapki... ani kapki!.. — odpowiedział pan Bumble, przesuwając prawą ręką w powietrzu z pewnym spokojem i godnością.

— Ale przecie — nalegała pani Mann, umiejąc dobrze ocenić dźwięk głosu, z jakim została wyrzeczona odmowa, i rozumiejąc ruch ręki, który jej towarzyszył. — Tylko małą kapeczkę, panie, wraz z kropelką zimnej wody i odrobinką cukru.

Pan Bumble chrząknął.

— Tylko kapeczkę — mówiła pani Mann przekonywująco.

— Cóż tam pani masz takiego? — zapytał nareszcie woźny.

— Coś, co muszę mieć zawsze pod ręką dla dzieci na wypadek, gdyby które z nich zachorowało. Nalewkę, jeżeli pan zechce przyjąć, panie Bumble — odpowiedziała pani Mann, idąc do stojącej w kącie szafki, z której wyjęła butelkę i szklankę. — Czyściutką kontuszówkę!

— I ty, moja droga pani Mann, dajesz dzieciom wódkę? — zawołał Bumble ze zdziwieniem, śledząc nader zajmujące widowisko mieszania wódki z wodą.

— Bóg widzi, że to czynię, chociaż w tych czasach wódka jest bardzo droga — odpowiedziała poczciwa gospodyni; — wszak wie pan sam, żebym tego nie zniosła, aby które z tych biedactw miało cierpieć.

— To prawda, to prawda — potwierdził Bumble — wiem ja o tem dobrze, że jesteś kobietą litościwą. — W tym momencie pani Mann postawiła przed nim szklankę.

— Przy najbliższej sposobności wspomnę o tem przełożonym gminy, droga pani Mann (przysunął szklankę do siebie). Nawet rodzona matka nie mogłaby być dla nich tkliwsza (zmieszał wodę z cukrem i wódką).

— Piję... piję za zdrowie Twoje, moja pani Mann. I jednym łykiem wychylił szklankę odrazu do połowy.

— A teraz pomówmy o naszych sprawach urzędowych — ozwał się wkońcu woźny gminy, dobywając z bocznej kieszeni skórzany pugilares. — Znajduje się tutaj chłopiec, któremu na chrzcie dano imię Oliwer... Oliwer Twist. Ten właśnie skończył dzisiaj osiem lat.

— Niech go Bóg od złego uchowa! — rzekła pani Mann, czerwieniąc sobie oczy końcem fartuszka.

— Pomimo wyznaczonej nagrody dziesięciu funtów, którą później podwyższono do dwudziestu... pomimo niesłychanych, niepojętych, śmiało mogę powiedzieć, wysiłków zwierzchności gminy i władz Domu Roboczego — mówił Bumble — niepodobna było dotąd jeszcze wykryć, kto był jego ojcem, ani też dowiedzieć się imienia, godności i rodu jego matki!

Pani Mann załamała ręce ze żdziwienia; po chwili jednak namysłu rzekła:

— Jakimże więc sposobem ma on imię i nazwisko?

Woźny wyprostował się z dumą na krześle i odpowiedział:

— Ja mu dałem to imię!...

— ...Pan, panie Bumble?

— Tak jest, ja, pani Mann. Nadajemy naszym sierotom nazwiska w porządku alfabetycznym. Na ostatniego przed nim padło z kolei litera S, nazwałem go tedy Swuble. Ten przypadł na T — nazywa się przeto Twist. Następny po nim będzie się nazywał Unwin, a ten, który po nim przyjdzie — Vilkins. Mam wypisane nazwiska na wszystkie litery abecadła od początku aż do końca; a gdy dojdę do Z, to znowu zaczynam od A.

— Jak widzę, to z pana prawdziwy uczony, — rzekła pani Mann.

— Być może — odpowiedział woźny, któremu ta uwaga widocznie mocno pochlebiła — być może... moja pani Mann.

Skończywszy potem wódkę z wodą, dodał:

— Oliwer już jest za duży, żeby mógł tutaj dłużej pozostać; zwierzchność gminy postanowiła przeto odebrać go napowrót do Domu Roboczego, a ja przyszedłem tu sam osobiście, aby go wziąć ze sobą; bądź więc tak dobra, moja pani Mann, i każ mi go natychmiast przywołać.

— Ja sama pójdę zaraz po niego — odpowiedziała pani Mann i wyszła z izby.

Pan Bumble niedługo musiał czekać. Albowiem dobrotliwa opiekunka wprowadziła niebawem do izby Oliwera, którego tymczasem oczyszczono z grubej skorupy brudu, pokrywającego jego ręce, o tyle przynajmniej, o ile to się przez jednorazowe umycie dało uskutecznić.

— Ukłońże się temu panu, Oliwerze! — rzekła pani Mann do chłopca.

Oliwer skłonił się nisko; lecz niewiadomo było, czy woźnemu na krześle, czy też jego trójgraniastemu kapeluszowi na stole.

— Czy chętnie pójdziesz ze mną, Oliwerze? — zapytał pan Bumble uroczyście.

Oliwer chciał właśnie odpowiedzieć, że pójdzie chętnie z kimkolwiek bądź, byle tylko wydostać się raz z tego zakładu, gdy podniósłszy oczy w górę, spotkał się z wejrzeniem pani Mann, która stała za krzesłem woźnego; pogroziła mu z wściekłością pięścią. Pojął natychmiast skinienie, gdyż pięść pani Mann zbyt często zostawiała po sobie ślady na jego ciele, aby ów ruch porozumiewawczy mógł przejść bez wrażenia.

— Czy pani także pójdzie ze mną? — zapytał biedny Oliwer.

— Nie, nie pójdzie — odparł woźny; ale może cię czasami odwiedzić.

Nie była to wielka pociecha dla biednego chłopczyny; lecz choć był jeszcze mały, posiadał już jednak na tyle rozsądku, że natychmiast zrozumiał, iż wypada wielki żal udawać. Jeżeli zaś chodziło o to, żeby się zalać rzewnemi łzami, nie przedstawiało to zbyt wiele trudności dla nieszczęśliwego chłopczyny. Głód i świeżo odebrane chłosty pomagały mu do tego silnie. Oliwer tedy rozpłakał się jak najszczerzej.

Pani Mann uściskała go sto razy i przyniosła mu kromkę chleba z masłem, z czego Oliwer był bardzo rad, a drugą dała mu na drogę, żeby nie wyglądał bardzo wygłodniały, gdy przybędzie do Domu Roboczego.

Z kromką tedy chleba z masłem w jednej ręce i małą, szarą czapeczkę na głowie, — tem piętnem każdej sieroty gminy, — Oliwer opuścił, w towa-

rzystwie pana Bumble, smutne mieszkanie, w którem ani jedno przyjazne słowo, ani jedno przychylne spojrzenie nie rozweseliło pierwszych lat jego dzieciństwa. A jednak smutek i boleść opanowały jego dziecięce serce, gdy zamknęła się za nim brama ogrodowa. Chociaż owi towarzysze wspólnej nędzy, których tutaj zostawił, byli biedni i mali, byli oni przecież jednocześnie jedynymi jego przyjaciółmi, i uczucie zupełnego opuszczenia i samotności na tym niezmiernym obszarze świata opanowało poraz pierwszy serce chłopczyny.

Pan Bumble pospieszył szerokim krokiem, a mały Oliwer, uczepiwszy się poły jego ubrania, obszytego złotemi galonami, biegł obok, pytając za każdym ćwierćmilowym słupkiem, czy jeszcze daleko, na co pan Bumble odpowiadał zawsze krótko i gniewnie, gdyż czułość chwilowa, jaką wznieca w sercach niektórych ludzi wódka z wodą, wywietrzała już zupełnie i pan Bumble, nawskroś przejęty poczuciem swej godności, stał się napowrót woźnym całą gębą.

Oliwer nie bawił nawet kwadransa w murach Domu Roboczego, zostając pod opieką staruszki, której go woźny powierzył i pokazał zaledwie drugą kromkę chleba z masłem, kiedy pan Bumble już powrócił i oświadczył mu, że to jest godzina zboru władz Domu Roboczego, wójta i ławników, i że natychmiast odbędzie się posiedzenie.

Oliwer, nie mając jasnego i dokładnego pojęcia, co to jest zbór i ławnicy, przeląkł się tą wiadomością, żdziwił i nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Nie miał jednak czasu, by się dobrze nad tem zastanowić, gdyż pan Bumble uderzył go raz laską w głowę, a drugi raz w plecy, aby go do pośpiechu zachęcić. Rozkazawszy mu potem iść za

sobą, zaprowadził go do obszernej, wybielonej izby, w której siedziało ośmiu do dziesięciu jegomościów, a przewodniczył im jegomość nadzwyczaj otyły, z obliczem pełnem i rumianem, zasiadający w wywyższonym nieco ponad inne fotelu.

— Ukłońże się panom zboru i ławnikom — napomniał go woźny.

Oliwer otarł kilka łez, które mu się z oczu potoczyły, i ukłonił się szczęśliwie stołowi.

— Jak się nazywasz, chłopcze? — zapytał go ów rumiany jegomość z wysokiego krzesła.

Oliwer tak się przeląkł widoku tylu panów, że zaczął drżeć na całem ciele; woźny przytem tak silnie a nieznacznie uderzył go z tyłu kułakiem, że się biednemu chłopczynie aż na płacz zebrało; te dwie rzeczy były powodem, że odpowiedział zborowi głosem drżącym i niewyraźnym, wobec czego jeden z obecnych jegomościów w białej kamizelce nazwał go głupim chłopcem. Oczywiście był to bardzo skuteczny środek do uspokojenia Oliwera i obudzenia w nim śmiałości i odwagi.

— Chłopcze — odezwał się powtórnie ów jegomość z wysokiego krzesła — posłuchaj. Sądzę, że wiesz, iż jesteś sierotą?

— Co to znaczy, proszę pana — zapytał biedny Oliwer.

— Ten chłopiec jest rzeczywiście głupi... wiedziałem o tem — wtrącił jegomość w białej kamizelce.

Jeżeli to prawda, że bywają stworzenia, obdarzone władzą odczucia istot, do tegoż samego rzędu co i one należących, to i nasz jegomość w białej kamizelce był niezaprzecznie uzdolniony do wydania owego sądu i wyroku stanowczego.

— Pst! — napomniał jegomość z wysokiego krzesła. — Przecież wiesz o tem, że nie masz ani ojca,

ani matki i że cię gmina na swój koszt utrzymuje, nieprawdaż?

— Wiem, panie! — wyjąkał Oliwer, płacząc rzewnie.

— Czego ty płaczesz? — spytał jegomość w białej kamizelce. I rzeczywiście to było dziwne. Czegoż ten chłopiec miał płakać?

— Spodziewam się, że mówisz pacierz rano i wieczorem — odezwał się znów inny jegomość grubym głosem — i modlisz się za tych, którzy cię żywią, odziewają i pielęgnują tak, jak na prawego chrześcijanina przystoi?

— Tak jest — odpowiedział chłopczyna.

Ostatni jegomość wypowiedział nieświadomie wielką prawdę. Oliwer musiałby rzeczywiście być prawym chrześcijaninem, i to nadzwyczajnie gorliwym i cnotliwym chrześcijaninem, żeby się móc modlić za tych, którzy go żywili i pielęgnowali. Lecz on tego nie czynił, gdyż go nikt modlić się nie nauczył.

— Kazaliśmy cię tutaj przyprowadzić, aby ci dać wychowanie i nauczyć pożytecznego rzemiosła — rzekł rumiany jegomość z wysokiego krzesła.

— Od jutra więc zaczniesz o szóstej godzinie zrana skubać kłaki — dodał jegomość w białej kamizelce.

Za połączenie dwuch dobrodziejstw w jednej prostej czynności skubania kłaków, Oliwer, na skinienie woźnego, podziękował niskim ukłonem, poczem został odprowadzony do obszernej izby, gdzie ułożył się na łóżku twardem i płaczem do snu ukołysał.

Jakiż to piękny obraz litościwych praw naszego kraju!... Pozwalają biednemu człowiekowi zasnąć... jeżeli może!

Biedny Oliwer!... Kiedy spoczywał w zupełnej nieświadomości wszystkiego, co się wokoło niego

działo, nie śniło mu się zupełnie o tem, że zbór tego jeszcze wieczora powziął uchwałę, która miała wywrzeć decydujący wpływ na całą jego przyszłość. A jednak tak w istocie się stało, cała rzecz zaś miała następujący przebieg:

Członkowie zboru byli to wszystko ludzie mądrzy, rozważni, głęboko rzeczy biorący. Kiedy więc zwrócili swą uwagę na Dom Roboczy, spostrzegli natychmiast to, czegoby ludzie zwyczajni nigdy nie zauważyli, a mianowicie, że się tutaj ludziom biednym bardzo podobało! Wszak było to stałe miejsce zabawy dla biedaków; gospoda, w której przez cały rok mieli śniadanie, obiad, herbatę i wieczerzę... a nic za to wszystko nie potrzebowali płacić, — niejako raj ziemski, gdzie wre tylko sama zabawa, a niema żadnej pracy.

— Hola! — zawołał wtedy zbór, potrząsając głową z wielką mądrością — my właśnie jesteśmy ludźmi najodpowiedniejszymi, aby te nadużycia znieść i złemu w krótkim czasie tamę położyć.

Wskutek tego zbór postanowił, ażeby każdemu biedakowi dać do wyboru (przemocą nikogo do tego zmuszać nie chciano, broń Boże!) — czy woli umierać powoli z głodu w Domu Roboczym, czy też w przyśpieszonem tempie poza murami tegoż domu? W tym celu zawarto ugodę z przedsiębiorcą, dostarczającym wodę do tego zakładu, o dostarczanie codziennie niezmiernej ilości wody, a drugą, z kupcem zboża i mąki, o dostarczanie czasem szczupłej ilości owsianej mąki, i wyznaczono jako porcje trzy razy na dzień cienką owsianą polewkę, dwa razy na tydzień po główce cebuli i co niedziela po pół bułeczki na osobę. Pozatem uchwalono jeszcze wiele niemniej mądrych i ludzkich rozporządzeń, które dotyczyły po większej części kobiet, a które jednak wolimy pominąć. Ze względu na znaczne

koszta procesów rozwodowych, postanowiono także starać się o rozwody dla zaślubionych i nie zmuszać męża do tego, aby rodzinę swoją utrzymywał, czego dotąd sumiennie przestrzegano; — teraz przeciwnie, rodzinę odbierano mężowi i robiono z niego napowrót człowieka bezżennego. Nie można było określić, czy i wiele znalazłoby się osób z różnych sfer społecznych, a nie związanych niczem z Domem Roboczym, któreby z tego dobrodziejstwa korzystać chciały. Lecz władze Domu Roboczego składały się z mężów przezornych, doświadczonych, którzy umieli naprzód podobne trudności usunąć. Wystarczało, że owo dobrodziejstwo było nieodłączne od Domu Roboczego i owsianki; a to ludzi odstręczało.

W ciągu pierwszych sześciu miesięcy pobytu Oliwera w Domu Roboczym trzymano się jak najściślej i najsurowiej owego rozporządzenia. Z początku inowacja pociągała za sobą wielkie wydatki, a to z powodu coraz bardziej wzrastającego rachunku przedsiębiorcy pogrzebowego i koniecznej potrzeby zwężania odzieży wszystkich biedaków, na których odzież ta po kilkotygodniowem użyciu owsianki, stawało się zbyt przestronna i wisiała na nich jak wory; wzamian zato liczba mieszkańców Domu Roboczego znacznie się przerzedziła, i zbór rozpływał się w uniesieniu radości.

Izba, w której rozdawano sierotom jedzenie, była obszerna, murowana; w jednym końcu wisiał kocioł, a przy nim stał kucharz, opasany fartuchem, i rozdawał dzieciom owsiankę wielką warzęchwią, przy pomocy dwuch kobiet, umyślnie w tym celu mu przydanych. Każdy chłopiec dostawał jedną warzęchew tej strawy, i nic więcej... z wyjątkiem jednak niedziel i dni świątecznych; wtedy bowiem dodawano im jeszcze do owsianki cztery i ćwierć łuta chleba.


George Cruikshank

Nie potrzebowano nigdy myć talerzy. Chłopcy skrobali je swojemi łyżkami dopóty, dopóki nie stawały się one znowu czyste i lśniące, a po ukończeniu tej czynności (co bardzo długo nigdy nie trwało gdyż talerze niewiele były większe od łyżek), rzucając takie wygłodniałe spojrzenie na kocioł, jakby pożreć chcieli te kamienie nawet, z których się składał, przyczem oblizywali sobie palce starannie, aby nie zostawić na nich najmniejszej kropelki, jeśliby przypadkiem na nie padła.

Chłopcy miewają zwykle niepospolity apetyt.

Oliwer Twist i jego towarzysze znosili te powolne męki konania z głodu przez całe trzy miesiące. Lecz wkońcu tak im głód mocno dopiekać zaczął, że jeden z nich, nieco roślejszy, na swój wiek, i do podobnego życia wcale nieprzyzwyczajony (jego ojciec utrzymywał małą garkuchnię), nie mogąc dłużej znieść tych cierpień, zagroził towarzyszom, iż której nocy zje najbliższego swego sąsiada — a był to właśnie chłopiec bardzo wątły i słabowity — jeżeli nie będzie dostawał dziennie jednego talerza owsianki więcej. Oczy jego przytem pałały taką dzikością i żarłocznością, że mu wszyscy natychmiast uwierzyli na słowo.

Zwołano tedy ogólną radę i puszczono losy, który z chłopców tego dnia jeszcze, po wieczerzy, ma stanąć przed kucharzem i zażądać od niego więcej zupy. Los padł na Oliwera.

Nadszedł wieczór; chłopcy zajęli swoje miejsca; kucharz stał przy stole w swym kucharskim uniformie, a za nim obie pomocnice; rozdzielono owsiankę i zmówiono długi pacierz nad krótkiem jadłem. Owsianka znikła w mgnieniu oka; chłopcy zaczęli szeptać pomiędzy sobą, mrugać na Oliwera, najbliżsi zaś sąsiedzi potrącali go łokciami.

Prawda, że Oliwer był jeszcze wtenczas małym chłopcem; lecz dotkliwy głód i nędza doprowadziły go wkońcu do rozpaczy i wstał tedy od stołu, zbliżył się z talerzem i łyżką w ręku do kucharza i rzekł, dziwiąc się swojej śmiałości:

— Proszę o więcej, panie!

Kucharz był to człowiek otyły, rumiany; na żądanie Oliwera jednak zbladł jak chusta. Ze zdumienia oparł się o kocioł i przez kilka chwil spoglądał z osłupieniem na małego buntownika.

Pomocnice stały jak wryte, a resztę chłopców ogarnął przestrach.

— Co? — wybełkotał nakoniec kucharz słabym głosem.

— Proszę o więcej, panie — powtórzył Oliwer.

Kucharz ugodził Oliwera warząchwią w głowę, chwycił za kołnierz i głośno zaczął przyzywać woźnego.

— — — — — — — —

Zbór przełożonych gminy i władz Domu Roboczego zgromadził się właśnie na uroczyste posiedzenie, gdy Bumble wpadł z największem pomieszaniem do izby obrad i, zwróciwszy się do jegomościa na wysokiem krześle, zawołał:

— Panie Limbkins, ...proszę mi wybaczyć, ...Oliwer Twist żąda w i ę c e j!

Wszyscy struchleli. Zgroza odmalowała się na obliczach.

— W i ę c e j! — zawołał pan Limbkins, — Uspokój się pan trochę, panie Bumble, i opowiedz nam dokładnie: O ile rozumiem, Oliwer zażądał więcej, gdy już spożył swoją część, przeznaczoną mu regulaminem?

— Tak jest, panie, — odpowiedział Bumble.

— Ten chłopiec będzie wisiał — rzekł na to znany nam jegomość w białej kamizelce. — Jestem przekonany, że ten chłopiec będzie wisiał.

Nikt nie sprzeciwił się proroczemu zdaniu jegomościa w białej kamizelce. Nastąpiła burzliwa narada. Oliwera zamknięto natychmiast do domowego więzienia. Nazajutrz przybito na zewnątrz na bramie obwieszczenie, ofiarujące pięć funtów wynagrodzenia temu, ktoby zechciał uwolnić zakład od Oliwera i wziąć go do siebie. Innemi słowy, ofiarowano pięć funtów i Oliwera Twista każdemu, mężczyźnie czy kobiecie, ktoby potrzebował pracownika do jakiegokolwiek bądź handlu, interesu, lub rzemiosła.

Gdy jegomość w białej kamizelce zapukał nazajutrz rano do bramy i przybite na niej obwieszczenie przeczytał, rzekł do siebie z uśmiechem:

— Jeszcze nigdy w mojem życiu o niczem tak mocno przekonany nie byłem, jak teraz o tem, że ten chłopiec będzie wisiał.

Mam zamiar wykazać w dalszym ciągu tej powieści, o ile słuszne było przekonanie jegomości w białej kamizelce; zniweczyłbym więc odrazu zgóry zainteresowanie mojem opowiadaniem (jeżeli ono wogóle jest ciekawe) gdybym już teraz powiedział, czy pasmo życia Oliwera rzeczywiście tak gwałtownie zerwane zostało.

Rozdział trzeci,

odnoszący się do tego, jak Oliwer Twist otrzymał omal posadę, której nikt z pewnością nie nazwałby synekurą.

Przez cały tydzień prawie, po popełnieniu tej wielkiej i ohydnej zbrodni, polegającej na żądaniu większej porcji owsianki, Oliwer pozostawał jako więzień w ciemnej i odosobnionej komórce, do któ-

rej go zbór w swej mądrości i dobrotliwości ojcowskiej zamknąć kazał.

Na pierwszy rzut oka, nie sprzeciwiałoby się to bynajmniej zdrowemu rozsądkowi, gdyby Oliwer Twist, chcąc podtrzymać sławę proroczą jegomościa w białej kamizelce i posiadając choć cokolwiek należytego uszanowania dla jego wyroczni — gdyby Oliwer był przywiązał jeden koniec od chustki do nosa do mocnego haka w ścianie, a na drugim sam się powiesił. Na drodze do wykonania tego zamiaru jedna okoliczność przecież stała głównie na przeszkodzie, a mianowacie, że zbór chustkę do nosa uważał jako rzecz niepotrzebną i zbytkowną i po wszystkie czasy, wyraźnem rozporządzeniem, powziętem na walnem posiedzeniu a rozważonem wszechstronnie i podpisem własnoręcznym i pieczęcią zatwierdzonem, od nosów biednych ludzi odjąć kazał...

Przyznać jednak trzeba, iż daleko większą jeszcze przeszkodę stanowiła zbytnia młodość i dziecinność chłopczyny.

Całemi dniami płakał on jedynie gorzko, a gdy nadchodziła noc długa i okropna, zakrywał sobie oczy małemi rączętami, aby ciemności nie widzieć, i tuląc się do kącika, usiłował zasnąć. Często jednak, drżąc na całem ciele z przerażenia, zrywał się ze snu i coraz bardziej tulił do ściany, czując jakby, że te ściany zimne, twarde bronią go niejako przed otaczającą go zewsząd samotnością i grozą.

Nieprzyjaciele tego systemu niechaj jednak nie sądzą, że Oliwer przez cały czas swego samotnego więzienia był pozbawiony zupełnie wszelkich dobrodziejstw ruchu, przyjemności towarzyskich, lub też korzyści, płynących z pociechy religijnej. Co się tyczy ruchu bowiem, jako że była właśnie pora zimo-

wa, to pozwolono Oliwerowi myć się codziennie rano przy studni, na zamkniętem podwórzu, w obecności pana Bumble, który, dbając o jego zdrowie i zapobiegając przeziębieniu częstem użyciem swej urzędowej laski, wywoływał w organizmie chłopca zbawienne i pożądane wstrząśnienia.

Nie zbywało Oliwerowi i na towarzystwie, co drugi dzień bowiem prowadzono go do sali, gdzie chłopcy jadali obiady, i tam chłostano go w oczach wszystkich dzieci, dla powszechnego przykładu i przestrogi. Nie chcąc zaś pozbawić go dobrodziejstwa i pociechy religijnej, wtrącano go codziennie do tejże samej izby podczas ogólnej modlitwy wieczornej i pozwalano mu się przysłuchiwać oraz krzepić serce modlitwą, ułożoną umyślnie przez władze zakładu, a zawierającą prośbę do Boga, aby Bóg uczynił dzieci dobremi, cnotliwemi, posłusznemi i zachował je od grzechu i występku Oliwera Twista, którego w tej modlitwie przedstawiono jako wytwór samego szatana, jako chłopca zostającego wyłącznie pod opieką władz piekielnych.

Zdarzyło się pewnego ranka, że wtedy właśnie kiedy Oliwer zostawał w tak nader przyjemnem i pomyślnem położeniu, pan Gamfield, kominiarz, przejeżdżał koło Domu Roboczego, zagłębiając się w smutnych rozmyślaniach, dręczył mózg nadaremnie nad wynalezieniem środków i sposobu zapłacenia czynszu mieszkaniowego, który zalegał już od dawna i o który gospodarz domu bardzo natarczywie się upominał. Chociaż pan Gamfield obliczał w myśli wszelkie źródła swego dochodu, nie mógł przecież żadną miarą zebrać pięciu funtów, potrzebnych do ogólnej sumy. I w tej arytymetycznej niejako rozpaczy, to siebie, to osła naprzemian w głowę uderzał i już stracił wszelką nadzieję wydobycia się z przykrego położenia, kiedy, Dom Ro-

boczy mijając, przypadkiem rzucił okiem na zawiadomienie, przybite na bramie.

— Prrrrr!... — zawołał na osła.

Osioł był pogrążony w głębokiem zamyśleniu. Prawdopodobnie obliczał, ile też dostanie głąbów, gdy złoży na miejscu przeznaczenia te dwa wory sadzy, któremi jego mały wózek był obładowany. Nie zważał też wcale na rozkaz pana i biegł sobie szczęśliwie dalej.

Gamfield wyzionął okropne przekleństwo na wszystkich osłów wogóle, i biegnąc za swoim, taki raz silny w łeb mu wymierzył, że od tego uderzenia każda inna, nie ośla czaszka musiała byłaby pęknąć. Schwyciwszy potem za wodze, szarpnął niemi silnie, jakby chcąc urwać swemu osłowi szczękę i dać mu do zrozumienia, iż osioł nie jest wcale panem swej woli. Tym sposobem udało się mu go wreszcie zatrzymać. Dopiąwszy tego celu, pan Gamfield uderzył powtórnie osła w łeb z tem wyrachowaniem, aby go oszołomić i zmusić do stania w miejscu dopóty, dopóki pan jego nie wróci. Poczem pan Gamfield podszedł do bramy, chcąc przeczytać wspomniane wyżej obwieszczenie. Jegomość w białej kamizelce, z założonemi wtył rękoma, stał właśnie w bramie, spłodziwszy na krótko przedtem w sali obrad kilka bardzo głębokich zasad.

Będąc świadkiem małej sprzeczki pomiędzy panem Gamfieldem i jego osłem, uśmiechnął się radośnie, gdy spostrzegł, że obcy zmierza do bramy, aby zawiadomienie przeczytać. Natychmiast bowiem domyślił się, że pan Gamfield jest właśnie panem, jakiego Oliwer Twist potrzebuje.

Pan Gamfield uśmiechnął się także, skoro przeczytał zawiadomienie, gdyż owe przyobiecane pięć funtów wystarczyłyby mu zupełnie i mogłyby go z wszelkiego kłopotu wybawić. Znając przytem do-

kładnie system żywienia dzieci w Domu Roboczym, pojął natychmiast, że ten chłopczyna, którym owe pięć funtów obciążono, był właśnie takim małym i chudym wisusem, jakiego mu potrzeba było do wycierania wąskich teraźniejszych kominów. Przesylabizował tedy jeszcze raz całe zawiadomienie od góry do dołu, od początku do końca, i zdjąwszy futrzaną czapkę z głowy na znak uszanowania, zagadnął jegomościa w białej kamizelce:

— Czy to w tym zakładzie znajduje się chłopiec, którego przełożeni gminy chcą dać do nauki?

— Tak jest, mój poczciwcze — odpowiedział z łaskawym uśmiechem jegomość w białej kamizelce. — Cóż chcesz od niego?

— Jeżeli przełożeni gminy chcą oddać go do tak lekkiego i przyjemnego rzemiosła, jakiem jest kominiarstwo — rzekł Gamfield — to ja właśnie potrzebuję chłopca do nauki i jestem gotów wziąć go go siebie.

— Proszę wejść! — rzekł jegomość w białej kamizelce.

Lecz pan Gamfield wrócił przedtem do osła, raz jeszcze w łeb go uderzył i za wodze szarpnął, upominając go w ten sposób, ażeby podczas nieobecności swego pana stał spokojnie i z miejsca się nie ruszył; poczem dopiero udał się w ślad za jegomościem w białej kamizelce i wkroczył do izby, gdzie go Oliwer po raz pierwszy zobaczył.

— To bardzo brudne rzemiosło — zauważył pan Limbkins, gdy Gamfield przedstawił swoje życzenie.

— Zdarzało się już nieraz, że się chłopcy w kominie udusili — odezwał się inny.

— To dlatego jedynie, że słomę maczano naprzód w wodzie, nim ją zapalono w kominie, aby w ten sposób zmusić chłopców do wyjścia z komina — objaśnił Gamfield. — Zwilżona słoma nie daje wcale

ognia, tylko wielki dym; samym dymem niepodobna chłopców z komina wypędzić. Dym ich tylko usypia, a oni sobie tego najbardziej życzą. Bo to trzeba panom wiedzieć, że niema krnąbrniejszych i leniwszych istot, niż ci chłopcy, a niemasz lepszego i skuteczniejszego sposobu na wypędzenie ich z komina, jak rozpalenie dobrego ognia. Ludzkie uczucie poprostu zaleca użycie tego środka, gdyż jeśli który w kominie ugrzęźnie, a ogień mu w nogi dopiecze, to tak długo rzuca się i nogami wierzga, dopóki się sam nie uwolni. — Powyższe objaśnienie zdawało się sprawiać wielką radość jegomościowi w białej kamizelce; lecz tę wesołość uśmierzyło prędko jedno spojrzenie pana Limbkinsa. Zbór przystąpił do wspólnej narady, która trwała prawie pięć minut. Wszyscy jednak rozmawiali tak cicho, że tylko słowa: „oszczędzić wydatku"... „wejrzyjcie dobrze w rachunki"... „obwieszczenie", „opublikowaliśmy drukowane", dawało się słyszeć nieco wyraźniej, i to dlatego jedynie, że je często z wielką uroczystością powtarzano.

Nakoniec szepty ustały, a gdy członkowie zboru wrócili do swych krzeseł i do swej uroczystej godności, pan Limbkins odezwał się w te słowa:

— Rozważyliśmy dokładnie waszą prośbę i przystać na nią nie możemy.

— Żadną miarą — potwierdził jegomość w białej kamizelce.

— Ani myśleć o tem — dodali inni członkowie.

Pan Gamfield pracował w atmosferze lekkich podejrzeń, iż niedawno dwom czy trzem uczniom swoim głowy na śmierć porozbijał, to też pomyślał teraz, że zbór jakimś dziwnym przypadkiem dowiedział się o tem i że przy braniu decyzji ulegał wpływowi krążących pogłosek. Takie załatwienie sprawy było mocno niepożądane, ponieważ jednak pan Gamfield nie żywił specjalnego pragnienia, aby

te wieści odświeżyć, przeto zaczął miąć w rękach czapkę i oddalać się zwolna od stołu.

— A zatem, panowie nie chcecie mi dać tego chłopca? — zapytał, zbliżając się do drzwi.

— Nie — odpowiedział pan Limbkins — chyba, że wobec brudnego twego rzemiosła, nie będziesz żądał tylu pieniędzy, ile zapowiada obwieszczenie.

Oblicze pana Gamfield wypogodziło się; zbliżył się śpiesznie do stołu i rzekł:

— Ileż więc chcecie dać, panowie? Nie bądźcie zanadto srodzy dla biednego człowieka! Ile dacie, panowie?

— Mnie się zdaje, że trzy funty i dziesięć szylingów wystarczy — rzekł Limbkins.

— O dziesięć szylingów nawet za wiele — zarzucił jegomość w białej kamizelce.

— Moi panowie! — błagał Gamfield — dajcie cztery funty. Dajcie cztery funty, a pozbędziecie się go na zawsze i tanio... Cóż... czy zgoda?...

— Trzy funty dziesięć szylingów — powtórzył Limbkins stanowczo.

— Nie o wiele się rozchodzi... ustąpmy z obu stron połowę, moi panowie — nacierał Gamfield — niech będzie trzy funty piętnaście szylingów.

— Nie damy ani grosza więcej — brzmiała stanowcza odpowiedź pana Limbkinsa.

— Nie bądźcie tak twardego serca dla mnie, moi panowie! — rzekł jeszcze Gamfield wahająco.

— Brednie, czyste brednie — odparł jegomość w białej kamizelce. — On i bez naszej nagrody jest tani. Bierz go, głuptasie. Jest to chłopiec jakby dla ciebie stworzony. Trzeba, prawda, czasami kija na niego, ale to mu nigdy nie zaszkodzi. Żywienie jego wiele cię kosztować nie będzie, gdyż od dzieciństwa przyzwyczajony jest do wstrzemięźliwości...

Gamfield powiódł naprzód podejrzliwem okiem po obliczach obecnych; dopiero, gdy spostrzegł uśmiech na wszystkich ustach, sam się również uśmiechnął.

Nakoniec ugoda stanęła. Pan Bumble otrzymał natychmiast nakaz tego jeszcze dnia po południu zaprowadzić Oliwera do urzędu miejskiego, i przedstawić do podpisu i sądowego potwierdzenia świadectwo zawartej umowy.

Wskutek tego postanowienia wypuszczono biednego Oliwera z więzienia i ku wielkiemu jego zdziwieniu kazano mu wdziać czystą koszulę. Zaledwie Oliwer dokonał tego niezwykłego czynu z dziedziny gimnastyki, kiedy zjawił się pan Bumble, i przyniósł mu własnoręcznie talerz owsianki, wraz z niedzielnym dodatkiem chleba, wynoszącym cztery łuty i ćwierć. Widząc to, chłopiec zaczął rzewnie płakać, gdyż sądził, nie bez przyczyny, że zbór musiał w jakimś szczególnym celu skazać go na śmierć, gdyż w przeciwnym razie nie przyszłoby zborowi na myśl tuczyć go w sposób podobny.

— Nie płacz, Oliwerze! Jedz, co ci dają i bądź za to wdzięczny — pocieszał go Bumble z uroczystą powagą — wkrótce opuścisz nasz zakład, Oliwerze, i pójdziesz na czeladnika.

— Na czeladnika, panie? — powtórzył chłopczyna, drżąc na całem ciele.

— Tak jest, Oliwerze — potwierdził Bumble. — Nasi litościwi i dobroczynni, panowie, którzy obchodzą się z tobą, jak z własnem dzieckiem, dlatego, że nie masz matki ani ojca, chcą cię teraz oddać na naukę, wysłać w świat, abyś wyszedł na człowieka, chociaż to gminę kosztuje całe trzy funty i dziesięć szylingów! Trzy funty i dziesięć szylingów! Pomnij, Oliwerze! Siedemdziesiąt szylingów! — ...sto czterdzieści sikspensów!... I to wszystko dla nieznośnej sieroty, której nikt cierpieć nie może!

Gdy Bumble przestał mówić, aby po tym uroczystym zwrocie na chwilkę odetchnąć, łzy potoczyły się z oczu biednego Oliwera.

— No, no... nie płacz Oliwerze, nie płacz — rzekł do niego Bumble nieco przyjaźniejszym głosem, biorąc z zadowoleniem rozczulenie Oliwera jako dowód nieprzezwyciężonego wpływu swej wymowy; — uspokój się, uspokój; otrzyj łzy rękawem od kurtki, ażeby ci do owsianki nie padały; nie rób głupstwa.

I słusznie mówił, gdyż i tak wody w owsiance było aż nadto.

Po drodze, pan Bumble nauczał Oliwera jak ma się w urzędzie zachowywać. Jedynem staraniem chłopca powinno być utrzymanie wesołego wyglądu, gdyby panowie urzędnicy pytali, czy ma ochotę iść do terminu, to ma im śmiało odpowiedzieć, iż to jest jedynem jego życzeniem. Oliwer przyrzekł wierne wykonanie danych mu poleceń, tem bardziej, że pan Bumble dał mu do zrozumienia, iż on, Oliwer, nie ma o tem pojęcia, coby się z nim działo, gdyby przeciwko jednemu lub drugiemu poleceniu wykroczył.

Gdy przybyli do urzędu, zaprowadzono ich do małej izdebki, w której pan Bumble zostawił Oliwera samego, upomniawszy go przedtem, aby siedział spokojnie, dopóty, dopóki po niego nie wróci i z sobą nie weźmie.

Tak więc biedny chłopczyna został przez pół godziny blisko sam jeden w pokoiku; nakoniec pan Bumble uchylił nieco drzwi, wsunął do izdebki swoją głowę, pozbawioną tym razem ozdoby trójgraniastego kapelusza, i zawołał głośno na Oliwera:

— Chodź, mój drogi Oliwerze! Chodź do tych zacnych panów!

Przytem rzucił groźne spojrzenie na biednego chłopca, dodając po cichu:

— Pamiętaj, com ci mówił, mały łotrze!

Oliwer, słysząc te dwie, tak sprzeczne z sobą przemowy pana Bumble, spojrzał mu w oczy z niewinnością dziecka. Ale pan woźny nie dał mu czasu na robienie uwag w tej mierze, gdyż wprowadził go natychmiast do przyległej sali.

Drzwi do niej stały otworem, była to obszerna izba, o jednem wielkiem oknie. Za biurkiem siedziało dwuch panów w podeszłym już wieku, z upudrowanemi głowami. Jeden z nich czytał gazetę, podczas gdy drugi, w rogowych okularach na oczach, badał kawałek pergaminu, leżącego przed nim na stole. Pan Limbkins stał z jednej strony biurka, a pan Gamfield, z twarzą jako taką umytą, z drugiej strony. Pozatem kilku napuszonych panów, w wielkich, palonych butach, przechadzało się po izbie.

Stary jegomość w rogowych okularach zdawał się drzemać nad zwitkiem pergaminu, to też trwała pewna chwila milczenia po przybyciu Oliwera, któremu pan Bumble kazał stanąć naprzeciwko biurka.

— Oto jest ten chłopiec, wasza wysokość! — odezwał się wreszcie Bumble.

Staruszek, czytający gazetę, podniósł głowę i pociągnął swego towarzysza za rękaw, wskutek czego ten ostatni obudził się.

— A, to jest ten chłopiec? — zapytał, ocknąwszy się ze snu.

— Tak jest, wasza wysokość, to on! — odpowiedział Bumble. — Ukłońże się panu urzędnikowi, kochany Oliwerze.

Oliwer zebrał wszystkie swoje siły i ukłonił się jak mógł najlepiej. Z wielkim jednak zdziwieniem wlepił swoje oczy w białą mączkę na głowie urzędnika, zastanawiając się na tem głęboko, czy wszyscy urzędnicy rodzą się z pudrem na głowie, czy też dlatego jedynie są urzędnikami, że tę mączkę na niej posiadają.

— Dobrze — odrzekł staruszek — spodziewam się, że zajęcie kominiarza podoba mu się bardzo.

— Przepada za niem, wasza wysokość! — odrzekł Bumble i uderzył nieznacznie Oliwera w plecy, dając mu tem do zrozumienia, że odpowiedział jak najlepiej.

— No i on chce zostać kominiarzem? — badał staruszek.

— Gdyby go oddano do innego rzemiosła, wasza wysokość, toby jeszcze tego samego dnia od swego majstra uciekł — odpowiedział Bumble z pośpiechem.

— A ten człowiek oto chce być jego majstrem?... Jakże, mój panie? Czy będziesz się z nim dobrze obchodził... będziesz go żywił przyzwoicie... i wogóle dbał o niego?...

— Skoro mówię, że chcę... to znaczy, że myślę tak uczynić — odpowiedział szorstko Gamfield.

— Jesteś opryskliwy, mój przyjacielu!... Zdajesz się jednak być uczciwym i szczerym człowiekiem — odparł stary jegomość, zwracając swe okulary w stronę kandydata, ubiegającego się o nagrodę za naukę Oliwera.

Ohydna twarz kominiarza wyrażała okrucieństwo, ale stary urzędnik był już napół ślepy i napół zdziecinniały, i nie mógł dostrzec tego, co dla całego świata było widoczne.

— Myślę, że nim jestem, proszę pana — odrzekł Gamfield, zezując brzydko.

— Nie wątpię w to wcale, mój przyjacielu — odparł staruszek, utwierdzając okulary mocniej na nosie i szukając oczyma kałamarza.

Była to chwila stanowcza dla losu Oliwera.

Gdyby kałamarz znajdował się na tem miejscu, na którem podług staruszka znajdować się powinien, byłby jegmość natychmiast umaczał w nim pióro

i podpisał świadectwo, a Oliwer byłby bez ratunku wpadł w ręce pana Gamfielda. Ale ponieważ stał on właśnie tuż pod nosem urzędnika, przeto tenże musiał go szukać po całem biurku, nim go nareszcie znalazł.

Podczas tego szukania spojrzenie jego padło przypadkiem poza biurko i spotkało wylęknioną i bladą twarz Oliwera Twista, który, pomimo wszelkich napominających spojrzeń i kułaków pana Bumble, spoglądał na odrażające oblicze przyszłego majstra z takim wyrazem przestrachu i zgrozy, że nawet napół ociemniały urzędnik musiał to zauważyć.

Staruszek się przeto zatrzymał, odłożył pióro nabok i przez chwil kilka spoglądał to na Oliwera, to na pana Limbkinsa, który usiłował z wesołą i obojętną miną zażyć tabaki.

— Mój synu — odezwał się nareszcie staruszek, wychylając się z poza biurka.

Oliwer wzdrygnął się. Trzeba mu to jednak wybaczyć, gdyż głos był dobrotliwy, a każdy dźwięk obcy dla człowieka łatwo go może przestraszyć. Drżał więc gwałtownie i wybuchnął płaczem.

— Mój synu — powtórzył staruszek — wyglądasz bardzo strwożony i blady. Cóż to znaczy?

— Niech woźny odstąpi od niego — odezwał się drugi urzędnik, czytający gazetę, którą na bok odłożył; poczem pochylił się naprzód z pewnym wyrazem zainteresowania. — Mówże, mój synu, mów śmiało, co ci jest, nie lękaj się niczego.

Oliwer padł na kolana, wyciągnął złożone ręce i zaczął błagać, że woli raczej wrócić do ciemnej komórki, że woli, by go morzono głodem... karano... bito... a nawet zabito... niż żeby go oddano temu strasznemu człowiekowi.

— Otóż mamy! — zawołał pan Bumble, wznosząc uroczyście wgórę ręce i oczy. — Wiele już istot

złośliwych i kłamliwych w życiu mojem widziałem, ale tak złośliwej i kłamliwej, jaką ty jesteś, Oliwerze, jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się spotkać.

— Lepiej milcz! — zgromił woźnego urzędnik, do którego się Bumble zwrócił ze swoją budującą przemową.

— Za pozwoleniem waszej wysokości — rzekł woźny, nie wierząc, że dobrze słyszał — czy wasza wysokość mówił co do mnie?

— Tak jest. Mówiłem abyś milczał!

Pan Bumble stanął ze zdziwienia jak wryty. Rozkazać woźnemu, aby milczał — wszak to moralna rewolucja!

Staruszek w rogowych okularach spojrzał na swego towarzysza, a ten znacząco kiwnął głową.

— My nie możemy tej umowy zatwierdzić — rzekł urzędnik i, mówiąc to, odsunął nabok pergaminowy zwitek.

— Spodziewam się przecież — wyjąkał pan Limbkins — spodziewam się, że dostojny urząd nie zechce, na zasadzie niczem niepopartego oskarżenia dziecka, powziąć wyobrażenia o nieodpowiedniem obchodzeniu się przełożonych z sierotami Domu Roboczego!

— Urząd nie jest obowiązany wyjawiać swego zdania w tej mierze — odparł drugi urzędnik cierpko. — Weźcie tego chłopca napowrót do Domu Roboczego i obchodźcie się z nim łagodnie. Jak się zdaje, bardzo mu tego potrzeba.

— — — — — — — — — —

Tego jeszcze wieczora jegomość w białej kamizelce twierdził z największą pewnością, że Oliwera czeka nietylko szubienica, ale, że zostanie on powleczony na miejsce stracenia i tam rozćwiartowany. Woźny potrząsał głową tajemniczo i mówił, iż pragnie, aby chłopiec się nawrócił, pan Gamfield

zaś dodawał życzenie dostania go w swoje ręce. To życzenie było jednak przeciwne pragnieniom pana Bumble, choć naogół zgadzali się oni obaj prawie we wszystkiem.

Nazajutrz rano publiczność znów została uwiadomiona, że Oliwer Twist jest do nabycia, a ten, co go wziąć zechce, otrzyma pięć funtów wynagrodzenia.

Rozdział czwarty.

Oliwer dostaje inne miejsce i poraz pierwszy w świat wstępuje.

W znakomitych rodzinach panuje powszechny zwyczaj, że się młodszego syna wysyła na morze, o ile nie ma się dla niego innego korzystnego stanowiska, do którego dojść można drogą kupna, spuścizny, lub odziedziczenia.

Zbór tedy, naśladując tak praktyczny przykład, postanowił również wysłać Oliwera Twista na morze, na jakim małym, kupieckim okręcie, związanym interesami z bylejakiem niezdrowem miastem portowem. Wmówiono w siebie, że lepszego miejsca dla chłopca obmyśleć nie można. Przewidywano bowiem, że prawdopodobnie kapitan okrętu każe go pewnego pięknego popołudnia, według swego zwyczaju, tak długo chłostać, dopóki go na śmierć nie zachłoszcze, albo też żelaznym drągiem rozbije mu głowę; wszystkim wiadomo, że te dwie czynności stanowią zwykłą i najmilszą rozrywkę panów tego pokroju.

Im więcej tedy zbór rozmyślał nad całą sprawą pod tym kątem widzenia, tem liczniejsze dostrzegał w niej korzyści; wkońcu doszedł do przekonania, że jedynem i najlepszem zrządzeniem losu będzie dla Oliwera niezwłoczne wyprawienie go na morze.

Polecono panu Bumble czynić różnorodne przedwstępne poszukiwania w celu znalezienia jakiego ka-

pitana okrętu, lub innej osoby, którąby zechciała wziąć sierotę bez przyjaciół jako chłopca okrętowego.

Bumble wracał właśnie z tej wyprawy do Domu Roboczego, aby zdać sprawę z odbytego poselstwa, gdy tuż przed bramą spotkał się ni mniej ni więcej tylko z panem Sowerberry, przedsiębiorcą pogrzebowym miasteczka.

Pan Sowerberry był to wysoki, barczysty mężczyzna, w czarnym wytartym surducie, w łatanych bawełnianych pończochach i tejże samej barwy i odpowiednich do całego ubioru trzewikach. Oblicze jego nie miało wcale wrodzonej skłonności do uśmiechu, choć znany był z tego powszechnie, że posiadał wesołość, związaną ściśle z jego zawodem.

Na widok zbliżającego się pana Bumble, chód jego stał się elastyczny, a oblicze zajaśniało radością. Powitawszy woźnego, uściskał go serdecznie za rękę.

— Wziąłem miarę na te dwie kobiety, panie Bumble, które umarły ostatniej nocy — rzekł.

— Jeszcze się pan dorobi na nas majątku, panie Sowerberry — odpowiedział na to woźny i zatopił dwa palce w podaną mu przez pana Sowerberry tabakierkę, która przedstawiała bardzo ładny i zgrabny model trumienki. — Jestem przekonany, że się pan jeszcze dorobisz majątku, panie Sowerberry — dodał, klepiąc zlekka, po przyjacielsku, swoją urzędową laską przedsiębiorcę po ramieniu.

— Tak myślisz? — zagadnął przedsiębiorca tonem napół zaprzeczającym, a napół przyjmującym prawdopodobieństwo tego wypadku. — Ceny naznaczone przez zbór są zbyt niskie, panie Bumble.

— Nie mniejsze od trumien — odpowiedział woźny, zmuszając o tyle tylko usta do uśmiechu, o ile mu na to pozwalała powaga urzędowa.

Lecz ta wzmianka rozśmieszyła pana Sowerberry do ostatecznych granic możliwości z jego strony, śmiał się tedy długo i bez przestanku.

— Tak, tak, panie Bumble — rzekł nakoniec — nie można zaprzeczyć, że od czasu, jakeście zaprowadzili nowy system odżywiania, trumny muszą być trochę węższe i płytsze, niż dotąd zwykle bywały. Lecz i my przecież jakiś zysk mieć musimy, panie Bumble. Dobre, suche drzewo jest w tych czasach bardzo rzadkie i drogie, a wszystkie żelazne rączki musimy z Birmingham sprowadzać kanałem.

— Słusznie, słusznie! — odpowiedział pan Bumble. — I kura grzebie, żeby coś wygrzebać, a uczciwy zysk jest oczywiście dozwolony.

— Rzecz pewna... rzecz pewna... — potwierdził przedsiębiorca — a jeżeli nie mogę osiągnąć zysku z tego lub z owego pojedyńczego artykułu, to muszę to sobie w ostatecznym wyniku na czemś odbić, jak sami wiecie, panie Bumble... Ha! Ha! Ha!

— Wielka prawda — odpowiedział Bumble.

— Choć wyznam szczerze — ciągnął przedsiębiorca w dalszym ciągu swoje uwagi, które przerwał mu woźny — choć muszę wyznać szczerze, panie Bumble, że nieraz walczę z wielkiemi trudnościami, gdyż właśnie ludzie najsilniejsi najprędzej z tego świata schodzą; ci wszyscy, którzy byli przyzwyczajeni do lepszego życia i w ciągu wielu lat płacili podatki, ci umierają pierwsi, gdy tylko znajdą w tym domu przytułek. A proszę mi wierzyć, panie Bumble, że dwa lub trzy cale więcej na trumnie, ponad przyjęte obliczenie, robi nam w zysku znaczny uszczerbek, zwłaszcza, jeżeli człowiek ma w domu żonę, dzieci do utrzymania.

Pan Sowerberry wyrzekł to ze zwykłem oburzeniem człowieka, który mniema, że jest pokrzywdzony; a że pan Bumble czuł, iż cała ta sprawa po bliższej roz-

wadze mogła przynieść gminie niewiele zaszczytu, przeto uznał za stosowne zmienić przedmiot rozmowy. Mając zaś ciągle Oliwera na myśli, zwrócił na niego uwagę.

— Ale, ale... Czy nie znasz, panie Sowerberry, przypadkiem kogo, ktoby potrzebował chłopca do usługi?... Co?... Chłopca z Domu Roboczego? Jest on teraz ciężarem, kamieniem młyńskim u szyi gminy, mówiąc poprostu. Niezły to handelek, panie Sowerberry, wierzajcie mi, że niezły...

Mówiąc to, pan Bumble wskazał swoją urzędową laską zawiadomienie, przybite na bramie, i potrzykroć mocno nią podkreślił słowa: pięć funtów, wypisane olbrzymiemi literami.

— Dalibóg — zawołał przedsiębiorca, chwytając woźnego za złote galony, któremi obszyte były wyłogi jego urzędowej kurtki — właśnie chciałem z panem o tem pomówić, panie Bumble,... Co ja widzę!... Jakie piękne guziki, panie Bumble; jeszczem ich nigdy u pana nie spostrzegł.

— Prawda, że są ładne — odpowiedział woźny, spoglądając z dumą na wielkie, świecące guziki, któremi ubiór jego był przystrojony. — Godło na tych guzikach jest takie same, co i na pieczęci gminy: miłościwy Samarytanin, pielęgnujący rannego i chorego człowieka. Zbór podarował mi ten ubiór na Nowy Rok, panie Sowerberry. Przypominam sobie, że włożyłem go na siebie po raz pierwszy tego dnia, kiedyśmy badali zwłoki owego zubożałego kupca, który pewnej nocy umarł tu pod bramą.

— Pamiętam bardzo dobrze to zdarzenie — odpowiedział przedsiębiorca. — Sądy Przysięgłych wydały wtedy wyrok: umarł z zimna i braku pierwszych potrzeb do życia! Nieprawdaż?

Pan Bumble kiwnął głową potakująco.

— Jeśli się nie mylę, to nawet sąd dodał w swoim wyroku — mówił dalej przedsiębiorca — że gdyby urzędnik, dozorujący ten dom był...

— Ot... lepiej bądź pan cicho i nie powtarzaj takich głupstw — przerwał mu woźny cierpko. — Gdyby zbór miał zwracać uwagę na wszystkie niedorzeczności, jakie o nim głupie Sądy Przysięgłych gadają, toby miał zbyt wiele z tem do roboty.

— To wielka prawda — potwierdził Sowerberry — wielka prawda.

— Przysięgli — mówił dalej Bumble, chwytając mocniej za laskę, jak to zwykle czynił, gdy go gniew ogarniał — przysięgli są to prostacy bez wykształcenia, bez kultury, nędzne gady.

— Nieinaczej... nieinaczej... — potwierdził znów przedsiębiorca.

— Tyle nawet filozofji i znajomości gospodarstwa społecznego nie posiadają! — wołał pan Bumble i strzepnął z pogardą palcami.

— Wielka prawda... wielka prawda! — potwierdził jeszcze Sowerberry.

— Pogardzam nimi — ciągnął woźny, czerwieniąc się coraz bardziej.

— I ja tak samo — powtórzył Sowerberry.

— Pragnąłbym, żebyśmy kilku tych zagorzałych przysięgłych dostali na tydzień lub dwa przynajmniej do naszego domu — konkludował woźny — a ręczę, iż ustawy i rozporządzenia naszego zboru upokorzyłyby ich wkrótce.

— O niezawodnie — przytaknął przedsiębiorca i uśmiechnął się zarazem, aby uśmierzyć wzrastający ciągle gniew oburzonego woźnego gminy.

Bumble zdjął z głowy swój trójgraniasty kapelusz, wyjął z niego chustkę do nosa, obtarł nią czoło z potu spływającego po niem obficie z gniewu, po-

tem włożył kapelusz napowrót na głowę i zwróciwszy się do przedsiębiorcy, rzekł nieco spokojniej:

— No i cóż, jakże będzie z chłopcem?

— Jak? — odparł przedsiębiorca. — Wszak sami wiecię najlepiej, panie Bumble, że niemało podatku muszę płacić na ubogich.

— Czyżby? — mruknął pan Bumble. — Niemało?

— Nieinaczej — odpowiedział przedsiębiorca. — Sądzę przeto, że skoro tyle na nich płacę, to mam prawo na nich też tyle zyskać, ile tylko mogę... nieprawda panie Bumble?... Dlatego zdaje mi się... że wezmę tego chłopca do siebie.

Pan Bumble chwycił pana Sowerberry za ramię i wprowadził do budynku.

Pan Sowerberry umawiał się ze zborem pięć minut. Ugoda została zawarta i Oliwer tego wieczora jeszcze miał być oddany do niego na próbę, to znaczy, jeśli majster przekona się, iż z pracy chłopca może osiągnąć więcej zysku, niż musi włożyć w niego żywności, to bierze go na tyle lat do terminu, na ile mu się tylko podoba.

Tego zatem wieczora przyprowadzono małego Oliwera przed oblicze zboru, który mu oświadczył, iż dzisiaj jeszcze zostanie oddany do posługi w sklepie pana Sowerberry, przedsiębiorcy pogrzebowego.

Przytem zagrożono mu, aby się nigdy nie poważył swego pana opuścić i do Domu Roboczego powrócić; gdyby to kiedykolwiek zamierzył uczynić, to natychmiast zostanie wysłany na morze, gdzie go albo zabiją, albo utopią, zależnie od woli lub fantazji kapitana okrętu.

Lecz Oliwer okazał taką obojętność na te groźby, iż cały zbór oświadczył jednocześnie, że jest chłopcem krnąbrnym i niepoprawnym złoczyńcą. Wkońcu rozkazał woźnemu usunąć go natychmiast z sali.

Chociaż jest to rzeczą bardzo zrozumiałą, iż zwierzchnicy gminy posiadają większe od innych ludzi prawo wpadania w gniew i cnotliwe oburzenie, gdy dostrzegą u kogokolwiek najmniejszą obojętność dla swej powagi, to przecież w danym wypadku nie mieli oni wcale słuszności. Cała bowiem sprawa z Oliwerem tak się przedstawiała, iż nie był on obojętny, tylko wskutek złego i nielitościwego obchodzenia się z nim od dzieciństwa popadł wprost w stan zwierzęcej nieczułości i zupełnego odrętwienia.

W milczeniu też wysłuchał wiadomości o nowem swojem przeznaczeniu, wziął do ręki zawiniątko, które nie mogło mu bardzo ciężyć, jako że wszystko zmieściło się w paczce z siwego papieru, mającej pół stopy długości, tyleż szerokości i trzy cale grubości, nacisnął czapkę na uszy i, uchwyciwszy się raz jeszcze obszytej złotemi galonami kurtki pana Bumble, wyruszył na nową scenę cierpień pod przewodnictwem tego godnego ze wszech miar człowieka.

Przez długi czas Bumble wlókł Oliwera za sobą, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi; głowę niósł dumnie do góry zadartą, jak na woźnego gminy przystało. Ponieważ dzień był bardzo wietrzny, małego Oliwera prawie że nie było widać z poza poły wierzchnej szaty pana Bumble, którą wiatr ciągle rozwiewał i przy tej sposobności odsłaniał jego białą kamizelkę i krótkie spodnie.

Gdy byli już niedaleko miejsca przeznaczenia, pan Bumble uznał za stosowne pochylić głowę i spojrzeć, czy też chłopczyna znajduje się w takim stanie, by go nowemu panu korzystnie przedstawić było można; całej tej czynności dokonał z dobrotliwością przychylnego opiekuna.

— Oliwer! — zawołał.

— Słucham pana — wyjąknął Oliwer drżącym głosem.

— Usuń czapkę z oczu i wyprostuj głowę!

Biedny Oliwer wypełnił natychmiast wszystko, czego od niego żądano, i ręką przesunął gwałtownie po oczach, łza jednak zabłysła w nich na nowo, gdy oczy podniósł do góry i spojrzał na swego przewodnika. A kiedy Bumble z powagą i surowością rzucił na niego okiem, to łza potoczyła się po policzku, a za nią druga i trzecia.

Biedny chłopiec dokładał wszelkich sił, aby je powstrzymać, lecz nadaremnie. Wysunął tedy i drugą rękę z dłoni pana Bumble, zakrył sobie twarz obiema i tak szczerze zaczął płakać, że łzy toczyły się strumieniem poprzez jego szczupłe i chude palce.

Pan Bumble stanął na ten widok i, rzucając na swego pupila groźne spojrzenie, zawołał:

— Jeszcze mi się nigdy w mojem życiu nie zdarzyło widzieć tak niewdzięcznego i złego chłopca, jak ty, Oliwerze.

— Ach, panie — szlochał Oliwer i chwycił woźnego za rękę, uzbrojoną w ową dobrze nam znaną urzędową laskę — ...nie, nie... ...Ja będę naprawdę dobry, naprawdę.... tylko ja jestem jeszcze taki mały, a już taki... taki...

— Co? — zapytał Bumble ze zdziwieniem.

— Tak opuszczony, panie, przez wszystkich opuszczony! — płakał chłopczyna. — Wszyscy mnie nienawidzą. Ach, panie, błagam cię, nie gniewaj się na mnie.

Chłopczyna położył rękę na sercu i ze łzami rozdzierającego bólu patrzał w twarz swojego towarzysza.

Pan Bumble spoglądał przez kilka chwil ze zdziwieniem na tego nieszczęśliwego i bezradnego chłopca, chrząknął potem kilka razy chrapliwie, mruknął

coś pod nosem w rodzaju: „ten przeklęty kaszel“, wreszcie kazał Oliwerowi otrzeć oczy i być dobrym i posłusznym chłopcem. Nakoniec, uchwyciwszy go powtórnie za rękę, szedł z nim dalej w milczeniu.

— — — — — — — —

Pan Sowerberry kazał właśnie pozamykać okiennice i sam zasiadł przy biurku, aby przy świetle lichej, łojowej świecy wciągnąć dochód dzienny do kięgi obrachunkowej, gdy pan Bumble wszedł do składu.

— A — zawołał przedsiębiorca, podnosząc głowę i urywając pisanie w połowie słowa. — To pan, panie Bumble?

— Nietylko ja, panie Sowerberry — odpowiedział woźny; — przyprowadziłem ze sobą chłopca.

Oliwer ukłonił się.

— A zatem to jest ten chłopiec? — zapytał przedsiębiorca i podniósł świecę do góry, aby się Oliwerowi lepiej przypatrzeć.

— Pani Sowerberry, czy nie zechciałabyś zejść na chwilkę do sklepu, moja droga?

Pani Sowerberry pojawiła się niebawem na progu małej izdebki, leżącej w tyle składu. Była to kobieta niskiego wzrostu, szczupła, chuda, zwiędła, z obliczem, na którem malowała się złośliwość.

— Moja droga — rzekł pan Sowerberry z wielkiem uszanowaniem — oto jest chłopiec z Domu Roboczego, o którym ci niedawno mówiłem.

Oliwer ukłonił się po raz drugi.

— Na miłość Boga! — zawołała żona przedsiębiorcy — jakiż to mały chłopiec!

— Prawda, że jest mały — odparł Bumble, spojrzawszy przytem z takim wyrazem na Oliwera, jakby to jego była wina, że więcej nie wyrósł — prawda, że jest mały... temu zaprzeczyć nie można. Ale

on jeszcze podrośnie, pani Sowerberry, z pewnością jeszcze podrośnie.

— O, wiem dobrze, że podrośnie — odpowiedziała jejmość z przekąsem — ale podrośnie na naszym chlebie. Nie widzę w tem żadnej oszczędności, gdy się bierze chłopców z Domu Roboczego do siebie: zjedzą oni więcej, niż są tego warci; ale mężczyźni myślą zawsze, że wszystko wiedzą najlepiej. Ruszże się z miejsca i zejdź po schodach na dół, ty mały szkielecie!...

Mówiąc to, pani Sowerberry otworzyła małe, boczne drzwi i zepchnęła Oliwera po schodach do ciemnej, wilgotnej komórki, stanowiącej sionkę, która prowadziła do piwnicy i tak zwanej kuchni, gdzie siedziała brudna dziewczyna, w trzewikach z przydeptanemi obcasami i w niebieskich pończochach, domagających się gwałtownie gruntownej naprawy.

— Karolino! — wołała pani Sowerberry, schodząc za Oliwerem na dół — daj temu chłopcu zimnego mięsa, które było zostawione dla Tripa. Od rana nie wrócił do domu, to też jeść nic nie dostanie. Myślę, że nie jesteś wybredny, prawda, chłopcze?

Oliwer, którego oczy zaiskrzyły się na samo wspomnienie o mięsie, zaczął drżeć z chciwości pochłonięcia tego przysmaczku jak najprędzej i odpowiedział potwierdzająco na pytanie. Niebawem też talerz mięsa z różnemi resztkami i kośćmi postawiono przed nim na stole.

Pragnąłbym, aby jaki dobrze wykarmiony filozof, w którego żołądku jadło i napój w żółć się zmieniają, a którego krew jest z lodu, serce zaś z żelaza, mógł widzieć w tej chwili Oliwera, połykającego mięsne przysmaczki, o które pies nawet nie dbał. Ów filozof mógłby poświadczyć, z jaką okropną żar-

łocznością, z jaką chciwością wygłodniałego zwierzęcia pochłaniał on te kęsy jeden po drugim.

— No i cóż — odezwała się żona przedsiębiorcy, gdy Oliwer skończył swą wieczerzę, na co patrzała z wewnętrzną zgrozą i obawą przed jego przyszłą żarłocznością — czy masz już dosyć?

Oliwer, nie widząc już przed sobą nic więcej do jedzenia, odpowiedział potwierdzająco na pytanie swej pani.

— To chodź za mną — rzekła pani Sowerberry, biorąc z sobą brudny, smrodliwy kaganek i wracając po schodach na górę. — Łóżko twoje jest pod stołem. Może się boisz spać między trumnami? Czy się jednak boisz, czy nie, o to wcale nie chodzi, gdyż i tak niema dla ciebie innego miejsca. Chodź; nie trzymaj mię tutaj przez całą noc!

Oliwer nie ociągał się dłużej i poszedł posłusznie za swoją nową panią.

Rozdział piąty.

Oliwer zawiązuje nową znajomość. Towarzysząc swemu panu po raz pierwszy na pogrzebie, nabiera złego wyobrażenia o jego zatrudnieniu.

Oliwer, pozostawiony sam jeden w składzie przedsiębiorcy pogrzebowego, postawił kaganek na warsztacie i spojrzał wkoło siebie z trwogą, której doznałby w podobnem położeniu niejeden z wielu starszych od niego.

Nieskończona trumna, stojąca na czarnych podstawkach w samym środku składu, wyglądała tak ponuro i strasznie, że dreszcz zimny przejmował biednego chłopca, ilekroć jego oczy zwróciły się w kierunku tego groźnego przedmiotu; ciągle bowiem zdawało mu się, że jakaś postać okropna wychyli z niego głowę i wprawi go w obłąkanie z samego strachu.

Wzdłuż ściany stał długi szereg desek, ustawionych systematycznie, jednakowo poprzerzynanych, które w bladem, ponurem świetle kaganka wyglądały niby widma o szerokich, barczystych rękach, trzymanych w kieszeniach od spodni. Wieka od trumien, heblowiny, błyszczące gwoździe i kawały czarnego sukna, — wszystko to leżało rozrzucone na podłodze; ściana nad biurkiem przyozdobiona była obrazem, przedstawiającym jaskrawemi barwami dwuch pachołków pogrzebowych, we właściwych im żałobnych ubiorach, a obok, przed wspaniałemi drzwiami jakiegoś pałacu stał parawan, do którego były zaprzężone cztery, czarnym kirem okryte konie.

Skład, w którym zamieszkał, był wąski i niski, a powietrze w nim było duszne i przesiąknięte grobowym zapachem. Nawet i łoże, przeznaczone dla niego pod stołem, miało wielkie podobieństwo do trumny.

Nietylko te uczucia dręczyły boleśnie serce Oliwera. Był sam jeden w obcem miejscu, a wszyscy wiemy o tem bardzo dobrze, jak smutnym i nieszczęśliwym czułby się każdy z nas, gdyby znalazł się w podobnem położeniu. Biedny chłopczyna nie miał przyjaciół, którzyby się o niego troszczyli, albo o których onby się troszczył. Wspomnienie rozstania było świeże w jego pamięci, ale świadomość, że nie porzucił ani jednego miłego i drogiego mu oblicza, zaciążyła na jego sercu. I smutno było mu bardzo — i, płacząc na swem twardem, wąskiem łożu, zapragnął, żeby zamieniło się ono w trumnę, ażeby on, ujęty snem spokojnym i wiekuistym, spoczywał już w grobie na cmentarzu, i bujna trawa rosła nad jego głową, a dźwięk dzwonów kościelnych przygrywał mu do snu wiecznego.

Nazajutrz rano obudziło go silne kopnięcie nogą we drzwi składu. To uderzenie powtórzyło się naj-

mniej dwadzieścia razy z wszelkiemi oznakami gniewu i oburzenia, zanim biedny Oliwer zdążył się ubrać. Gdy nakoniec zaczął odejmować łańcuchy od drzwi, owe nogi zaprzestały zabawy i głos nieznajomy odezwał się:

— Otwórz, słyszysz? — krzyczał głos, należący do nóg, które waliły w drzwi przed chwilą.

— Zaraz, proszę pana — odpowiedział Oliwer, zdejmując ostatnią zaporę i przekręcając klucz w zamku.

— Czy ty jesteś nowoprzyjętym chłopcem? — pytał głos przez dziurkę od klucza.

— Tak jest, panie — odpowiedział Oliwer.

— Ile masz lat? — pytał dalej ów głos.

— Dziesięć, proszę pana — odpowiedział Oliwer.

— No to dostaniesz cięgi, gdy tylko wejdę do składu — zawołał ów głos — wierz mi, ty wisusie.

I głos, dawszy Oliwerowi tę pocieszającą obietnicę, zaczął sobie świstać.

Oliwer zbyt często podlegał tej czynności, którą go ów krótko lecz dobitnie się wyrażający głos przyrzekł powitać, aby na chwilę przynajmniej mógł wątpić, iż właściciel głosu miałby nie dotrzymać danego słowa w sposób dla siebie jak najzaszczytniejszy. Drżącą ręką też odsuwał ostatnią zasuwkę i otworzył drzwi na oścież.

Przez kilka chwil Oliwer spoglądał na ulicę to w tę, to w ową stronę, sądząc, że ów nieznajomy, który rozmawiał z nim przez dziurkę od klucza, musi dla rozgrzewki przechadzać się po ulicy; lecz nikogo nigdzie nie spostrzegł, z wyjątkiem otyłego chłopca z Domu Miłosierdzia, który siedział naprzeciwko składu na kamieniu i spożywał spokojnie kromkę chleba z masłem, krając ją kozikiem na kawałki, wielkości otworu swych ust, i pochłaniając ją potem z wielką żarłocznością.

— Przepraszam pana — odezwał się nakoniec Oliwer, nie widząc nikogo więcej na ulicy — czy to pan pukał do drzwi?

— Tak jest... pukałem — odpowiedział chłopiec.

— Czy pan potrzebuje może trumny? — zapytał Oliwer naiwnie.

Wówczas chłopiec z Domu Miłosierdzia spojrzał na Oliwera groźnie i odpowiedział, iż to on sam będzie potrzebował trumny dla siebie, jeżeli sobie na takie żarty ze swoim przełożonym pozwala.

— Jak widzę, to nie wiesz, kto ja jestem, chłopcze z roboczego Domu — zawołał chłopiec z Domu Miłosierdzia, podniósłszy się z nadzwyczajną godnością z kamienia, na którym siedział.

— Nie, panie, nie wiem — odpowiedział Oliwer.

— Ja jestem pan Noe Claypole — rzekł na to chłopiec z Domu Miłosierdzia — a ty jesteś moim podwładnym. Pootwieraj okiennice, obrzydliwy malcze!

Powiedziawszy to, pan Noe Claypole naprzód uderzył biednego Oliwera silnie kułakiem w plecy, a potem wszedł do składu z wielką godnością, która miała mu dodać powagi. A przecież jest rzeczą trudną bardzo dla niskiego chłopca o dużej głowie, małych oczach, głupkowatej twarzy, utrzymać we wszystkich okolicznościach życia postawę i wyraz pełen godności, zwłaszcza, jeżeli do tych wdzięków osobistych doda się czerwony nos i żółte spodnie.

Gdy Oliwer zdjął okiennice i w zapędzie gorliwości zdążył zbić szybę, poczem wyniósł okiennice na małe podwórze, gdzie je w ciągu dnia przechowywano, gdy to uczynił, wówczas dopiero pan Noe zbliżył się do niego i pocieszywszy go miłem zapewnieniem, że coś oberwie, tak dalece się poniżył, że raczył przyjść mu z pomocą.

Niedługo potem zjawił się pan Sowerberry, a w kilka chwil po nim jego droga małżonka; poczem Oliwer, oberwawszy coś za stłuczoną szybę, jak mu to Noe przepowiedział, udał się za chłopcem do kuchni na śniadanie.

— Siadaj bliżej przy ogniu, Noe — rzekła Karolina. — Schowałam dla ciebie kawałek szynki z pańskiego śniadania. Oliwerze, zamknij drzwi za panem Noe i weź to, co tam leży na pokrywie od dzieżki. Oto jest twoja herbata, zanieś ją sobie na skrzynię i wypij, tylko prędko, bo cię wnet w składzie potrzebować będą. Słyszałeś?

— Słyszałeś, chłopcze z Roboczego Domu? — powtórzył Noe Claypole.

— Oj ty niepoczciwy Noe! — rzekła Karolina — jakie z ciebie dziwne stworzenie! Dlaczegoż nie dasz mu spokoju?

— Jemu dać spokój? — odparł Noe. — Czyliż mu cały świat nie daje spokoju?.. Odstąpili go nawet jego własny ojciec i własna matka. No i cóż, Karolino, czy nie mam racji? Ha, ha, ha!

— Oj ty dziwaku, ty! — odpowiedziała Karolina i roześmiała się na całe gardło.

Śmiał się również i Noe, poczem oboje spojrzeli ze złością na biednego Oliwera, który, drżąc z zimna, siedział w najodleglejszym kącie kuchni na skrzyni i spożywał najlichsze kęsy jadła, wybrane naumyślnie dla niego.

Noe był chłopcem z Domu Miłosierdzia, lecz nie sierotą z Domu Roboczego; nie był dzieckiem przypadku, i mógł nawet swój rodowód wyprowadzić aż do rodziców włącznie, mieszkających tuż obok. Jego matka była praczką, a ojciec żołnierzem, pijakiem, uwolnionym z wojska i posiadającym jedną nogę drewnianą oraz żołd, wynoszący dwadzieścia jeden pensów z ułamkiem.

Chłopcy z sąsiedztwa przywykli od dawna przedrzeźniać Noego, i ze względu na jego ubiór chłopca z Domu Miłosierdzia wołać nań różnemi hańbiącemi przezwiskami, jak np.: „chłopiec w skórzanych spodniach“, „chłopiec z Domu Miłosierdzia“ i t. p. Noe znosił to wszystko cierpliwie, lecz teraz, kiedy los dał mu pod rękę bezimiennego sierotę, nad którym najnędzniejszy nawet człowiek mógł bezkarnie się znęcać — teraz i on chciał na nim swoje cierpienia powetować.

Ten szczegół może stanowić przedmiot bardzo zajmujących rozmyślań.

Widzimy bowiem, jak piękną rzeczą jest serce ludzkie i jak bezstronnie przyroda rozwija te same miłe cechy zarówno w największym lordzie, jak i w najnędzniejszym chłopcu z Domu Miłosierdzia.

— — — — — — — — — —

Gdy Oliwer przebywał już trzy do czterech tygodni w domu przedsiębiorcy pogrzebowego, pan Sowerberry, udawszy się pewnego dnia z godną swoją połowicą na wieczerzę, rzekł do niej po uprzedniem rzuceniu paru pokornych spojrzeń:

— Kochana żono...

Chciał jeszcze więcej powiedzieć, lecz pani Sowerberry posłała mu tak szczególne spojrzenie, że zamilkł natychmiast.

— Co takiego? — zapytała opryskliwie.

— Nic, moja kochana, nic — odpowiedział pan Sowerberry.

— Jakież z ciebie głupie zwierzę! — zawołała pani Sowerberry.

— Bynajmniej, moja kochana — zaprzeczał pan Sowerberry z pokorą. — Sądziłem, że nie chcesz mię słuchać, moja droga. Ja ci tylko chciałem powiedzieć...

— Tylko nie mów mi tego, co chciałbyś mi powiedzieć — przerwała mu pani Sowerberry. — Ja jestem niczem, zatem nie radź mnie się wcale, bardzo cię o to proszę. Nie chcę wcale wdzierać się w twoje tajemnice.

Powiedziawszy to, wybuchnęła histerycznym śmiechem, który mógł był pociągnąć za sobą bardzo złe skutki.

— Ależ moja kochana — mówił Sowerberry — chciałem tylko zapytać o twoje zdanie...

— Nie, nie, nie chcę, żebyś się mnie pytał o zdanie — odpowiedziała pani Sowerberry z udaną skromnością — spytaj lepiej kogo innego.

Poczem nastąpił nowy wybuch histerycznego śmiechu, który mocno pana Sowerberry przeraził.

Taki śmiech jest środkiem powszechnym, często używanym w małżeństwie i zwykle bardzo skutecznym. W tym przypadku sprawił to również, iż pan Sowerberry uprosił sobie jako największą łaskę pozwolenie na powiedzenie tego, czego pani Sowerberry bardzo była ciekawa.

— Chciałem z tobą pomówić o tym małym chłopcu, o Oliwerze Twiście, moja droga — rzekł pan Sowerberry. — Chłopiec mile i dobrze wygląda, moja kochana.

— Jak niema dobrze wyglądać, kiedy je za czterech — odparła pani Sowerberry.

— Na jego twarzy przebija się jakiś wyraz smutku, — mówił dalej przedsiębiorca — i wzbudza zainteresowanie. Sądzę, że byłby z niego doskonały pachołek pogrzebowy, moja kochana...

Pani Sowerberry spojrzała na męża z wyrazem niemałego żdziwienia. Pan Sowerberry spostrzegł to i, nie dając żonie czasu na zrobienie najmniejszej uwagi, mówił dalej:

— Nie mówię, żeby go używać jako pachołka do prowadzenia pogrzebów ludzi dorosłych, moja kochana, ale do pogrzebów dziecinnych. Taki pachołek, zastosowany do wieku zmarłych, byłby nowością. Można liczyć, że zrobiłoby to wielkie wrażenie.

Pani Sowerberry, posiadająca wiele smaku w urządzaniu pogrzebów, była mocno przejęta oryginalnością tego pomysłu. Ponieważ jednak ubliżyłaby swej godności, gdyby w podobnych okolicznościach przyznała zasługę pomysłu mężowi, przeto zapytała go z większą jeszcze niż zwykle cierpkością: dlaczego ta myśl przedtem nie przyszła mu do głowy?

Pan Sowerberry wziął to pytanie, zresztą z zupełną słusznością, za dyplomatyczne potwierdzenie swego zamiaru i postanowił wdrożyć Oliwera jak najprędzej w tajniki swego rzemiosła. W tym celu nakazał chłopcu być zawsze gotowym do towarzyszenia mu na każde skinienie.

Nie potrzebowano długo czekać na tę sposobność. Nazajutrz, w półtorej godziny po śniadaniu, wpadł do składu pan Bumble, oparł o biurko swoją laskę, wydobył z kieszeni skórzany pugilares, wyjął z niego małą karteczkę i podał ją panu Sowerberry.

— Aha! — zawołał przedsiębiorca, spoglądając na kartkę z ożywieniem — zamówienie na trumnę i pogrzeb, nieprawdaż?

— Naprzód na trumnę, a potem na pogrzeb na koszt gminy... — odparł Bumble, chowając napowrót do kieszeni skórzany pugilares, podobny z rozmiarów do niego samego.

— Bajton! — zawołał przedsiębiorca, spoglądając to na kartkę, to na pana Bumble naprzemian. — Nie słyszałem przedtem tego nazwiska.

Bumble potrząsnął głową i odpowiedział:

— Jaki to naród uparty, panie Sowerberry, bardzo uparty; a pyszny, aż strach, proszę pana.

— Pyszny? Doprawdy! — zawołał Sowerberry szyderczo. — Ejże, to już za wiele!...

— Aż do znudzenia — odpowiedział woźny — aż do odrazy, panie Sowerberry.

— To prawda! — potwierdził przedsiębiorca.

— Nie słyszeliśmy o nim nigdy, dopiero wczoraj wieczór po raz pierwszy — mówił woźny — i nie bylibyśmy się nigdy niczego o nim dowiedzieli, gdyby kobieta, mieszkająca wraz z nim w jednym domu, nie była udała się do przełożonych gminy z prośbą o przysłanie lekarza do bardzo chorej u niego kobiety. Lekarz był właśnie przy obiedzie; ale jego pomocnik, młodzieniec bardzo mądry, posłał jej natychmiast lekarstwo w flaszce od czernidła.

— A, to się nazywa spieszna pomoc — zawołał przedsiębiorca.

— Spieszna, oczywiście! — potaknął woźny. — Lecz jakiż był tego skutek? Oto niewdzięczność ze strony tych rewolucjonistów! Wystaw sobie pan, panie Sowerberry, mąż tej chorej kobiety odesłał lekarstwo z powrotem i kazał powiedzieć, że jest ono dla jego żony niestosowne, że ona go zażywać nie będzie! Takie dobre, mocne i pewne lekarstwo, które tydzień temu zaledwie dano z najpomyślniejszym skutkiem dwum robotnikom z Irlandji i jednemu węglarzowi! To się ludziom posyła bezpłatnie... we flaszce od czernidła... a oni odsyłają napowrót i każą powiedzieć, że go zażywać nie będą, wystaw pan sobie!...

Ta niesłychana niewdzięczność musiała stanąć przed oczyma pana Bumble w całej swojej okropności, gdyż silnie laską stuknął o biurko i zaperzył się z oburzenia.

— To prawda — odezwał się przedsiębiorca — jeszcze nigdy... nie.. sły.. .szałem...

— Nigdyś jeszcze nie słyszał, panie? — podchwycił woźny — nietylko ty, ale nikt na świecie jeszcze tego nie słyszał! Kobieta umarła, a my ją teraz musimy pochować. Oto kartka na pogrzeb... im prędzej to się stanie, tem lepiej.

To rzekłszy, pan Bumble w zapale urzędowej gorliwości włożył swój trójgraniasty kapelusz krzywo na głowę i wypadł spiesznie ze sklepu.

— Tam do licha! Tak był zagniewany, że się nawet o ciebie zapomniał spytać, Oliwerze! — zauważył pan Sowerberry, spoglądając za woźnym, biegnącym szybko ulicą.

— To prawda, panie! — odpowiedział Oliwer, który w czasie tej rozmowy ukrywał się starannie przed wzrokiem woźnego, i teraz jeszcze, na samo wspomnienie jego głosu, drżał cały z przestrachu.

Oliwer nie potrzebował jednak unikać widoku pana Bumble; pan Bumble, na którego przepowiednia jegomościa w białej kamizelce zrobiła nadzwyczajne wrażenie, postanowił sobie mocno nie dopytywać się nigdy o Oliwera, dopóki tenże pozostaje jeszcze u przedsiębiorcy, „na próbę". Będzie mógł to uczynić dopiero po upływie tego czasu, gdy Oliwer zostanie mu oddany na siedem lat, wtedy bowiem przeminie niebezpieczeństwo, aby Oliwer mógł kiedykolwiek dostać się do Domu Roboczego z powrotem.

— Niechże i tak będzie — rzekł pan Sowerberry, szukając kapelusza — im prędzej się tego kłopotu pozbędziemy, tem lepiej. Noe, daj tymczasem baczenie na sklep, a ty Oliwerze weź czapkę i chodź ze mną.

Oliwer udał się posłusznie ze swoim panem dla spełnienia zawodowego posłannictwa.

— — — — — — — — — — —

Długo szli przez najludniejszą i najciaśniej zabudowaną część miasta, wreszcie zawrócili w uliczkę

węższą i brudniejszą niż wszystkie inne, przez jakie dotąd przechodzili. Tutaj zwolnili nieco kroku, aby odszukać dom, będący celem ich wycieczki.

Domy po obu stronach ulicy były wysokie i duże, lecz bardzo stare i zamieszkane przez najuboższą ludność, o czem świadczył nietylko zaniedbany wygląd zewnętrzny, lecz również widok nędznie wyglądających kobiet i mężczyzn, którzy z założonemi rękoma błąkali się po chodnikach.

Większość budynków miała od frontu sklepy, które jednak były zrujnowane i zamknięte. Jedynie wyższe piętra były zamieszkane.

Widziało się też bardzo wiele i takich domów, które z powodu starości i zrujnowania groziły zawaleniem, i w ten sposób od zupełnego upadku zostały uchronione, że podparto je belkami, jednym końcem wpuszczonemi głęboko w ziemię, a drugim podtrzymującemi ściany. Lecz i w tych, jak się zdawało, szukali sobie na noc schronienia biedni ludzie, nie mający innego przytułku, gdyż wiele desek, zastępujących drzwi i okna, było wysuniętych z miejsc właściwych, a to w celu zrobienia otworu, przez który istota ludzka przecisnąćby się mogła.

Ścieki i kanały były zatamowane i cuchnące błotem. Nawet szczury, gnijące tu i owdzie, wyglądały tak, jakby poginęły z głodu.

U otwartych drzwi domu, przed którym zatrzymali się Oliwer i jego pan, nie było ani młotka, ani dzwonka. Przedsiębiorca, idąc z największą ostrożnością po omacku przez ciemną sień, poleciwszy Oliwerowi, aby go się mocno trzymał i niczego nie bał, wspiął się nakoniec po ciemnych schodach na pierwsze piętro i natknął na drzwi, do których natychmiast zapukał.

Drzwi otworzyła mu dziewczyna lat trzynastu do czternastu. Przedsiębiorca na podstawie tego,

co zobaczył, poznał, iż było to właśnie mieszkanie, do którego go skierowano. Wszedł tedy do izby, a Oliwer za nim.

W izbie nie było ognia, chociaż jakiś człowiek, siedział skulony bezmyślnie przed zimnym i próżnym kominkiem. Jakaś staruszka przysunęła sobie również do tego zimnego ogniska niski stołeczek i usiadła na nim.

W drugim końcu izby tuliło się do siebie kilkoro łachmanami okrytych dzieci, a w wąskiej framudze, umieszczonej w murze wprost drzwi wchodowych, leżało na ziemi coś, okrytego starem prześcieradłem.

Oliwer, rzuciwszy okiem w to miejsce, wzdrygnął się mimowolnie i przysunął do swego pana, przeczuł bowiem, że na ziemi leżały zwłoki ludzkie, nakryte prześcieradłem.

Człowiek przy kominku miał twarz bladą i wynędzniałą, włos na głowie i brodzie siwy, a oczy krwią nabiegłe. Oblicze staruszki pokryte było już zmarszczkami, dwa zęby ostatnie sterczały jej z ust i zachodziły poza dolną wargę; oczy miała duże i przenikliwe.

Oliwer bał się spojrzeć na nią lub na jej towarzysza; wydawali mu się bowiem oboje podobni do tych szczurów, które widział na ulicy.

— Niechaj nikt nie waży się do niej zbliżyć! — zawołał człowiek i zerwał się od kominka, patrząc groźnie na przedsiębiorcę, zmierzającego do trupa. — Precz od niej, precz, jeżeli ci życie miłe.

— Ot, bajesz, mój poczciwce — rzekł przedsiębiorca, przyzwyczajony do wszelakiej nędzy — duby smalone.

— A ja ci powiadam — wołał człowiek, ściskając pięści i tupiąc z wściekłością nogą o ziemię — ja ci powiadam, że nie chcę, aby ją pocho-

wano. Ona w ziemi leżeć nie może. Tamby jej robaki spokoju nie dały, a ona i tak już na tym świecie spokoju nie miała.

Przedsiębiorca nie odpowiedział ani słowa, lecz dobywszy miarę z kieszeni, ukląkł na chwilę koło trupa.

— Ach! — zawołał człowiek, wybuchając płaczem i rzucając się na kolana u nóg zmarłej kobiety — klękajcie, klękajcie wszyscy... klękajcie, koło niej i słuchajcie, co wam powiem. Ja wam mówię, że ona umarła z głodu. Nie wiedziałem o tem, że jest słaba dopóty, dopóki nie dostała gorączki, a kości jej przez skórę nie zaczęły przeglądać... Nie mieliśmy ani ognia, ani światła, i ona umarła w ciemność... tak, w ciemności!... Nie mogła nawet zobaczyć oblicza swych dzieci, choć słyszeliśmy dobrze, że je wołała po imieniu. Dla niej żebrałem na ulicy, a oni wtrącili mię do więzienia. Gdy mię z więzienia wypuszczono, ona już konała. Wszystka krew ścięła mi się w żyłach lodem, gdym się dowiedział o tem, że jej dano umrzeć z głodu. Przysięgam na Boga, który wszystko widział... że jej dano umrzeć z głodu.

Z rozpaczy chwycił się za włosy, rzucił z przeraźliwym wrzaskiem na ziemię i z pieniącemi usty, z oczyma w słup postawionemi, zaczął się po niej tarzać.

Dzieci, przerażone, rozpłakały się gorzko. Lecz staruszka, która dotąd siedziała cicho, jakby to, co się koło niej działo, nie obchodziło jej zupełnie, albo też jakby tego wcale nie słyszała, uspokoiła je natychmiast groźbami, poczem człowiekowi, rozciągniętemu wciąż na ziemi, odwiązała chustkę na szyi i zbliżyła się do przedsiębiorcy.

— To moja córka — rzekła, wskazując na zmarłą i patrząc wzrokiem tępym, groźniejszym jeszcze od wzroku samego trupa. — Boże!... Jakże to dziwne,

że ja, com jej przecież życie dała i była wtedy już kobietą zamężną, że ja jeszcze dotąd żyję i jestem zdrowa, a ona tu leży taka zimna i skostniała... Boże!... Gdy o tem pomyślę... to mi się to wydaje bardzo zabawne... bardzo zabawne!

Podczas gdy nieszczęśliwa istota, tak mrucząc i uśmiechając się dziko, zastanawiała się nad tem wszystkiem z przerażającem żdziwieniem, przedsiębiorca zaczął zbierać się do odejścia.

— Poczekaj!... Poczekaj! — zawołała staruszka głośnym szeptem — kiedyż ją pochowacie, dzisiaj rano... czy jutro... czy też w nocy? Muszę o tem wiedzieć... bo przecież muszę odprowadzić ją na cmentarz. A przyślijcie mi szeroki płaszcz... tylko ciepły... bo zimno. Powinnibyście dostać wina i ciastek, nim stąd wyruszymy!... Ale przyślijcie nam tylko chleba i kubek wody. Cóż, czy chleba dostaniemy, mój kochany panie? — zakończyła gorączkowo, chwytając przedsiębiorcę za poły od surduta, gdy się ten coraz bardziej ku drzwiom posuwał.

— Dostaniecie... Dostaniecie — odpowiedział Sowerberry — dostaniecie wszystkiego, czego pragniecie.

Uwolnił się od starej kobiety i, ciągnąc Oliwera za sobą, wybiegł śpiesznie z tego domu.

Nędzarzy pocieszono istotnie w strapieniu pół bochenkiem chleba i kawałkiem sera, co im pan Bumble sam osobiście zaniósł, i nazajutrz, gdy Oliwer i jego pan przybyli do tego mieszkania nędzy, zastali tam już pana Bumble, który zjawił się w towarzystwie czterech ludzi z Domu Roboczego, mających nieść trumnę.

Łachmany męża i staruszki pokryto starym, czarnym płaszczem, prostą białą trumnę zabito gwoździami, a owi czterej ludzie z Roboczego Domu wzięli ją na barki i wynieśli na ulicę.

— Weżże teraz nogi za pas i pośpieszaj co żywo, moja matko — szepnął Sowerberry staruszce do ucha. — Już późno, a nie wypada, żeby ksiądz miał długo na nas czekać... Dalej, naprzód, moi ludzie!... Pospieszajcie, jak tylko możecie.

Na ten rozkaz ludzie, niosący trumnę, pobiegli pędem prawie ze swym lekkim ciężarem na barkach, a staruszka i mąż w żałobie trzymali się ich blisko, jak tylko mogli. Pan Sowerberry i Bumble szli sporym krokiem naprzód, Oliwer zaś, nie mający tak długich nóg, jak jego pan, musiał biec z całej siły.

Nie było jednak żadnej potrzeby tak się śpieszyć, jak to zalecał pan Sowerberry, gdyż kiedy przybyli na cmentarz, zanieśli trumnę w najodleglejszy kąt, tam, gdzie tylko rosną pokrzywy i bywają chowani ci, których gmina na swój koszt grzebie, księdza jeszcze nie było, i kościelny, siedzący w zakrystji przy dobrym ogniu, oznajmił, iż według jego mniemania, księdza spodziewać się można dopiero za godzinę, a może i później jeszcze.

Złożono tedy trumnę na brzegu grobu, a staruszka i mąż oczekiwali z największą cierpliwością przybycia księdza, stojąc przez cały czas na drobnym, zimnym deszczu, w towarzystwie kilku obszarpanych chłopców, którzy, zwabieni na cmentarz widowiskiem pogrzebu, z nudów i braku zatrudnienia bawili się tymczasem pomiędzy nagrobkami w chowanego, a gdy im i to się sprzykrzyło, dla odmiany zaczęli skakać przez trumnę. Sowerberry i Bumble, będąc osobistymi przyjaciółmi kościelnego, zasiedli sobie z nim przy ogniu i czytali gazety.

Gdy minęła godzina a może i więcej, pan Bumble, Sowerberry i kościelny wypadli nakoniec z zakrystji i podeszli spiesznie do grobu. Tu za nimi ukazał się ksiądz, wdziewający po drodze komżę na siebie.

Pan Bumble skarcił dla pozoru kilku chłopców, a ksiądz, przeczytawszy z modlitw pogrzebowych tyle, ile w przeciągu czterech minut mógł przez zęby przecedzić, oddał komżę kościelnemu i oddalił się spieszniej jeszcze, niż przybył.

— Dalejże, Billu! — rzekł Sowerberry do grabarza — zasyp grób!

Nie wymagało to wielkiego trudu, gdyż grób był tak płytki, iż trumna wystawała z ziemi przynajmniej na pół stopy. Grabarz zasypał grób ziemią, udeptał ją nogami, założył rydel na barki i oddalił się wraz z ulicznikami, którzy skarżyli się na to żałośnie, że się wszystko odbyło tak prędko.

— Chodźże i ty, mój poczciwcze — rzekł Bumble, uderzając po ramieniu człowieka w żałobie — gdyż cmentarz natychmiast zamkną.

Ów człowiek, który od czasu przybycia na cmentarz i ustawienia się nad grobem nie ruszał się zupełnie, teraz wzdrygnął się, podniósł głowę, spojrzał osłupiałym wzrokiem na osobę, która do niego mówiła, postąpił kilka kroków i padł na ziemię.

Obłąkana staruszka nadto była zajęta swemi żalami nad utratą płaszcza, (który jej Sowerberry kazał odebrać), aby mogła temu człowiekowi przyjść z pomocą; oblano go więc dzbankiem zimnej wody, a gdy po tej kąpieli przyszedł do siebie, wyprowadzono go z cmentarza, który natychmiast zamknięto; poczem rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę.

— No i cóż, Oliwerze — spytał pan Sowerberry swego pomocnika, gdy wracali do domu — jakżeż ci się to wszystko podobało?

— Dziękuję panu — odpowiedział Oliwer z wahaniem — niebardzo.

— Przyzwyczaisz się z czasem do tego wszystkiego, mój chłopcze! — odrzekł Sowerberry — przedewszystkiem trzeba się przyzwyczaić.

Oliwer pomyślał sobie w duszy, ile też czasu potrzebował pan Sowerberry, aby się do tego wszystkiego przyzwyczaić; uznał przecież za stosowne, iż lepiej się o to nie pytać, i wracał w milczeniu do domu, rozmyślając nad wszystkiem, co widział i słyszał.

Rozdział szósty.

Oliwer, rozdrażniony zelżywemi słowy plotek Noego, wpada w szał i wprawia Noego w zdumienie.

Minął nakoniec czas próby, Oliwer został formalnie przyjęty do terminu.

Była to właśnie pora roku bardzo niezdrowa. Mówiąc po kupiecku: trumny odchodziły bardzo dobrze, i Oliwer, w ciągu kilku tygodni, nabrał w swojem rzemiośle wielkiego doświadczenia.

Powodzenie bystrego pomysłu pana Sowerberry przewyższyło najśmielsze nawet jego nadzieje. Najstarsi mieszkańcy miasteczka nie pamiętali takiego roku, w którymby kur tak panował i tak był dla dzieci śmiertelny; mały Oliwer, w kapeluszu na głowie, przyozdobionym w czarne wstęgi, sięgające aż po kolana, musiał prowadzić niemałą ilość smutnych pogrzebowych pochodów ku niewypowiedzianemu podziwieniu i rozczuleniu wszystkich matek miasteczka.

Ponieważ zaś Oliwer towarzyszył swojemu panu i przy wielu innych niemniej smutnych pochodach pogrzebowych, a to w tym celu, by nauczyć się panować nad nerwami, co dla wytrawnego przedsiębiorcy pogrzebowego jest koniecznie potrzebne, więc miał często sposobność stykania się ze wzniosłą uległością człowieka dla woli Boga i tą mocą ducha, z jaką wiele osób znosi swoje cierpienia i straty.

Jeżeli np. zdarzył się pogrzeb jakiego pana lub bogatej, starej pani, otoczonej wielką liczbą siostrzeń-

ców, bratanków, wnuków i t. p., których w czasie choroby wzmiankowanych osób nic w smutku pocieszyć nie zdołało i którzy nawet wobec świata swojej rozpaczy opanować nie mogli, to Oliwer mógł zaobserwować, iż ci sami ludzie, znalazłszy się między sobą, okazywali wesołość i zadowolenie, rozmawiali żartobliwie i swobodnie, jakby się nie zdarzyło nic takiego, coby ich mogło było zasmucić.

Mężowie znosili również stratę swoich żon z bohaterskim spokojem, a żony, przywdziewając suknie żałobne po swoich mężach, odbiegały daleko od ich symbolicznego znaczenia i przemyśliwały tylko nad tem, jakby się w nich najodpowiedniej wydać. Często też można było zauważyć, iż mężczyźni i kobiety, rozpływający się we łzach rozpaczy w czasie pogrzebowego obrzędu, po powrocie do domu przychodzili natychmiast do siebie i odzyskiwali zupełny spokój, zanim zdążyli jeszcze wypić obrzędową herbatę.

Wszystko razem było rzeczywiście bardzo zabawne i pouczające i wszystkiemu też Oliwer przypatrywał się z wielkim podziwem.

Czy przykład tych wszystkich zacnych ludzi i Oliwera Twista również pobudzał do uległości, tego napewno nie myślę twierdzić chociaż jestem jego biografem; stanowczo jednak mogę powiedzieć, iż przez kilka miesięcy znosił cierpliwie wszelkie prześladowania ze strony Noego Claypola, który w przystępie zazdrości znęcał się nad nim więcej, niż to czynił uprzednio. Noe bowiem nie mógł tego przeboleć, że nowoprzyjęty Oliwer został podniesiony do godności pogrzebowego pachołka z czarną laską w ręku i kapeluszem z czarnemi wstęgami na głowie, podczas gdy on, starszy wiekiem, trwał w dalszym ciągu przy swojej futrzanej czapce i skórzanym fartuchu.

Karolina obchodziła się także źle z Oliwerem, ponieważ Noe czynił to samo, a pani Sowerberry stała

się najzawziętszą jego nieprzyjaciółką tylko dlatego, że mu pan Sowerberry okazywał przychylność. I tak Oliwer, żyjąc w otoczeniu tych trzech osób z jednej strony, a w powodzi pogrzebów z drugiej, nie mógł czuć się tak dobrze, jak owo głodne prosię, które przez pomyłkę zamknięto w śpichlerzowym oddziale browaru.

A teraz przechodzimy do bardzo ważnego zdarzenia w życiu Oliwera. Wypadek ten na pierwszy rzut oka jest mało znaczący, jednak pośrednio spowodował on wielką zmianę w widokach na przysłość i całem jego postępowaniu.

Pewnego dnia Oliwer i Noe zeszli się w kuchni o zwykłej porze obiadowej, aby uraczyć się tam lichym, półtorafuntowym kęsem skopowego mięsa, — tem gorszym, że wziętym z najgorszego końca samego karku. W tym czasie Karolinę zawołano właśnie na górę, chłopcy więc musieli czekać czas jakiś, którego Noe Claypole, będąc głodnym, a wskutek tego bardziej złośliwym, nie mógł, według swego mniemania, lepiej użyć, jak na wzmożone drażnienie i judzenie młodszego kolegi.

Noe, zabierając się do tej niewinnej zabawy, rozłożył nogi na stole i zaczął Oliwera to za włosy targać, to szczypać w uszy. Poczem oświadczył mu, że jest n i k c z e m n y m l i z u s e m, oraz wyraził gorące życzenie zjawienia się jako naoczny świadek w chwili, gdy Oliwer będzie kończył życie na szubienicy. Nakoniec przeszedł do innych, również uszczypliwych i dotkliwych urągań, na jakie się tylko taki chłopiec z Domu Miłosierdzia mógł zdobyć.

Gdy żaden z tych ciosów nie pociągał za sobą pożądanego skutku i nie pobudził Oliwera do płaczu, Noe, chcąc tego koniecznie dopiąć, postanowił rozwinąć jeszcze większy dowcip i w tym celu przeszedł, jak to zresztą czynią ludzie bardziej od Noego

wartościowi, gdy pragną okazać się dowcipni — przeszedł do zaczepek na tle osobistem.

— Chłopcze z Roboczego Domu — odezwał się — jak się ma twoja matka?

— Umarła — odpowiedział Oliwer — nie wspominaj mi nic o niej.

Mówiąc to, Oliwer zaczerwienił się i zaczął mocniej oddychać, Noe zaś z pewnego drżenia jego nosa i ust począł wnosić, iż bliski już jest wybuch gwałtownego płaczu.

W tem przekonaniu wrócił do zamierzonego czynu.

— Na cóż ona umarła, chłopcze z Roboczego Domu? — zapytał.

— Umarła na serce, jak mi powiedziała jedna z dozorczyń — odparł Oliwer, mówiąc raczej do siebie, niż do Noego. — O, ja wiem dobrze, jak to musi być okropnie, jeżeli serce pęka komu z bólu.

— Tralala! Głupstwa!... Dobrze jej tak, chłopcze z Roboczego Domu! — zawołał Noe.

Widząc zaś łzy, toczące się po twarzy Oliwera, dodał:

— Czegóż się mazgaisz, chłopcze z Roboczego Domu?... Cóż cię do płaczu pobudza?

— Nie myśl, że ty! — odpowiedział Oliwer, ocierając łzy z pośpiechem.

— Nie ja? Nie — zawołał Noe szyderczo.

— Nie, nie ty — odparł Oliwer szorstko. — Dosyć tego; żebyś mi ani słowa więcej o niej nie mówił! Nie chcę!

— Nie chcesz? — powtórzył Noe — Patrzaj go!... On nie chce!... Chłopcze z Roboczego Domu, nie bądź zuchwały! A twoja matka... to była prawdziwa szlampa... ha, ha, ha!...



I przy tych słowach Noe znacząco kiwnął głową i skrzywił swoim czerwonym nosem tak bardzo, jak tylko mógł.

— Ty wiesz, chłopcze z Roboczego Domu — mówił dalej, ośmielając się milczeniem Oliwera i dobierając wyrazów najbardziej dotkliwych, a okraszając je szyderstwem i udaną litością — ty wiesz, chłopcze z Roboczego Domu, że temu już teraz zaradzić nie można. I ty też już nic na to nie poradzisz. Mnie to bardzo boli... my cię nawet wszyscy bardzo żałujemy... ale raz się musisz o tem dowiedzieć, chłopcze z Roboczego Domu, że twoja matka była prawdziwą szlarką.

— Co ty mówisz? — zawołał Oliwer, spoglądając na niego z żywością.

— Nic więcej jak tylko to, że twoja matka była prawdziwą szlarką, chłopcze z Roboczego Domu! — odpowiedział Noe zimno. — I to dla niej daleko lepiej, że tak wcześnie umarła; inaczej byłaby musiała albo ciężko pracować w Domu Poprawy, albo znieść wytransportowanie, a może nawet i powieszenie.

Oliwer zawrzał wściekłością; zerwał się nagle z ławki, wywrócił stół i stołek, chwycił Noego za gardło, wstrząsnął nim z taką mocą, że aż zęby zadzwoniły, poczem, wytężywszy wszystkie siły, jednem uderzeniem w kark powalił go na ziemię.

Jeszcze przed chwilą Oliwer był najspokojniejszem, najłagodniejszem, najpokorniejszem stworzeniem, jakiem uczyniło go srogie z nim obejście. Ale jego dusza zostało wzburzona; a krew zakipiała w żyłach na zniewagę, jaką zadano jego zmarłej matce.

Pierś jego dyszała, oko płonęło, cała postać wyprężyła się, gdy rozjuszony stał nad nikczemnym

dręczycielem, leżącym u jego nóg, i karcił go ze śmiałością, jakiej dotąd nigdy nie okazał.

— Zabije mnie! — wołał Noe — Karolino! Pani! Oliwer chce mnię zabić! Ratunku!... Oliwer oszalał! Gwałtu! Pomocy! Karolino!...

Na ten krzyk Noego Karolina odpowiedziała głośnym wrzaskiem, a pani Sowerberry jeszcze głośniejszym piskiem. Pierwsza wpadła natychmiast bocznemi drzwiami do kuchni, a druga zatrzymała się tymczasem na schodach i dopóty na tem stanowisku trwała, dopóki nie przekonała się dostatecznie, iż bez narażenia życia na szwank, może zejść do kuchni.

— O, ty mały drabie! — wołała Karolina, chwytając Oliwera za kark z całej siły, której nie powstydziłby się dobrze wyćwiczony mężczyzna. — O ty nie-wdzięcz-niku, ty roz-bój-ni-ku, ty nie-pocz-ci-wy chłopcze!

I za każdą sylabą uderzała Oliwera pięścią w kark, dodając do tych ciosów wezwanie miłosierdzia boskiego...

Pięść Karoliny nie należała bynajmniej do lekkich; nie była jednak wystarczająca do poskromienia złości Oliwera i uskuteczniła to dopiero pomoc pani Sowerberry, która wpadła tymczasem do kuchni. Pani Sowerberry jedną ręką pomagała go trzymać, drugiej zaś użyła do podrapania mu twarzy paznokciami. Noe, korzystając z pomyślnego obrotu sprawy, zerwał się z ziemi i zaczął okładać przeciwnika z tyłu.

Podobna gimnastyka była zbyt gwałtowna, by długo trwać mogła.

Gdy nakoniec wszyscy troje ostatecznie się zmęczyli i gdy im już sił zabrakło, aby dłużej Oliwera bić i nad nim się znęcać, wówczas zawleczono zbitego, zakrwawionego, lecz w głębi duszy niepoko-

nanego chłopca do piwnicy na węgle i tam go zamknięto.

Po dopełnieniu tak bohaterskiego czynu, pani Sowerberry rzuciła się na krzesło i wybuchnęła płaczem.

— Wielki Boże!... Ona umrze! — zawołała Karolina. — Przynieś wody, drogi Noe, tylko żywo!... śpiesz się!

— Ach, Karolino! — jęczała pani Sowerberry tak głośno, jak jej pozwoliły na to zmęczenie i obfitość wody, którą Noe wylał jej na kark i na głowę — Ach, Karolino, jak gorące dzięki powinniśmy złożyć Bogu, że nas ten mały rozbójnik wszystkich w łóżkach nie wymordował!

— To prawda, pani, to prawda! — odpowiedziała Karolina. — Spodziewam się, że to będzie nauczka dla naszego pana i że drugi raz nie sprowadzi do domu takich wstrętnych stworzeń, które na to tylko się porodziły, aby ludzi rozbijać i mordować. Biedny Noe! Omal go ten złoczyńca nie zabił...

— Biedny chłopczyna! — powtórzyła pani Sowerberry, spoglądając z litością na chłopca z Domu Miłosierdzia.

Noe, któremu Oliwer czubkiem swej głowy sięgał zaledwie po guzik od kamizelki, widząc rozczulenie niewiast, zaczął ręką trzeć sobie oczy i nakoniec kilka łez z nich wycisnął.

— Cóż teraz poczniemy? — zapytała pani Sowerberry. — Męża niema w domu... żadnego mężczyzny też w domu niema... a on najdalej za dziesięć minut drzwi wysadzi.

Zdawało się, że Oliwer chce uprzedzić przepowiednie swej pani, gdyż z siłą niepospolitą dobijał się do drzwi dębowych od piwnicy.

— Boże mój, Boże!... — odezwała się Karolina — najlepiej będzie posłać po policję.

— Albo po wojsko — wtrącił Claypole.

— Nie, nie — odpowiedziała pani Sowerberry, przypomiawszy sobie dawnego przyjaciela Oliwera. — Noe, pobiegnij do pana Bumble i proś go, żeby natychmiast do nas przyszedł. Nie szukaj czapki... spiesz się! Na siniec pod okiem przyłóż tymczasem zimny nóż, to ci pomoże na spuchliznę.

Noe nie odpowiedział ani słowa i natychmiast zabrał się do spełnienia rozkazu swej pani; ludzie, którzy go widzieli na ulicy, dziwili się mocno, że chłopiec z Domu Miłosierdzia biegnie jak oszalały bez czapki na głowie, a z nożem przy oku.

Rozdział siódmy.

Oliwer trwa wciąż w swej krnąbrności.

Noe Claypole biegł cwałem przez ulice i nie zatrzymał się ani razu, dla nabrania tchu, aż dopiero gdy dobiegł do bramy Domu Roboczego. Tutaj odpocząwszy chwilę, aby sił nabrać do szlochania, znaczną ilość łez przygotować i twarz do udanego przestrachu ułożyć, — zapukał głośno do bramy i przed biednym staruszkiem, który mu drzwi otworzył, stanął z takim wyrazem przerażenia na twarzy, że nawet starowina, który w najszczęśliwszych i najpomyślniejszych chwilach swego życia nic prócz żałosnych twarzy koło siebie nie widział, że nawet ten starowina cofnął się trochę ze zdumienia.

— Co ci się stało? Czego chcesz, mój chłopcze? — zapytał.

— Pana Bumble! Pana Bumble! — zawołał Noe z tak dobrze udaną grozą, przyczem tak głośno i trwożliwie, że krzyk jego doszedł nietylko do uszu pana Bumble, będącego przypadkiem w pobliżu, ale tak mocno go przeraził, że wypadł na podwórze bez swego trójgraniastego kapelusza na głowie. Było to

zdarzenie niezwykłe i dziwne, dowodzące, że nawet i woźny gminy pod wpływem silnego wrażenia może utracić władzę panowania nad sobą i zapomnieć o swej godności.

— Ach, panie Bumble! Panie Bumble! — wołał Noe — Oliwer... panie... Oliwer!...

— Oliwer?... No i cóż?... Cóż? — przerwał mu Bumble z błyskiem radości w oczach. — Przecież nie uciekł!... Czy może uciekł?... Co, Noe?

— Nie, nie, nie uciekł, panie!... Ale dostał pomieszania zmysłów — odpowiedział Noe. — Chciał mię zabić, zamordować, panie!... A potem chciał zamordować Karolinę i naszą panią. Ach, co za straszna rzecz, ile myśmy strachu użyli, panie!...

To rzekłszy, Noe zaczął się wić i kurczyć jak wąż, chcąc dać tem panu Bumble do zrozumienia, ile wskutek nagłego i gwałtownego napadu szaleństwa Oliwera ucierpiał i wskutek tego tak wielkich boleści w tej chwili doznaje.

Spostrzegłszy zaś, że wiadomość, którą przyniósł, przeraziła pana Bumble dostatecznie, chciał to wrażenie powiększyć głośniejszym jeszcze jękiem i żałośniejszemi skargami na okropne rany, jakie otrzymał; a gdy zauważył jeszcze jegomościa w białej kamizelce, przechodzącego właśnie przez podwórze, żale swoje i jęki doprowadził do najwyższego stopnia. Wnosił bowiem bardzo słusznie, że przez to najłatwiej zwróci na siebie uwagę owego jegomościa i wzbudzi w nim wzrastające oburzenie.

Nadzieja go nie zawiodła, gdyż jegomość zatrzymał się i zapytał pana Bumble, dlaczego chłopiec tak jęczy, a pan Bumble się nad nim nie zlituje i nie udzieli mu takiej pociechy, która położyłaby kres jego rozpaczy.

— Jest to biedny chłopiec, pozostający w terminie, panie — odpowiedział Bumble — a którego mały

Oliwer Twist omal nie zabił; tak jest, nawet już prawie zabił!...

— Na Boga! — zawołał jegomość w białej kamizelce, zbliżając się do nich. — Przewidywałem to! Od samego początku miałem przeczucie, że ten krnąbrny i zuchwały chłopiec będzie kiedyś wisiał.

— I służącą chciał zamordować — dodał pan Bumble, blady jak chusta.

— I panią!... — wtrącił Noe Claypole.

— I pana, nieprawda Noe? — dodał Bumble.

— Nie, pana nie, gdyż pana wtenczas w domu nie było; inaczej pewnieby go także chciał zamordować — odpowiedział Noe — przynajmniej powiedział, że uczyniłby to.

— Doprawdy?... Mówisz, mój chłopcze, że on powiedział, iż uczyniłby to? — pytał jegomość w białej kamizelce.

— Tak jest, panie! — odpowiedział Noe. — A pani posłała mnie tutaj i kazała się dowiedzieć, czy pan Bumble nie będzie miał tyle czasu, aby do nas przyjść i ukarać go, gdyż naszego pana niema w domu.

— Oczywiście, mój chłopcze, oczywiście!... — odparł jegomość w białej kamizelce, uśmiechając się dobrotliwie i głaszcząc po głowie Noego, który przynajmniej o trzy cale był od niego wyższy.

— Ty jesteś dobrym chłopcem... — mówił dalej — bardzo uczciwym chłopcem... Oto masz pensa!... Bumble! Idź z nim natychmiast do domu pana Sowerberry, tylko nie zapomnij laski!.... Idź i zobacz, co się tam dzieje i co trzeba zrobić, a przedewszystkiem nie żałuj tamtego zupełnie, Bumble.

— O, tego nie uczynię, panie! — zapewnił woźny i przygotował sobie sznureczek z pętelkami, umocowany u grubego końca urzędowej laski, aby tem skuteczniej przy wymierzaniu kary móc działać.

— Powiedz także panu Sowerberry, ażeby chłopca wcale nie żałował, gdyż z nim nic nie wskóra bez pomocy cięgów i basów!... — dodał jegomość w białej kamizelce.

— Już ja się o to postaram, panie! — odpowiedział Bumble i zasadziwszy trójgraniasty kapelusz na głowę, a laskę urzędową wziąwszy w rękę, jak najśpieszniej udał się za Noem Claypole do domu przedsiębiorcy.

Tutaj położenie rzeczy wcale się nie zmieniło; pan Sowerberry nie wrócił jeszcze do domu, a Oliwer nie ustawał w wysiłkach wyważenia dębowych drzwi od piwnicy.

Według opowiadania pani Sowerberry i Karoliny, wściekłość jego była tak wielką, iż pan Bumble uznał za rzecz najroztropniejszą wejść z nim pierwej w układy przez drzwi.

W tym celu najprzód uderzył w nie nogą, a potem, przytknąwszy usta do dziurki od klucza, poważnie i groźnie zawołał:

— Oliwer!

— Puszczajcie mnie stąd! — odezwał się Oliwer z wewnątrz.

— Czy poznajesz mój głos, Oliwerze? — zapytał powtórnie Bumble.

— Poznaję — odpowiedział Oliwer.

— I nie boisz się?... Nie drżysz ze strachu, gdy do ciebie mówię? — zapytał znów Bumble.

— Nie! — odpowiedział Oliwer śmiało.

Ta odpowiedź, tak niepodobna do tej, jakiej się pan Bumble spodziewał i jaką zwykle otrzymywać był przyzwyczajony, wprawiła go w niemałe zdziwienie. Odskoczył od dziurki od klucza, wyprostował się, jak tylko mógł najdumniej, i osłupiałem okiem potoczył po otaczających go osobach.

— Teraz się sam przekonałeś, panie Bumble, że on oszalał! — odezwała się pani Sowerberry. — Gdyby miał zdrowy rozum, czyżby się na taką odpowiedź odważył?

— Nie, to nie jest szaleństwo, moja pani! — zawołał Bumble po małej chwili głębokiego zastanowienia — to jest mięso!

— Co? — wykrzyknęła pani Sowerberry.

— Mięso, moja pani, mięso! — powtórzył Bumble z uniesieniem. — Pasłaś go zanadto, moja pani!... Podniecałaś w nim sztucznie śmiałość i odwagę, moja pani, odwagę, która wcale nie przystoi ludziom jego stanu. Nasz zbór, złożony z ludzi wielkiego doświadczenia i rozumu, powie ci to samo. Nacóż biednemu człowiekowi odwaga i śmiałość? Dla niego wystarczy, jeżeli się go przy życiu utrzyma!... Gdybyś temu chłopcu była dawała stale owsiankę, moja pani Sowerberry, toby się to wszystko nie było stało.

— Miły Boże! — zawołała pani Sowerberry, wzniósłszy pobożnie oczy ku powale kuchni — do czego doprowadza okazywanie człowiekowi dobrego serca.

Dobre serce pani Sowerberry polegało w stosunku do Oliwera na tem, iż go raczono obficie najgorszemi resztkami i okrawkami potraw, których już nikt do ust wziąć nie chciał. Wiele przeto łagodności i pokory było w tem jej dobrowolnem poddaniu się ciężkiemu oskarżeniu pana Bumble. Wszak trzeba jej przyznać słuszność iż nie zasłużyła na nie ani myślą, ani wolą, ani też uczynkiem.

— Według mnie — rzekł Bumble, gdy pani Sowerberry spuściła oczy nadół — jeden tylko jeszcze jest sposób na niego, a mianowicie: zostawić go przez dzień lub dwa w piwnicy, aby trochę zaznał głodu, a potem wypuścić go, ale przez cały czas nauki kar-

mić jedynie owsianką. Ten chłopiec pochodzi ze złej rodziny — bardzo burzliwej, moja pani Sowerberry! Mówili mi nasz lekarz i stara dozorczyni, że jego matkę przywieziono do Domu Roboczego w takich mękach i boleściach, że każda inna uczciwa kobieta tydzień wcześniej byłaby się na tamten świat wybrała!...

W tym punkcie przemowy pana Bumble, Oliwer, słysząc wszystko piąte przez dziesiąte, zrozumiał przecież, iż nowa przymówka została wypowiedziana pod adresem jego matki, i znów zaczął walić nogami w drzwi z hałasem, który zagłuszył słowa dalszej rozmowy.

Tymczasem wrócił do domu pan Sowerberry. Zbrodnię Oliwera przedstawiono mu oczywiście z odpowiednią przesadą, aby tembardziej pobudzić go do gniewu. Pan Sowerberry też otworzył natychmiast drzwi piwnicy i krnąbrnego czeladnika wyciągnął stamtąd za kołnierz.

Plagi, jakie biedny Oliwer już poniósł, podarły na nim odzież; cała twarz była zbita i podrapana, włosy nad czołem rozczochrane. Pomimo to rumieniec gniewu i oburzenia nie ustąpił z jego twarzy, gdy go z więzienia wypuszczono, pogroził oczyma Noemu i śmiało na wszystkich spoglądał.

— Miły z ciebie chłopiec, jak widzę — rzekł Sowerberry do Oliwera, przytem wstrząsnął nim mocno i silny wymierzył mu policzek.

— On szkalował moją matkę — tłumaczył się Oliwer.

— I cóż w tem złego, ty niewdzięczniku? — zawołała pani Sowerberry. — Ona zasłużyła na to, co o niej powiedział, a nawet i na coś gorszego jeszcze...

— Ona na to nie zasłużyła! — zaprzeczył Oliwer śmiało.

— Ona na to zasłużyła, mówię! — powtórzyła pani Sowerberry.

— To kłamstwo! — krzyknął Oliwer.

Pani Sowerberry wybuchnęła płaczem.

Strumień łez, który potoczył się z oczu pani Sowerberry, był rozkazem niejako dla jej małżonka. Ktokolwiek znał choć trochę panią Sowerberry, ten nie mógł wątpić, iż małżonek jej zostałby przez nią obrzucony nazwami: zwierzęcia, męża srogiego, istoty nieludzkiej, marnego naśladownictwa mężczyzny i wielu innemi niemniej miłemi imionami, których wyliczenie przekroczyłoby granice tego rozdziału, gdyby pan Sowerberry zawahał się choć na chwilę wobec potrzeby jak najsurowszego ukarania Oliwera.

Musimy mu jednak oddać tę sprawiedliwość, iż naogół w granicach swojej władzy — zakres jej nie był bardzo wielki — odnosił się do chłopca raczej życzliwie... czy to ze względu na własne korzyści, czy też dla tego tylko, że nie sprzyjała mu pani Sowerberry.

Ów potok łez jednak wytrącił mu broń z ręki i to było powodem, dla którego ukarał biednego Oliwera tak srogo, iż nawet pani Sowerberry była zadowolona, a urzędowa laska pana Bumble stała się już niezdolna do pełnienia więcej usług na tem polu.

Na resztę dnia zamknięto Oliwera do komórki za kuchnią, obdarzywszy go przedtem dzbanem wody i kawałkiem suchego chleba. Gdy nadeszła noc, pani Sowerberry, wyzionąwszy wprzód pod drzwiami bardzo wiele uwag, nie zawierających w sobie pochwał na cześć matki Oliwera, usunęła głowę do komórki i wśród szyderczego śmiechu i złośliwych przycinków Karoliny i Noego, kazała mu iść na górę do nędznego łóżka.

Nie w tej chwili, dopiero, gdy się do ponurego warsztatu dostał i tam sam jeden w ciszy i spokoju znalazł, wtedy dopiero poddał się tym uczuciom, jakie tak sroga i niesprawiedliwa kara musiała jego dziecięce serce wzbudzić.

Słuchał z pogardą wszystkich szyderstw, znosił cierpliwie bicia i znęcania, nie roniąc ani jednej łzy, gdyż czuł w sobie rosnącą dumę, która stłumiłaby w nim najmniejszy okrzyk bólu, gdyby go nawet na różnie przypiekano.

Ale teraz, gdy go nikt nie mógł widzieć, ani słyszeć, rzucił się na kolana i, zakrywszy twarz rękoma, zalał się łzami, które nam Bóg zsyła dla ulżenia sercu, — łzami tak rzewnemi i gorącemi, jakich jeszcze żaden chłopiec przed nim w tak młodym wieku nie wylewał.

Pozostał długo w tej postawie, pełnej rozpaczy. Światło kaganka już dogorywało, gdy nakoniec podniósł się z ziemi. Obejrzawszy się ostrożnie dokoła i przysłuchawszy z wielką uwagą, czy jaki szmer zewnątrz nie dochodzi, odsunął po cichutku zasuwy od drzwi i wyjrzał na ulicę.

Była noc ciemna i zimna. Oliwerowi zdawało się, iż gwiazdy są więcej owalne od ziemi, niż były kiedykolwiek przedtem. Nie odczuwało się najmniejszego wiatru i olbrzymie cienie, które drzewa na ziemię rzucały, wyglądały w swej nieruchomości niby posągi grobowe.

Oliwer po cichutku zamknął drzwi z powrotem i, przy gasnącym świetle kaganka zawiązawszy w chustkę kilka sztuk odzieży, jaką posiadał, usiadł na ławce i oczekiwał świtu.

Gdy pierwsze promienie poranku przedarły się do warsztatu przez szpary okienic, Oliwer wstał i znów drzwi otworzył.... Jedno jeszcze spojrzenie

dokoła... jedna chwila wahania... już je zamknął za sobą... i stanął na ulicy.

Spojrzał trwożliwie na wszystkie strony, nie wiedząc, w którą uciekać. Przypomniał sobie jednak, iż wozy, wyjeżdżające z miasta, dążyły zwykle pod górę. Udał się więc tą samą drogą, a doszedłszy do ścieżki, która prowadziła przez pola, o której wiedział, że wiedzie w tym samym kierunku, co i bity gościniec, zapuścił się w nią i przyspieszył kroku.

Po drodze przypomniał sobie tę chwilę, kiedy szedł nią po raz pierwszy w towarzystwie pana Bumble, prowadzącego go od pani Mann do Domu Roboczego. Ścieżka prowadziła tuż koło domu pani Mann.

Serce zabiło mu mocniej na samo wspomnienie i postanowił zawrócić.

Ale uszedł już tak wielki kawał drogi, że ta czynność zajęłaby mu zbyt wiele czasu. Zresztą pora była wczesna i nie potrzebował się obawiać, aby go spostrzeżono, poszedł więc śmiało dalej.

Nakoniec doszedł do zakładu pani Mann.

Najmniejszy ruch nie zdradzał, aby który z licznych mieszkańców domu był już o tak wczesnej porze na nogach. Oliwer zatrzymał się i zajrzał do ogrodu.

Spostrzegł tam jednego chłopczynę, zajętego pieleniem małej grządki.

Gdy Oliwer zatrzymał się, chłopczyna odwrócił się właśnie i podniósł swą bladą twarz do góry. Oliwer poznał w nim jednego ze swoich z dawnych towarzyszy zakładu i ucieszył się, iż raz jeszcze go zobaczył, zanim w dalszą udał się drogę. Chłopiec ów, chociaż o wiele młodszy od niego, był jednak najlepszym jego przyjacielem i towarzyszem zabaw.

Wiele też, wiele razy zdarzało się, że ich obu jednocześnie bito, głodzono, lub zamykano do kozy.

— Słuchaj Dik! — zawołał Oliwer, gdy chłopczyna podbiegł do płotu i przez szparę rękę mu podał. — Czy wstał kto więcej?

— Nikt prócz mnie! — odpowiedział chłopczyna.

— Nie mówże więc nikomu, żeś mnie widział — rzekł Oliwer — ja uciekam w świat. Bito mnie i źle się ze mną obchodzono. To też postanowiłem szukać szczęścia gdzieindziej, chociaż jeszcze nie wiem, dokąd się udam. Ale jak ty blado wyglądasz?

— Słyszałem, jak lekarz mówił, że wkrótce umrę — odpowiedział chłopczyna z nikłym uśmiechem. — Jestem bardzo rad, że cię widzę, drogi Oliwerze, jednak nie zatrzymuj się dłużej, nie zatrzymuj!

— Dobrze, dobrze, zaraz pójdę! Chciałem się tylko z tobą pożegnać! My się jeszcze kiedyś zobaczymy, Diku... ja wiem, że się zobaczymy. Ty będziesz zdrów i szczęśliwy.

— I ja tak myślę, ale to nastąpi po śmierci dopiero — odpowiedział chłopczyna. — Wiem, iż doktór mówi prawdę, gdyż mi się zawsze śni tylko o niebie, o aniołach i o miłych twarzach, których na jawie nigdy nie widzę. Pocałuj mnie — dodał, wspiąwszy się na niski płot i objąwszy swemi drobnemi rączętami Oliwera za szyję. — Bywaj zdrów, kochany Oliwerze, niech cię Bóg błogosławi!

To błogosławieństwo wyszło wprawdzie z ust dziecięcych, ale Oliwer po raz pierwszy w swem życiu usłyszał błogosławieństwo, przyzywane z niebios na jego głowę. To też wśród najsroższych walk i cierpień i zmian przyszłego życia nigdy o niem nie zapomniał.

Rozdział ósmy.

Oliwer dąży do Londynu i spotyka w drodze dziwnego młodziana.

Oliwer doszedł wkrótce do gościńca, do którego prowadziła ścieżka.

Była godzina ósma rano; chociaż już o pięć mil prawie od miasta się oddalił, biegł jednak ciągle, kryjąc się od czasu do czasu poza płoty z obawy, aby go nie schwytano. Wreszcie usiadł znużony obok milowego kamienia i po raz pierwszy zaczął nad tem rozmyślać — w którą stronę będzie najlepiej się udać i gdzie pracy szukać.

Na kamieniu, przy którym usiadł, było napisane wielkiemi głoskami, że stąd jeszcze pozostaje siedemdziesiąt mil drogi (dziesięć mil polskich) do Londynu.

Nazwa miasta wywołała w duszy Oliwera nowy ciąg myśli. Londyn wielkie, bardzo wielkie miasto, gdzieby go nikt a nikt, nawet pan Bumble, nie mógł znaleźć!... Nieraz słyszał jeszcze w Domu Roboczym starszych ludzi, mówiących o tem, że chłopiec, niepozbawiony sprytu, nie potrzebuje w Londynie żebrać i że w tem ogromnem mieście jest tyle i takich sposobów do życia, o jakich ludzie, urodzeni i wychowani na wsi, nawet wyobrażenia nie mają.

Pomyślał tedy, że to jest właśnie najdogodniejsze miejsce dla biednego, przez wszystkich opuszczonego chłopca, który z głodu na ulicy musi umrzeć, o ile mu nikt z pomocą nie pośpieszy.

Na tę myśl, zerwał się natychmiast na nogi i puścił w dalszą drogę.

Odległość, dzieląca go od Londynu, zmniejszyła się o całe cztery mile, gdy mu przyszło na myśl, że jednak długo iść będzie musiał, zanim stanie u celu. Ta uwaga zmusiła go także do większego zastanowienia

się nad samym sobą; zwolnił przeto kroku i zaczął rozważać nad środkami dostania się do Londynu.

W swem zawiniątku posiadał kawał suchego chleba, jedną koszulę i dwie pary pończoch; prócz tego miał w kieszeni pensa, którego podarował mu pan Sowerberry, kiedy się lepiej niż zazwyczaj na pogrzebie popisał.

— Biała koszula — myślał Oliwer — jest to rzecz bardzo wygodna; dwie pary pocerowanych pończoch nie są też rzeczą zbyteczną, również i pens... to prawda; ale wszystko razem stanowi lichą pomoc w sześćdziesięciopięcio milowej podróży i to jeszcze w zimowej porze!

Chociaż umysł Oliwera, podobnie jak i wielu innych ludzi, umiał bardzo skwapliwie wskazywać wszelkie trudności położenia, nie był przecież jednocześnie zdolny do wyszukiwania środków zaradczych. Pomyślawszy przeto czas dłuższy bezplano-wo, przełożył zawiniątko z jednego ramienia na drugie i szedł dalej.

Tego dnia zrobił blisko dwadzieścia mil, posiliwszy się tylko tym kawałkiem chleba, który wziął ze sobą, i kilkoma łykami wody, które wyprosił u drzwi jednego domu, leżącego przy drodze.

Gdy noc nadeszła, zszedł na łąkę i, umieściwszy się pod stertą siana, postanowił przespać się pod nią do białego ranka. Z początku strach go ogarnął, gdyż wiatr wył smutnie po pustych polach, a on czuł się bardziej zziębły, zgłodniały i opuszczony, niż kiedykolwiek bądź do tej pory. Znużenie podróżą jednak wzięło górę, zasnął też wkrótce, zapominając o swojej nędzy.

Nazajutrz po przebudzeniu się odczuł, iż przeziąbł do kości, przytem tak wielki głód zaczął mu dokuczać, że w pierwszej zaraz wiosce, przez którą przecho-

dził, zmuszony był zamienić swój pieniądz na mały bochenek chleba.

Tego dnia uszedł do wieczora zaledwie dwanaście mil. Nogi mu popuchły i tak był zdrożony, iż wprost upadał z osłabienia. Druga noc, przepędzona podobnie jak pierwsza, w czystem polu, niebardzo go pokrzepiła, i nazajutrz chwiejnym krokiem zaledwie wlókł się po drodze.

Widząc nadjeżdżający dyliżans, zatrzymał się u stóp dość wysokiego wzgórza i zaczął prosić o pomoc podróżnych, siedzących nazewnątrz. Lecz mało wśród z nich znalazł takich, którzy zwrócili na niego uwagę, a i ci powiedzieli mu, żeby był cierpliwym i czekał, dopóki powóz nie dostanie się na szczyt góry, a oni nie zobaczą, jak daleko za pół pensa biec potrafi.

Biedny Oliwer biegł tedy koło wozu, ile mu sił starczyło; lecz to długo trwać nie mogło, gdyż był zupełnie wyczerpany i miał poranione nogi.

Spostrzegłszy to, podróżni schowali natychmiast swoje pieniądze do kieszeni i oświadczyli, iż jest małym leniwym psem, który nie zasługuje na żadną pomoc; powóz tymczasem pomknął dalej, zostawiając chmurę pyłu za sobą.

W wielu wioskach wisiały wielkie tablice z ostrzeżeniem, iż kto ośmieli się w tym okręgu żebrać, ten zostanie natychmiast oddany do Domu Poprawy. Ta groźba przejmowała Oliwera takim strachem, że wszelkich sił dobywał, aby to miejsce jak najśpieszniej opuścić.

W innych wioskach stawał u drzwi oberży i spoglądał ze smutkiem na ludzi, tamtędy przechodzących; ale ta niema prośba miała zwykle ten skutek, iż gospodyni oberży nakazywała którem ukolwiek z bezczynnie włóczących się parobków tego chłopca

wypędzić, podejrzewając go, iż poto tylko stoi, aby upatrzyć dogodną sposobność i coś z domu ukraść.

Jeżeli Oliwer zatrzymał się u drzwi wieśniaka i prosił o wsparcie, to w dziewięciu na dziesięć przypadków szczuto go psami; a jeżeli do jakiego kramu zajrzał, to słyszał zwykle rozmowę o woźnym, co mu natychmiast wpędzało serce do gardła i bardzo często była to jedyna rzecz, jaką w ciągu dnia miał w ustach.

Słowem, gdyby jakiś zacny urzędnik celny i jakaś dobrotliwa staruszka nie byli się nad nim zlitowali, to jego cierpienia byłyby się z pewnością w ten sam sposób skończyły, jak i cierpienia jego matki; inaczej mówiąc: byłby niezawodnie umarł z głodu na królewskim gościńcu. Ów urzędniczyna wsparł go kawałkiem chleba i sera, a staruszka mająca podobno gdzieś na świecie wnuczka, który się rozbił z okrętem na morzu i wskutek tego boso po świecie wędrował — staruszka ofiarowała mu nędzny wprawdzie datek, lecz z taką przychylnością i współczuciem, iż tkliwe jej słowa utkwiły głębiej w sercu sieroty, niż wszystkie cierpienia, jakich dotychczas doznał.

Siódmego dnia rano po ucieczce z miejsca urodzenia, Oliwer wlókł się zwolna, chromając, przez miasteczko Barnet. Okienice były jeszcze wszędzie pozamykane, ulice puste, żywa dusza nie podjęła pracy dnia codziennego. Słońce wzeszło w całej swojej piękności, i światło dzienne tem bardziej uwydatniało nędzę i opuszczenie chłopca, który, pyłem okryty, z poranionemi i popuchniętemi stopami, spoczął na progu jakiegoś domu.

Pomału zaczęto otwierać sklepy i okienice, i mieszkańcy podążali to w tę, to w ową stronę miasta. Wielu z nich, spostrzegłszy Oliwera, zatrzymywało się przy nim i przez chwilę przypatrywało mu się

ciekawie, lub też, idąc mimo, obejrzało się raz i drugi, ale nikt nie miał tyle litości i nikt tej pracy sobie nie zadał, aby go się zapytać, skąd przychodzi i dokąd idzie? On zaś nie miał odwagi żebrać i siedział w milczeniu.

Spoczywał długo na kamiennym stopniu, zastanawiając się nad nadzwyczajną ilością szynkowni w Barnet, — w tem miasteczku bowiem co trzeci dom prawie posiada bądź większą, bądź mniejszą szynkownię, — spoglądając smutnie na przejeżdżające powozy i dziwiąc się w duchu, że ludzie w nich mogą odbyć w kilka godzin z łatwością tę samą przestrzeń drogi, na którą on cały tydzień tak ciężkich trudów potrzebował.

Z tego rozmyślania wyrwał go nagle widok młodego chłopca, który przed chwilą przeszedł koło niego obojętnie, a teraz powrócił i z drugiej strony ulicy spoglądał na niego z ciekawością.

Zrazu Oliwer nie zwrócił na to żadnej uwagi; lecz gdy chłopiec nie zmieniał postawy i przypatrywał mu się przez czas dłuższy badawczo, wówczas Oliwer również na niego spojrzał. Chłopiec wtedy przeszedł przez ulicę i zbliżywszy się do Oliwera, rzekł:

— Jak się masz, przyjacielu?

Nieznajomy, który zaczepił Oliwera, był w tym samym prawie wieku, co i on, ale w jego twarzy przebijała się taka przebiegłość, jakiej Oliwerowi nie zdarzyło się dotąd nigdy widzieć. Miał nos zadarty, czoło płaskie i niskie, rysy pospolite, przytem był wyjątkowo brudny i niechlujny, posiadał jednak wygląd i maniery dorosłego mężczyzny. Kapelusz tak lekko tkwił mu na głowie, że co chwila groził upadkiem, coby też z pewnością było nieraz nastąpiło, gdyby chłopiec zręcznym rzutem głowy nie utrzymywał go w równowadze i nie zmuszał do powrotu na właściwe miejsce. Długi surdut sięgał mu prawie

po kostki; rękawy miał zawinięte po łokieć, prawdopodobnie w tym celu, aby mieć ręce wolne i móc je wsuwać do kieszeni szerokich spodni, co też rzeczywiście często czynił.

Był zresztą dziwnie nadęty i napuszony, jak na chłopca, liczącego wzrostu cztery stopy i sześć cali, a może i mniej jeszcze.

— Jak się masz, mój chłopcze? — zapytał Oliwera dziwny młodzieniec.

— Jestem głodny i znużony — odpowiedział Oliwer; gdy to mówił, łzy zakręciły mu się w oczach. — Przychodzę z bardzo daleka... szedłem cały tydzień.

— Szedłeś cały tydzień! — powtórzył młodzieniec. — A, rozumiem... na rozkaz dziubosza, nieprawdaż?... Spodziewam się — dodał, spostrzegłszy zdziwienie Oliwera — że wiesz, co znaczy dziubosz, mój zacny przyjacielu?

Oliwer odpowiedział na to skromnie, iż w istocie słyszał, że tego słowa używano przy opisywaniu ptaków.

— Jakiż z ciebie zieleniak! — zawołał nieznajomy. — Wiedz o tem, że dziubosz oznacza sędziego; a jeśli się mówi: „idziesz na rozkaz dziubosza", to nie znaczy, iż idziesz prostą drogą i ciągle naprzód, ale ciągle do góry, a nigdy nadół. A byłeś ty kiedy w młynie?

— W jakim młynie? — zapytał Oliwer.

— W jakim młynie!... No w młynie... w młynie zajmującym tak mało miejsca, że się nawet w dzbanku kamiennym zmieścić może i zwykle wtedy najlepiej idzie, kiedy wiatr jest słaby, a ludzi mało, gdyż jeśli wiatr jest mocny, to robotnika dostać bardzo trudno... ale teraz chodź ze mną — dodał ów młody człowiek — tobie wiele brakuje, a trzeba żebyś to miał, czego ci brakuje... Prawda, że i ja nie mam dużo floty, nie więcej w kieszeni, jak półtora szy-

linga, ale to nic nie szkodzi; chętnie wydam to dla ciebie. Stań więc na twoich piszczałkach. Dalej! Ruszże się z miejsca żywo!

Nieznajomy młodzieniec, pomógłszy Oliwerowi podnieść się na nogi, zaprowadził go do pobliskiego kramu, gdzie kupił spory kawał szynki i mały bochenek chleba. Żeby szynka zaś nie zakurzyła się w drodze, zastosował bardzo dowcipny sposób: wykroił w chlebie dziurę, wyjął ośrodek i wsadził tam szynkę; potem chleb wziął pod pachę, udał się z Oliwerem do lichej karczminy i poprowadził go do osobnej izdebki w tyle.

Tutaj z rozkazu tajemniczego przewodnika postawiono przed Oliwerem kufel piwa, a on rzucił się na niego z chciwością i, poddając się zaproszeniu nowego przyjaciela, jadł i pił wszystkiego dowoli. Nieznajomy tymczasem przyglądał mu się z wielką uwagą.

— Chcesz zatem dostać się do Londynu? — spytał Oliwera dziwny chłopiec, widząc, że tenże już się nasycił.

— Tak jest.

— A masz tam jakie pewne miejsce?

— Nie...

— A pieniądze masz?

— Nie mam także.

Tajemniczy młodzieniec zaświstał i obie ręce tak głęboko wsunął do kieszeni, jak mu na to pozwalały zawinięte rękawy.

— A czy ty mieszkasz w Londynie? — zapytał Oliwer.

— Mieszkam, jeżeli jestem w domu — odpowiedział młodzieniec. — Zapewne będziesz tam potrzebował noclegu... Co?...

— To prawda — odpowiedział Oliwer. — Od czasu, jakem opuścił miejsce rodzinne, jeszczem ani razu nie spał pod dachem.

— Niech cię o nocleg głowa nie boli — rzekł młodzieniec. — Ja także myślę wieczorem być w Londynie. A znam pewnego zacnego staruszka, który cię darmo przenocuje i ani się spyta o zapłatę, jeżeli cię tylko ktoś znajomy do niego zaprowadzi. Ale czy on mnie zna?... O nie, nie, oczywiście nie zna.

Tajemniczy młodzieniec tak się przytem roześmiał, jakby chciał dać do zrozumienia, iż jego cała przemowa, a szczególnie końcowy ustęp, były pełne ironji; poczem dokończył pić piwo.

Niespodziewana obietnica noclegu zanadto była ponętna, aby Oliwer nie miał jej przyjąć, zwłaszcza, iż towarzyszyło jej zapewnienie, że staruszek, o którym była mowa, dostarczy mu z pewnością w krótkim czasie odpowiedniego zajęcia. Wszystko razem doprowadziło do poufalszej rozmowy, z której Oliwer dowiedział się, iż jego nowy przyjaciel nazywa się Jakób Dawkins i jest szczególnym ulubieńcem wspomnianego staruszka.

Powierzchowność pana Dawkinsa nie świadczyła wprawdzie o wielkiem przywiązaniu do niego wspomnianego staruszka, a zatem i do wszystkich, co pod jego opieką zostawali, ale ponieważ młodzieniec wyrażał się naogół bardzo swobodnie, a nadto przyznał się Oliwerowi, iż wśród zaufanych przyjaciół znany jest pod nazwiskiem „Przebiegłego Smyka“, Oliwer wywnioskował przeto, że musi to być chłopiec lekkomyślny, i nauki dobroczyńcy wietrzeją mu z głowy nader prędko.

Nabrawszy tego przekonania, postanowił zasłużyć sobie na dobrą opinję u owego starego jegomościa, a nawet wyrzec się zaszczytu dalszego przestawania z panem Dawkinsem, o ileby się okazało, że ten zac-

ny młodzieniec żadną miarą nie chce się poprawić, co do czego zresztą już teraz żywił pewne obawy.

Ponieważ Jakób Dawkins oświadczył wyraźnie, że przed wieczorem do Londynu nie wejdzie, przeto wybiła już jedenasta, kiedy doszli do rogatki w Islington. Minąwszy dom zajezdny „Pod Aniołem“, zwrócili się w ulicę Ś-go Jana, stamtąd weszli w wąską uliczkę, prowadzącą na plac teatru Sadler Wall; z placu udali się na ulicę Exmouth-Street, przebiegli przez Coppicerow, minęli małe podwórze koło Domu Roboczego, a potem ową klasyczną część miasta, zwaną Hockleyin-the-Hole (Hoklej w jamie) nakoniec puścili się ulicą Mały Saffron-hill, dalej ulicą Wielki Saffron-hill, na której Smyk przyśpieszył kroku i nakazał Oliwerowi, by krok w krok za nim postępował.

Chociaż uwaga Oliwera zwrócona była głównie na to, żeby przewodnikowi swemu kroku dotrzymać, nie omieszkał jednak tu i owdzie rzucić okiem i zauważyć, że nigdy jeszcze w swojem życiu nie widział lichszego, nędzniejszego i bardziej plugawego miejsca, jak to właśnie. Jakoż była to wąska i błotnista ulica, a powietrze w niej przesycone zgniłemi wyziewami. Znajdowało się tam wiele drobnych sklepików, jedynym przecież przedmiotem handlu zdawały się być tylko dzieci, których roje pomimo późnej godziny snuły się koło drzwi domów, lub też w domach samych wrzeszczały.

Wśród tego środowiska nędzy i niedoli, jedynie szynkownie zdawały się kwitnąć, gdyż przepełnione były po brzegi kłócącemi się głośno Irlandczykami. Po chodnikach okrytych daszkami i tajnych uliczkach, które prowadziły od głównej ulicy do gromad domów tu i owdzie rozrzuconych, tarzali się dosłownie w błocie pijani mężczyźni i kobiety; z innych znów ulic wysuwali się chyłkiem ludzie podejrzanego

wyglądu, należący według wszelkiego prawdopodobieństwa do rzędu niezbyt zacnych i nieszkodliwych włóczęgów.

Oliwer zastanawiał się właśnie nad tem, czy lepiej byłoby dla niego stąd uciec, gdy przewodnik, doszedłszy do szczytu pagórka, chwycił go za rękę, otworzył spiesznie drzwi domu, leżącego w pobliżu Field-lane i, wepchnąwszy Oliwera do sieni, natychmiast drzwi za sobą zamknął.

— Kto tam? — zawołał głos, wydobywający się zdołu, w odpowiedzi na gwizdnięcie Smyka.

— Plummy i Slum! — odpowiedział Smyk.

Te słowa musiały być umówionem hasłem, gdyż wkrótce mdławe światło lichej świecy odbiło się na ścianie w przeciwnym końcu sieni i nad poręczą starych schodów wiodących do kuchni ukazała się twarz mężczyzny.

— Jak widzę, jest was dwuch? — rzekł mężczyzna, odsuwając cokolwiek świecę od siebie i zasłaniając sobie ręką oczy. — Cóż to za jeden ten drugi?

— Zieleniak — odpowiedział Jakób Dawkins, popchnąwszy Oliwera naprzód.

— Skąd przychodzi?

— Zdaleka... Czy Fagin w domu?

— W domu! Właśnie przebiera szmaty... Chodźcie.

Świeca znikła, a z nią i twarz mężczyzny.

Oliwer, wyciągnąwszy jedną rękę przed siebie, a drugą trzymając się mocno towarzysza, szedł z wielką trudnością po ciemnych i spróchniałych schodach, po których jego przewodnik biegł szybko i pewnie, co było dowodem jego dobrej z niemi znajomości.

Nakoniec Dawkins otworzył drzwi do izby i wciągnął do niej za sobą Oliwera.

Powała i ściany tej izby były zupełnie czarne od dymu i starości. Niedaleko kominka stał stół jodło-


George Cruikshank

wy, na nim świeca łojowa, zatknięta w szyjkę butelki od piwa, kilka cynowych kubków, chleb, masło i talerz. Na patelni, która stała na ogniu, i której rączka była przywiązana sznurkiem do kapy komina, smażyło się kilka kiełbas; przed kominkiem stał, z długim widelcem w ręku, stary i suchy Żyd, którego odrażającą twarz i oczy ocieniał gęsty włos rudawy.

Ten Żyd, w brudnym, zatłuszczonym kaftanie flanelowym i z obnażoną szyją, zdawał się zwracać całą uwagę to na patelnię, to na wieszadła z mnóstwem zawieszonych na nich jedwabnych chustek do nosa. Kilka sienników, zrobionych ze starych, podartych worów, leżało jeden przy drugim na ziemi. Przy stole siedziało kilku młodych ludzi, niewiele starszych od przebiegłego Smyka, którzy ćmili długie gliniane fajki i popijali wódkę, jak ludzie dorośli.

— Panie Fagin — rzekł Dawkins — oto mój przyjaciel Oliwer Twist.

Żyd wykrzywił twarz do uśmiechu, wyszczerzył zęby, a skłoniwszy się Oliwerowi niziutko, ścisnął go za rękę i rzekł, że się spodziewa zasłużyć na zaszczyt bliższej z nim znajomości.

Po dopełnieniu tych wstępnych kroków, młodzi ludzie obstąpili Oliwera dokoła i serdecznie ściskali go za obie ręce; najszczerzej zaś uściskał ten, który odebrał mu z rąk jego małe zawiniątko. Inny chwycił jego czapkę, aby ją powiesić; jeszcze inny zaś był tak grzeczny, iż swoje ręce wsunął do jego kieszeni w tym celu, aby Oliwer, udając się na spoczynek i będąc tak mocno znużony, nie potrzebował trudzić się ich opróżnieniem.

Młodzi ludzie byliby posunęli swoją uprzejmość jeszcze dalej, gdyby stary Żyd nie był ich wyrżnął wielkim widelcem po głowach i ramionach i tym sposobem nie poskromił ostatecznie ich uprzedzającej grzeczności.

— Panie Oliwer!... Bardzo jesteśmy radzi, żeśmy cię poznali — odezwał się Żyd. — Smyku, zestawno kiełbasy z ognia i przynieś dla pana Oliwera beczułkę do kominka, by miał na czem usiąść... A! spoglądasz na chustki do nosa? Nieprawdaż, mój drogi, że ich mamy pod dostatkiem... nieprawdaż?... Wyjąłem je właśnie do prania!... Ha, ha, ha!

Ostatnim wyrazom zawtórował głośny śmiech wszystkich obecnych, pełnych nadziei wychowanków wesołego, żartobliwego staruszka (tak bowiem młodzież nazywała Żyda), i z tym śmiechem zasiedli wszyscy do stołu.

Oliwer dostał również część wieczerzy, a Żyd, przyrządziwszy mu mieszaninę z wódki i wody, upomniał go, ażeby natychmiast ją wypił, gdyż tej szklanki potrzebuje dla innych.

Oliwer uczynił zadość temu żądaniu. Natychmiast potem odczuł, iż go położono łagodnie na jednym z sienników i zapadł w głęboki sen.

Rozdział dziewiąty.

Zawiera dalsze wiadomości o żartobliwym staruszku i o jego wielkie nadzieje rokujących wychowankach.

Nazajutrz słońce już wysoko stało na niebie, gdy Oliwer zbudził się z długiego i ciężkiego snu. W izbie nikogo nie spostrzegł prócz starego Żyda, który, stojąc przy kominku, gotował sobie kawę na śniadanie i, gwiżdżąc pod nosem, mieszał ciągle blaszaną łyżką w naczyniu. Czasem tę czynność przerywał i pilnie nasłuchiwał, jeżeli jaki najmniejszy szmer dochodził z sieni, poczem, uspokoiwszy się dostatecznie, zaczynał na nowo mieszać łyżką w naczyniu i świstać.

Chociaż Oliwer sam się obudził, jednak nie był jeszcze zupełnie ze snu wytrzeźwiony.

Między snem i zupełnem ocknięciem się istnieje pewien stan pośredni, w którym człowiekowi, mającemu oczy napół przymknięte i widzącemu napół wyraźnie tylko wszystko, co się wkoło niego dzieje, śni się daleko więcej w ciągu pięciu minut, niż czasem w ciągu pięciu nocy, gdy ma oczy zupełnie zamknięte, i zmysły pogrążone w odmęcie nieświadomości. W podobnej chwili człowiek, zwolniony na chwilę z więzów swego cielesnego towarzysza, zdaje sobie sprawę z tego, co jego duch czyni, odczuwa mglisto jego potęgę, jego wznoszenie się nad ziemię, jego pogardliwe deptanie wszelkich zapór przestrzeni i czasu.

Oliwer właśnie znajdował się w tym stanie.

Poprzez napół zamknięte oczy widział dobrze Żyda przed sobą, słyszał wyraźnie jego ciche świstanie, rozpoznawał dokładnie szmer, pochodzący z tarcia łyżki blaszanej o naczynie, a jednak zmysły jego i umysł równocześnie obcowały z wszystkiemi prawie osobami, które kiedykolwiek w swojem życiu poznał.

Gdy kawa była gotowa, Żyd zdjął naczynie z trójnoga i przez kilka chwil rozmyślał z wyrazem wahania się na twarzy; nagle spojrzał na Oliwera i zawołał na niego po imieniu.

Oliwer nic nie odpowiedział, zachowując nadal pozory śpiącego człowieka.

Żyd, uspokojony snać w tej mierze zupełnie, zbliżył się do drzwi na palcach, zamknął je cicho na zasuwkę i wydobył potem z jakiejś kryjówki w podłodze małą skrzyneczkę, którą postawił na stole.

Gdy otworzył wieko i zajrzał do wnętrza, oczy zaiskrzyły mu się chciwością. Przysunąwszy stare krzesło do stołu, usiadł na niem i wyjął ze skrzyneczki prześliczny złoty zegar, wysadzony brylantami.

— Aha! — szeptał, podnosząc ramiona do góry, i wykrzywiając twarz w ohydnym uśmiechu. — Zręczne psy!... Zręczne psy!... Wytrwałe do ostatniego... Żaden ani pisnął... nie wydał osoby, u której przebywali... żaden nie zdradził starego Fagina!... I cóżby mu z tego przyszło, choćby to uczynił?... Wszakże żaden nie rozwiązałby tym sposobem swego stryczka, ani też śmierci swojej o chwilę nawet nie opóźnił!... Dzielne z nich chłopcy!... Dzielne chłopcy!...

Mrucząc tak i szepcąc, Żyd włożył napowrót zegarek do skrzynki, a następnie wydobywał z niej jeden po drugim, najmniej pół tuzina podobnych zegarków i przypatrywał się im z niewypowiedzianem roznamiętnieniem. Po zegarkach nastąpiły pierścionki, spinki, naramienniki i różne biżuterje, wszystkie najpiękniejszej roboty, najkosztowniejszemi kamieniami wysadzone, o których istnieniu Oliwer przedtem nie miał nawet wyobrażenia i których nazw nigdy jeszcze w swojem życiu nie słyszał.

Żyd, ułożywszy z powrotem wszystkie klejnoty w skrzynce, wyjął z niej coś tak małego, tak drobnego, że mogło się ono zmieścić na jego dłoni. Musiał być na tym przedmiocie jakiś bardzo drobny i nieczytelny napis, gdyż położył go na stole i, osłoniwszy z jednej strony ręką od światła, przypatrywał mu się długo i uważnie. Nakoniec, jakby już zupełnie zwątpił o pomyślnym skutku swych usiłowań, włożył go do skrzyneczki i, rozparłszy się na krześle, mruczał:

— Jaka to piękna rzecz kara śmierci!... Zmarły już niczego żałować nie może... Zmarły nie wygada się już z niczem. ...A jak pomyślną rzeczą jest ona dla naszego rzemiosła? Pięciu ich szeregiem powie-

szono... a żaden z nich nie stchórzył, ani się na zdobycz złakomił!

Nagle ciemne i przenikliwe oczy Żyda, dotąd nieruchomie w jedno miejsce wlepione, zwróciły się w inną stronę i wypadkiem padły na Oliwera, który, utkwiwszy w niego swój wzrok, przyglądał mu się z ciekawością.

Spotkanie ich oczu trwało sekundę, ale wystarczyło na to, żeby Żyd zrozumiał, iż jest śledzony. Natychmiast zatrzasnął z wielkim hałasem wieko skrzyneczki i, chwytając za nóż od chleba, leżący na stole, zerwał się ze stołka i rzucił się z wściekłością na Oliwera. Drżał mocno, tak mocno, że nawet Oliwer, sam mocno przestraszony, łatwo jednak zauważył, jak nóż chwiał się w ręce starca.

— Co to jest? — zawołał Żyd. — Dlaczego mnie śledzisz?... Dlaczego nie śpisz?... Coś widział?... Mów chłopcze... tylko żywo!... Tylko żywo!... Tu idzie o twoje życie!

— Nie mogłem dłużej spać, dobry panie! — odpowiedział Oliwer łagodnie. — Bardzo pana przepraszam, jeżelim wam w czem przeszkodził, sir.

— A może ty już od godziny nie śpisz i ciągle mnie śledzisz? — spytał Żyd, rzucając na Oliwera groźne spojrzenie.

— Nie, nie... naprawdę nie... — odpowiedział Oliwer.

— Czy mówisz prawdę? — dopytywał Żyd, spoglądając na niego z coraz większą wściekłością i zbliżając się groźnie.

— Słowo daję, że mówię prawdę, sir!... — zapewniał Oliwer błagalnie. — Obudziłem się dopiero przed chwilą.

— Dobrze już, dobrze, mój chłopcze! — rzekł Żyd, przybierając nagle swój zwykły, dobrotliwy pozór.

Przez chwilę bawił się jeszcze nożem, zanim go znów na stole położył, chcąc widocznie dać Oliwerowi do zrozumienia, iż żartem jedynie chciał go strachu nabawić.

— Wiedziałem o tem dobrze, mój synu, wiedziałem — mówił dalej — i chciałem cię tylko cokolwiek wypróbować!... Ale z ciebie jest dzielny chłopiec... tak, tak!... Ha, ha, ha!... Śmiały z ciebie chłopiec, Oliwerze, niema co mówić.

Żyd zacierał ręcę z zadowoleniem, spoglądając jednocześnie z niepokojem na skrzyneczkę.

— Czyś te piękne rzeczy widział, Oliwerze?... Co, mój drogi? — zapytał po chwili, kładąc rękę na ramieniu chłopca.

— Widziałem, panie — odparł Oliwer.

— Ach! — zawołał Żyd, zbladłszy jak chusta. — To... to jest moją własnością!... To wszystko, co sobie zebrałem na stare lata... Ludzie mają mię za skąpca, Oliwerze!... Tak, nazywają mnie skąpcem, ot co...

Oliwer pomyślał, że stary jegomość musi być skąpcem, skoro, posiadając tyle zegarków, mieszka przecież w tak brudnem i nędznem miejscu; ale zastanowiwszy się nad tem, że prawdopodobnie wiele musi go kosztować przywiązanie Smyka i jego towarzyszów, spojrzał z uszanowaniem na Żyda i zapytał go, czy może wstać i ubrać się?

— Zapewne, że możesz, mój drogi, zapewne! — odpowiedział starzec. — Patrz, tam w kącie, przy drzwiach, stoi dzbanek z wodą. Przynieś go, a ja ci tymczasem podam miednicę, mój drogi!

Oliwer wstał, przeszedł przez izbę i schylił się na chwilkę, by podjąć dzbanek z ziemi. Gdy potem odwrócił głowę, skrzynki już nie było.

Zaledwie się umył i stosownie do polecenia Żyda wylał brudną wodę z miednicy przez okno, wrócił

Smyk w towarzystwie elegancko ubranego młodzieńca, którego Oliwer widział już tu wczoraj wieczór palącego fajkę, a którego mu teraz jako pana Karola Bates przedstawiono.

Wszyscy czterej zasiedli razem do śniadania, składającego się z kawy i kilku ciepłych bułek z szynką, które Smyk przyniósł w kapeluszu do domu.

— No i cóż? — zapytał Żyd Smyka, spoglądając zukosa na Oliwera — spodziewam się, żeście dzisiaj rano pilnie pracowali.

— Nawet bardzo pilnie — odparł Smyk.

— Jak bobry — dodał Karolek Bates.

— Dobre, poczciwe z was chłopcy!... Bardzo poczciwe — pochwalił ich Żyd. — Cóżeś ty przyniósł, Smyku?

— Kilka pugilaresów — brzmiała odpowiedź.

— Czy wyłożone? — zapytał Żyd z chciwością.

— Jeszcze jak! — odpowiedział Smyk, wyjmując z kieszeni dwa pugilaresy, z których był jeden zielony, a drugi czerwony.

— Nie tak jeszcze, jak być powinny — mruknął Żyd, zbadawszy je wewnątrz starannie — ale zawsze dobrze i ładnie zrobione... Zręczny z niego robotnik, nieprawdaż Oliwerze?

— W istocie bardzo zręczny, sir — potwierdził Oliwer.

Bates, słysząc to, parsknął głośnym śmiechem ku wielkiemu zdziwieniu Oliwera, który nie mógł pojąć, co w tem było śmiesznego.

— A cóżeś ty przyniósł, mój drogi? — zapytał Fagin Karola Bates.

— Kilka szmat tylko! — odpowiedział Bates, wydobywając z kieszeni kilka chustek do nosa.

— Bardzo dobrze — pochwalił Żyd, oglądając je wszystkie troskliwie. — Dobre, bardzo dobre, tylko niedobrze naznaczone. Karolku, te znaczki trzeba bę-

dzie wypruć, ale tego to już nauczę Oliwera. Czybyś się chciał tego nauczyć, Oliwerze, co?

— Bardzo chętnie, sir — odpowiedział Oliwer.

— A możebyś ty się chciał nauczyć tak ładnie chustki robić, jak Karolek Bates... co, mój drogi? — pytał Żyd.

— Z największą chęcią, jeżeli mię pan zechce tego nauczyć, sir — odrzekł Oliwer.

Karolek Bates upatrzył sobie znowu w odpowiedzi Oliwera coś tak nadzwyczajnie śmiesznego, że roześmiał się na całe gardło. Ten śmiech w czasie picia kawy omal nie przyprawił go o przedwczesną śmierć przez zakrztuszenie, gdyż kilka kropli kawy dostało mu się do krtani.

— Ale bo też z niego taki czyżyk zielony! — zawołał, przychodząc do siebie i chcąc tą uwagą usprawiedliwić się w oczach towarzystwa z nieodpowiedniego zachowania.

Smyk nic na to nie odpowiedział, lecz pogłaskał Oliwera po głowie, odgarnął mu włosy z czoła i rzekł, iż jest szczerze przekonany, że się Oliwer powoli do roboty zaprawi. Żyd zaś, który spostrzegł, że rumieniec wystąpił na twarz Oliwera, chciał snać zmienić temat rozmowy i zapytał, czy dzisiaj rano było dużo ludzi w czasie egzekucji.

To pytanie zdziwiło Oliwera jeszcze bardziej, zwłaszcza, gdy się z odpowiedzi chłopców okazało, iż i oni byli na tej uroczystości obecni, Oliwer bowiem nie mógł pojąć, w jaki sposób zdążyli oni w tak krótkim czasie tyle zrobić?

Po śniadaniu i sprzątnięciu ze stołu, żartobliwy staruszek i jego dwaj uczniowie zaczęli się bawić w dziwną i ciekawą grę, która miała następujący przebieg:

Wesoły staruszek włożył tabakierkę do jednej kieszeni spodni, pugilares do drugiej, do kieszeni ka-

mizelki wsunął złoty zegarek ze złotym łańcuszkiem, który zawiesił na szyi, koszulę spiął szpilką z fałszywemi brylantami; potem zapiął surdut, wsadził okulary i chustkę od nosa do bocznej kieszeni i z laską w ręku po izbie tam i z powrotem przechadzać się zaczął, naśladując dokładnie układ i ruch staruszków, których o każdej porze dnia na ulicy spotkać można. Zatrzymywał się przy kominku, to przy drzwiach, i wogóle zachowywał się tak, jak to zwykli czynić ludzie, którzy z wielką ciekawością zaglądają do sklepów przez okna lub przez drzwi.

Czasami jednak oglądał się z wielką przezornością koło siebie na wszystkie strony, jakby obawiał się złodziei, przyczem macał się często po kieszeniach, chcąc się przekonać, czy mu z nich co nie zginęło; a to wszystko czynił tak śmiesznie i tak naturalnie, chociaż z taką prawdą, że Oliwer śmiał się serdecznie, aż do łez.

Przez ten czas dwaj młodzi ludzie szli krok w krok za nim, a jeżeli staruszek się obrócił, to tak zręcznie za każdym razem umieli nabok odskoczyć, że niepodobna było śledzić ich ruchów. Nakoniec Smyk niby przypadkiem nadeptał mu na nogę, czy też zawadził go butem, a Karolek Bates tymczasem otarł się o niego z tyłu i w tej chwili obaj z niesłychaną zręcznością wyciągnęli mu z kieszeni tabakierkę, pugilares, zegarek z łańcuszkiem, a nawet i okulary. Jeżeli zaś Żyd poczuł w kieszeni rękę którego z nich zaraz na niego krzyczał i cała zabawa rozpoczynała się na nowo.

Ową zabawę, trwającą dość długo, przerwało przybycie dwojga dziewcząt, przychodzących z odwiedzinami do dwuch młodzieńców; jedna z nich nazywała się Betty, a druga Nancy. Obie miały ładne, bujne włosy, chociaż bardzo niedbale, nieporządnie w tyle głowy związane; na nogach zaś brudne i zabłocone

pończochy i trzewiki. Prawda, że nie były one piękne, lecz żywe rumieńce pokrywały ich twarze, a cała postać tchnęła zdrowiem i siłą. A że były przytem w obejściu dość przyjemne i niewymuszone, Oliwer osądził je jako powabne i porządne dziewczęta, jakiemi też bez wątpienia były.

Ich odwiedziny trwały dość długo. Przyniesiono wódkę, a to z powodu, że jedna z dziewcząt skarżyła się na zaziębienie żołądka. Rozmowa przybrała ton ożywiony i przyjacielski.

Wreszcie Karolek Bates oświadczył, że czas już nogi wziąć za pas; wprawdzie Oliwer narazie tego nie zrozumiał, lecz domyślił się, że to znaczy wyjść poprostu. Domysł okazał się słuszny, gdyż w istocie Smyk, Karolek i obie dziewczyny niebawem wyszli, wziąwszy przedtem od miłego staruszka na zabawę pieniędzy, których im ten udzielił bez wzdragania.

— No i cóż, mój drogi — zapytał Oliwera Fagin, gdy zostali sami — czy nie mają szczęśliwego życia? Patrzaj — teraz sobie na cały dzień wyszli na zabawę!

— Czy już dzisiaj nic więcej robić nie będą? — szepnął Oliwer.

— Nie — odpowiedział Żyd. — Chyba, że im coś niespodziewanie w rękę wpadnie... A że oni takiej sposobności nie opuszczą, o tem możesz być przekonany, mój luby.

I uderzając pogrzebaczem w ognisko, aby swym słowom nadać większej wagi, dodał:

— Weż ich sobie za przykład, mój drogi, weż sobie ich za przykład. Rób wszystko, co ci każą i słuchaj ich we wszystkiem, a szczególnie Smyka, mój drogi, szczególnie Smyka! Z niego kiedyś będzie bardzo wielki człowiek, a i ciebie on także wysoko doprowadzi, jeżeli go sobie za wzór weźmiesz... Czy mi wisi chustka z kieszeni, mój drogi, co? —

zapytał wkońcu, zatrzymawszy się nagle przed Oliwerem.

— Wisi, sir — odpowiedział chłopiec.

— Sprobójże więc, mój drogi, czy nie będziesz mógł wyciągnąć mi jej z kieszeni tak lekko i nieznacznie, żebym nie poczuł wcale twej ręki; tak, jak widziałeś to dziś rano u Smyka i Karolka, podczas naszej zabawy.

Oliwer przytrzymał jedną ręką spód kieszeni, tak jak to u Smyka widział, a drugą leciuchno chustkę z niej wyjął.

— Masz ją? — spytał Żyd.

— Oto jest, sir — odpowiedział Oliwer i podał mu chustkę.

— Zręczny z ciebie chłopiec, bardzo zręczny! — pochwalił żartobliwy staruszek, klepiąc z uznaniem Oliwera po głowie — nie widziałem nigdy tak zręcznego i pojętnego chłopca. Masz szylinga. Jeżeli tak dalej postępować będziesz, to wyrośnie z ciebie kiedyś największy człowiek naszych czasów. A teraz chodź, pokażę ci, jak masz wypruwać znaczki z chustek.

Oliwer dziwił się mocno, nie mogąc żadną miarą pojąć, jaki mają związek kieszenie staruszka z nadzieją, iż on kiedyś wielkim zostanie człowiekiem... Sądząc jednak że Żyd, jako człowiek o wiele od niego starszy, lepiej musi te rzeczy rozumieć, poszedł z ufnością za nim, usiadł przy stoliku i wkrótce zatopił się zupełnie w swojem nowem zatrudnieniu.

Rozdział dziesiąty.

Oliwer zawiera bliższą znajomość z charakterami swych towarzyszy, i to doświadczenie drogo okupuje. Rozdział krótki, lecz bardzo ważny.

Oliwer przez długi czas ani na krok nie ruszał się z domu, będąc ciągle zajętym wypruwaniem znacz-

ków z chustek, których wielką ilość przynoszono; czasami także uczestniczył we wspomnianej wyżej grze, w którą codzień rano bawili się Żyd i jego dwaj wychowańcy. Nakoniec zaczął tęsknić za świeżem powietrzem i przy każdej sposobności błagał staruszka, aby mu pozwolił wyjść z domu i pomóc w pracy dwom swoim towarzyszom.

Oliwer tem bardziej pragnął okazania swej gorliwości, im bardziej przekonywał się o surowości zasad starego jegomościa. Ile razy Smyk lub Karolek Bates wrócili wieczorem do domu z pustemi rękami, tyle razy karcił on ich gwałtownie, przedstawiał zdrożność próżniaczego i gnuśnego życia, zalecał konieczność pracy i wyprawiał ich spać bez wieczerzy. Pewnego razu nawet tak daleko się posunął, że strącił obu ze schodów, co się Oliwerowi wydało już cokolwiek przesadzoną gorliwością w nawracaniu ich do cnoty.

Wkońcu pewnego razu Oliwer otrzymał pozwolenie, o które tak usilnie błagał.

Od kilku dni nie przynoszono już chustek i obiady stawały się raczej skąpe.. Powyższa okoliczność była może powodem, że stary jegomość udzielił Oliwerowi swego pozwolenia. Ostateczenie, ta lub inna przyczyna, to rzecz obojętna, dość, że powiedział Oliwerowi, iż może wyjść na świat boży, przyczem oddał go pod opiekę Smyka i Karolka Bates.

Trzej chłopcy wyszli na miasto. Smyk, jak zwykle, z rękawami zawiniętemi aż po łokcie, w kapeluszu na samym czubku głowy; Karolek Bates, trzymając poważnie ręce w kieszeniach od spodni; a Oliwer w środku pomiędzy nimi, niezmiernie zaciekawiony, dokąd też zawiodą go ci dwaj towarzysze i jakiej gałęzi rzemiosła nauczać będą. Szli jednak krokiem tak powolnym, leniwym, że Oliwer zaczął myśleć, że nie było wcale ich zamiarem udać się na ro-

botę, ale że poprostu chcieli staruszka oszukać i wałęsać się po mieście.

Przytem zachowanie się obu towarzyszy było bardzo rażące. Smyk miał brzydki zwyczaj zrywać czapki małym chłopcom z głowy i daleko na ulicę je rzucać; Karolek Bates zaś zdawał się mieć bardzo szerokie pojęcie o własności, gdyż brał wszędzie, gdzie tylko mógł, jabłka lub inne owoce z koszów przekupek i chował je do kieszeni, mających nadzwyczajną objętość.

To wszystko było dla Oliwera rzeczą tak brzydką, że chciał właśnie im oświadczyć, iż pierwszą lepszą drogą powróci do domu, gdy naraz myśli jego, tknięte tajemniczą zmianą w postępowaniu Smyka, wzięły inny kierunek.

Zaledwie wyszli z ciasnej uliczki, niedaleko rynku Clarkin well, — przez jakieś szczególne przekręcenie wyrazów: The green (trawnik) zwanego, — Smyk stanął nagle i, kładąc palec na ustach, wstrzymał również swych towarzyszy, zalecając im największą ostrożność i przezorność.

— Co takiego? — zapytał Oliwer.

— Pst! — odpowiedział Smyk. — Czy widzisz tego staruszka koło księgarni?

— Tego starego pana? Widzę.

— Ten będzie dobry — rzekł Smyk.

— Obiecujący kęsek... — potwierdził Karolek Bates.

Oliwer z wielkiem zdziwieniem to na jednego, to na drugiego spoglądał, lecz nie śmiał się odezwać, gdyż obaj chłopcy przeszli zwolna na drugą stronę ulicy i stanęli nieznacznie tuż za staruszkiem, który zwrócił na siebie ich uwagę.

Oliwer także kilka kroków za nimi postąpił, nie wiedząc jednak, czy ma iść dalej, czy się wrócić, stanął i patrzał na nich w niemem osłupieniu.

Staruszek z upudrowaną głową i złotemi okularami, wyglądał bardzo poważnie. Był ubrany w zielony surdut z czarnym, aksamitnym kołnierzem, miał białe spodnie, grubą laskę z tureckiej trzciny pod pachą. Stał koło księgarni i czytał książkę, którą od księgarza do przejrzenia pożyczył, z takiem zainteresowaniem, jakby w wygodnem krześle u siebie w domu siedział.

Być może, iż był nawet tego mniemania, gdyż tak bardzo zatopił się w czytaniu, że nie widział ani księgarni, ani ulicy, ani chłopców, słowem nic, prócz książki, którą zapewne zaraz na ulicy chciał od deski do deski przeczytać, bo wciąż kartę za kartą przewracał, a skończywszy jedną stronę, zaczynał następną z największem zajęciem i pilnością.

Jak wielkie było zdziwienie i zgroza Oliwera, gdy tenże, stojąc o kilka kroków od staruszka, spostrzegł, że Smyk wsunął rękę do jego kieszeni, wyciągnął z niej chustkę, podał ją szybko Karolkowi, poczem oddalił się z nim jak najśpieszniej i znikł z oczu na rogu ulicy.

W mgnieniu oka cała tajemnica z chustkami, zegarkami, klejnotami i Żydem wyjaśniła się w umyśle chłopca. Chwilę stał na miejscu jak wryty, a krew tak krążyła mu ze zgrozy w żyłach, że mu się zdawało, iż cała się w żar zamieni. Nakoniec, przestraszony, zmieszany, nie wiedząc nawet co czyni, śpiesznie uciekać zaczął.

To wszystko nie trwało nawet i minuty.

W chwili, kiedy Oliwer ruszył z miejsca, staruszek, sięgnąwszy do kieszeni po chustkę i nie znalazłszy jej, żywo rozejrzał się po ulicy, a widząc szybko uciekającego chłopca, posądził go o kradzież i z książką w ręku pogonił za nim — wołając:

— Chwytajcie złodzieja!

Nietylko staruszek puścił się za Oliwerem w pogoń, pomagał mu w tem cały tłum uliczny, jak to zwykle w takich razach bywa.

Smyk i Karolek Bates, nie chcąc szybką ucieczką zwrócić na siebie uwagi, schronili się rozsądnie do pierwszej lepszej bramy, którą spostrzegli na zakręcie ulicy. Zaledwie jednak usłyszeli hałas i krzyk i zobaczyli uciekającego Oliwera, domyślili się natychmiast o co chodzi i, korzystając z pomyślnej dla nich okoliczności, przyłączyli się do goniących obywateli i zaczęli również wołać:

— Łapajcie złodzieja! Łapajcie złodzieja!

Chociaż znakomici filizofowie zajmowali się wychowaniem Oliwera, nie był on wcale obeznany z piękną zasadą, że własne bezpieczeństwo jest pierwszem prawem natury. Gdyby był o tem wiedział, nie byłby może tak bardzo się zdziwił i przeraził. Lecz ponieważ wcale na to nie był przygotowany, strach wielki go przejął i biegł szybko, jak wiatr, a za nim jego dwaj towarzysze i ów stary jegomość.

— Łapajcie złodzieja! Łapajcie złodzieja!

W tych słowach tkwi jakaś moc czarodziejska. Przekupień porzuca swój kram, woźnica wóz, rzeźnik niecki, piekarz dzieżę, mleczarz dzban, tragarz ciężar, kominiarz narzędzia, dziecko piłkę, uczeń książki; wszystko bieży bez ładu, bez porządku, jeden drugiego wyprzedza, cisnąc się, tłocząc, wrzeszcząc, krzycząc, potrącając, uderzając o przechodzących na zakręcie ulicy, pobudzając psów do szczekania; rynki, ulice, podwórza, powtarzają, zda się, jak echo:

— Łapajcie złodzieja! Łapajcie złodzieja!

Okrzyk powtarza tysiące głosów, tłum powiększa się na każdym zakręcie ulicy. Wszyscy pędzą, brodząc po błocie, kłapiąc po bruku; otwierają się drzwi i okna domów. Publiczność opuszcza błazna

w chwili wypowiadania przezeń najlepszego dowcipu i, łącząc się z goniącym tłumem, pomnaża go i większej jeszcze mocy dodaje wrzaskowi:

— Łapajcie złodzieja! Łapajcie złodzieja!

Pragnienie pogoni jest wrodzoną namiętnością człowieka. Biedny chłopczyna, zdyszany, wyczerpany, pozbawiony tchu, z trwogą w spojrzeniu, ze grozą w oku, z czołem w pocie dobywa wszystkich sił, aby uciec przed swymi prześladowcami, oni zaś, im bardziej się do niego zbliżają, tem głośniejszym wybuchają wrzaskiem, wołając nawet z radością:

— Łapajcie złodzieja!... Chwytajcie złodzieja!...

— Schwytajcie go na miłość Boga!... Choćby już z litości.

Nakoniec zostaje schwytany...

Silne uderzenie. Leży teraz na ziemi, a tłum ciśnie się do niego; każdy nowoprzybyły dobija się, aby tylko zobaczyć złodzieja.

— Ustąpcie!

— Pozwólcież mu odetchnąć.

— Głupstwo!... Nie zasłużył na to...

— Gdzie stary jegomość?

— Oto idzie!...

— Miejsca dla tego pana.

— Czy to ten chłopiec, sir?

— Tak jest!

Oliwer leżał na ziemi zakrwawiony, zabłocony, okryty pyłem, i spoglądał dziko na tłum otaczających go twarzy, gdy staruszka wepchnięto prawie przemocą do koła jego prześladowców.

— Tak — rzekł jegomość. — Zdaje mi się, że to on.

— Zdaje mu się — zaszemrał tłum — widać ma dobre serce.

— Biedny chłopczyna! — mówił staruszek — jakże się pokaleczył.

— Ja to uczyniłem, sir! — pochwalił się silny, barczysty wyrobnik, wysuwając się z tłumu — ja uderzyłem go pięścią w twarz i ostatecznie zatrzymałem.

Wyrobnik sięgnął przytem ręką do czapki, oczekując z ohydnym uśmiechem na pewne wynagrodzenie za poniesione trudy.

Lecz staruszek rzucił na niego okiem ze wstrętem i spojrzał trwożnie dokoła, namyślając się jakby, czy nie lepiej byłoby stąd uciec. I może byłby to uczynił, gdyby w tej chwili nie był się przez tłum przecisnął policjant (który zwykle w podobnych wypadkach się zjawia najpóźniej) i nie chwycił Oliwera za kołnierz.

— Wstań! — zawołał rubasznie.

— Ach panie!... To nie ja!... Doprawdy, doprawdy to nie ja!... To inni dwaj chłopcy! — błagał Oliwer i składał z rozpaczą rączęta, rozglądając się dokoła — oni muszą być gdzieś niedaleko.

— Niema ich tutaj!... — rzekł policjant.

Miało to być dowcipne szyderstwo, lecz właściwie policjant miał rację, gdyż Smyk i Karolek Bates oddalili się już byli skwapliwie, upatrzywszy odpowiednią chwilę.

— Wstań!... — powtórzył policjant.

— Proszę mu nic złego nie robić! — odezwał się staruszek ze współczuciem.

— Ja mu nic złego nie zrobię!... — odpowiedział policjant i na dowód tego tak silnie chwycił chłopca za kołnierz, że omal go mu nie oderwał. — Chodź, urwisie!... Mam cię ptaszku! To ci na sucho nie ujdzie!... Czy staniesz raz na nogi, hultaju?!

Oliwer mógł się zaledwie utrzymać na nogach; jednak dobył wszystkich sił, aby się podnieść, i żandarm powlókł go natychmiast ulicą za kołnierz.

Staruszek udał się także za nimi i, wysuwając się z tłumu trochę naprzód, zaglądał od czasu do czasu w oczy Oliwera. Ulicznicy krzyczeli z radości, i tak cały tłum posuwał się dalej.

Rozdział jedenasty.

Mówi o panu Fang, urzędniku policyjnym i dostarcza drobnych danych na to, jak on swój urząd sprawował.

Zbrodnia została spełniona w okręgu miasta, a nawet w bardzo bliskiem sąsiedztwie sławnego urzędu policyjnego. Tłum przeto nie mógł długo cieszyć się ciekawem widowiskiem; przeprowadziwszy bowiem Oliwera tylko przez parę ulic, oraz plac zwany Multon-hill, musiał go opuścić koło domu o niskiej bramie, przez którą zaprowadzono Oliwera na błotniste podwórze, a stamtąd do samej siedziby sprawiedliwości.

Idąc przez podwórze, spotkali człowieka z długą brodą i pękiem kluczy w ręku.

— Co tam nowego? — spytał niedbale.

— Mały złodziej — odparł policjant, prowadzący Oliwera.

— Czy to pana okradziono? — spytał z kolei staruszka człowiek z kluczami w ręku.

— Tak jest, mnie! — odpowiedział stary jegomość — ale nie jestem całkiem pewny, czy to jest rzeczywiście ten chłopiec, który mi skradł chustkę... Wolałbym nawet nie poszukiwać mej straty.

— Nie można, musisz pan stanąć przed komisarzem — rzekł człowiek. — To długo nie potrwa. Najdalej za parę minut będziesz pan wolny... No, ruszaj naprzód, ty mały wisielcze!

W ten sposób zaproszono Oliwera, aby wszedł do małej, ciasnej komórki, którą dozorca otworzył. Tutaj przetrząśnięto mu kieszenie, a gdy w nich nic

nie znaleziono, zostawiono go samego i drzwi za nim zamknięto.

Komórka była podobna do jamy piwnicznej, ale różniła się od niej jedynie tem, że nie była jasna. Panował w niej ohydny brud, gdyż był właśnie poniedziałek, a od soboty wieczorem przesiedziało w niej sześciu pijanych osobników. Lecz to jest bez znaczenia w porównaniu z tem, co się dzieje po więzieniach, w których zamykają ludzi oskarżonych, ale jeszcze nie osądzonych. Tam bowiem zamykają co noc za najlżejsze przewinienia mężczyzn i kobiety razem, i te kordegardy tak są brudne, że w porównaniu z niemi więzienia w Newgate, gdzie siedzą najwięksi zbrodniarze już osądzeni, a często na śmierć skazani, wydają się być prawdziwemi pałacami.

Ktoby nie chciał dać temu wiary, niech sam się przekona.

Staruszek wyglądał niemniej smutnie, jak Oliwer, gdy się za tym ostatnim drzwi zamknęły; z westchnieniem spojrzał na książkę, która była niewinną przyczyną całej awantury.

— Ten chłopiec ma coś takiego w twarzy, co mnie chwyta za serce i interesuje — mówił do siebie, odchodząc zwolna od drzwi i uderzając się lekko w zamyśleniu książką po brodzie. — Miałżeby być niewinnym?... Na takiego wygląda!...

Nagle, zatrzymując się, wznosząc oczy w górę, szepnął:

— Na Boga! Ja gdzieś widziałem to spojrzenie.

Pomyślawszy nad tem przez chwilę, zwrócił się do przedpokoju izby urzędowej, którego okna wychodziły na podwórze, i usiadłszy w kącie, wywoływał w pamięci twarze, które znał dobrze, a które skryte już były poza gęstą zasłonę.

— Nie! — zawołał nakoniec — to musi być przewidzenie.

Jeszcze raz przypatrzył się w myśli wszystkim tym twarzom, jeszcze raz wywołał je przed oczy, i ciężko mu było pokryć je na nowo całunem, który od tylu lat je okrywał.

Były to twarze przyjaciół, nieprzyjaciół i innych osób, prawie całkiem mu nieznanych, a teraz natrętnie na niego spoglądających. Były tam oblicza młodych i kwitnących dziewcząt, będących teraz staremi kobietami; były też i takie, które grób przeobraził i zagrzebał, a które myśl człowieka, silniejsza od śmierci, przybiera w dawną ich świeżość i piękność, ogniem życia ich oczy zapala, uśmiech na usta wywołuje i sprowadza ich duszę, promieniejącą z poza maski gliny; ta sama myśl, która szepce o piękności z tamtej strony grobu, o zmianie jedynie poto, by człowieka podwyższyć, unieść go z ziemi w światłość i nad ścieżką prowadzącą do raju rozniecić blask łagodny i spokojny.

Staruszek jednak nie mógł przypomnieć sobie ani jednej twarzy, podobnej z rysów do Oliwera, z westchnieniem też pożegnał wspomnienia, jakie w swej duszy wywołał, a będąc na szczęście człowiekiem roztargnionym, zatopił się wkrótce całkiem w czytaniu książki i zapomniał o całym świecie.

Z tego zapomnienia przebudziło go niebawem lekkie uderzenie w ramię i zaproszenie dozorcy więzienia, by się za nim do izby urzędowej udał. Staruszek zamknął spiesznie książkę i został zaprowadzony przed dumne oblicze sławnego pana Fanga.

Izba urzędowa miała okna, wychodzące na ulicę, i ściany, wyłożone taflami. Na jednym końcu, za kratkami biurka, siedział pan Fang, koło drzwi było ogrodzenie, podobne do ciasnej klatki, do której

wepchnięto biednego Oliwera, drżącego na całem ciele z przestrachu.

Pan Fang był to mężczyzna średniego wzrostu, z włosem już bardzo przerzedzonym na głowie i pozostałym jedynie na jej tylnej części i przy skroniach. W obliczu jego przebijała surowość i nadzwyczajna nadętość. Jeżeli istotnie nie miał zwyczaju pić więcej jak tylko tyle, ile zdrowie wymagało, to mógł śmiało wytoczyć sprawę przeciwko oskarżeniu, wyrytemu w tej mierze na jego twarzy, a z pewnością byłby ją wygrał i pozyskał hojne wynagrodzenie.

Staruszek ukłonił się grzecznie i zbliżył się z uszanowaniem do biurka urzędnika.

— Oto moja karta, sir — rzekł, stwierdzając czynem swoje słowa.

Poczem cofnął się o parę kroków, powtórnie grzecznie się ukłonił, oczekując cierpliwie śledztwa i urzędowego wywodu. Traf jednak zrządził, że pan Fang był w tej chwili zajęty czytaniem artykułu w „Gazecie Porannej", w której rozpatrywane były ostatnie jego wyroki, a on sam po raz trzysta pięćdziesiąty został niekorzystnie polecony specjalnej pamięci ministra spraw wewnętrznych. Artykuł wzburzył go niesłychanie i z okropnym gniewem potoczył okiem dokoła siebie.

— Kto waćpan jesteś? — zapytał.

Ten wskazał ze zdziwieniem na podaną kartę.

— Woźny! — zawołał pan Fang, odrzucając z pogardą kartę i gazetę — co to za człowiek?

— Sir, nazywam się Brownlow! — rzekł staruszek głosem, jakim zwykle mówią ludzie inteligentni i dobrze wychowani. — Proszę nawzajem, sir, wymienić mi nazwisko urzędnika, który w czasie urzędowania obraża uczciwego człowieka bez wszelkiej przyczyny.

Mówiąc to, pan Brownlow potoczył okiem po izbie, szukając jakby osoby, która mogłaby oddać mu żądaną przysługę.

— Woźny! — zawołał pan Fang, przerzucając swoje papiery na inne miejsce — o co jest ten człowiek oskarżony?

— Ten pan nie jest wcale oskarżony, wasza wysokość — odpowiedział woźny — przeciwnie, zanosi skargę przeciwko temu chłopcu.

Jego wysokość wiedział o tem bardzo dobrze; udana nieświadomość była nową obelgą, której mógł się bezkarnie dopuścić.

— Zanosi skargę przeciwko temu chłopcu? — zapytał, mierząc ze wzgardą pana Brownlow od stóp do głowy. — Niechaj wprzód złoży przysięgę.

— Zanim to uczynię, muszę powiedzieć parę słów — odparł pan Brownlow — a mianowicie, że nie doświadczywszy tego przedtem, nigdybym nie uwierzył, aby...

— Proszę milczeć, sir! — przerwał Fang piorunująco,

— Nie będę milczał! — odparł staruszek.

— Milcz natychmiast, albo cię każę wyprowadzić z izby! — krzyknął Fang. — To jakiś człowiek bezczelny i bezwstydny! Jak śmiesz przemawiać tak zuchwale do urzędnika?

— Co? — zawołał staruszek, zapłoniwszy się z gniewu.

— Odebrać przysięgę od tego człowieka! — zwrócił się Fang do pisarza. — Ani słowa od niego słyszeć nie chcę, dopóki przysięgi nie złoży!

Oburzenie pana Brownlow doszło do najwyższego stopnia; przypuszczając jednak, że wybuch gniewu mógłby Oliwerowi zaszkodzić, poddał się konieczności złożenia przysięgi.

— A teraz — zapytał Fang — o co ten chłopiec jest oskarżony? Co masz przeciwko niemu, sir?...

— Stałem koło księgarni... — zaczął mówić pan Brownlow.

— Milczeć! — zawołał Fang. — Policjant! Gdzie jest policjant?... Odebrać od niego przysięgę!... A teraz, policjant, jak to było?

Policjant zeznał uniżenie, w jaki sposób odebrał skargę, jak potem przetrząsnął kieszenie Oliwera i nic nie znalazł; wogóle tyle tylko z całej sprawy było mu wiadome.

— Czy są świadkowie? — zapytał Fang.

— Niema żadnych, wasza wysokość — odpowiedział policjant.

Pan Fang milczał przez chwilę, nakoniec zwrócił się do skarżącego i rzekł z nadzwyczajną pasją:

— Czy powiesz raz, sir, co masz przeciwko temu chłopcu, czy nie?... Złożyłeś przysięgę. Jeżeli będziesz stał i nic nie mówił, to cię ukarzę za lekceważenie urzędu, mój panie! Tak jest, uczynię to, sir, przysięgam na...

Na co lub na kogo?... Niewiadomo, albowiem pisarz i dozorca więzienia rozkasłali się natychmiast bardzo mocno, a pierwszy upuścił nawet książkę na podłogę, co przeszkodziło przedewszystkiem do usłyszenia owego zaklęcia, — wszystko przypadkiem, naturalnie.

Po wielu przerwach i poniesionych obelgach, udało się panu Brownlow przedstawić dokładnie cały wypadek, a czyniąc wkońcu uwagę, iż w pierwszej chwili uniesienia zaczął biec za chłopcem dlatego jedynie, że go widział śpiesznie uciekającego, wyraził nadzieję, iż urząd, przekonawszy się, że malec nie jest złodziejem, może tylko ma ze złodziejami stosunki, zechce łagodnie przy wymierzaniu kary postąpić.

— Już i tak go silnie poturbowano — kończył staruszek — obawiam się nawet — dodał, spoglądając z litością na Oliwera, siedzącego w klatce — obawiam się, że już jest chory.

— Oczywiście! — zawołał Fang szyderczo. — Chodź no tu!... Tylko nie udawaj, ty mały wisielcze... to ci nic nie pomoże... Jak się nazywasz?

Oliwer chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł wymówić ani słówka... Zbladł śmiertelnie... Cały pokój zaczął mu się kręcić w oczach.

— Jak się nazywasz, zuchwalcze? — zagrzmiał pan Fang. — Policjant, jak on się nazywa?

Pytani zwrócone było do staruszka z pulchną twarzą, w białej kamizelce w pasik, stojącego koło szranek. Zapytany nachylił się do Oliwera i powtórzył pytanie, lecz spostrzegłszy, że chłopiec nie jest zdolny do zrozumienia tego, o co się go pytają i, wiedząc z doświadczenia, iż w takim razie, urzędnik rozgniewa się jeszcze bardziej i wyda ostrzejszy wyrok, wymienił pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu na myśl wpadło:

— Mówi, że się nazywa Tomasz White, wasza wysokość.

— Nie chce odpowiadać?... Nie chce? — gniewał się Fang. — Bardzo dobrze!... bardzo dobrze!... mieszka?

— Gdzie może — odparł policjant, udając, że powtarza odpowiedź Oliwera.

— Czy ma rodziców? — pytał dalej Fang.

— Mówi, że dawno umarli, wasza wysokość — zmyślał dalej dobroduszny policjant.

W tej chwili Oliwer podniósł głowę, spojrzał błagalnie dokoła i poprosił szeptem o trochę wody.

— Głupstwo!... Oszukaństwo!... — zawołał Fang — czy myślisz, że nas potrafisz obałamucić?

— Zdaje mi się, że on naprawdę jest chory! — zauważył policjant.

— Znamy się na tem! — rzekł pan Fang.

— Miej pan litość nad nim, panie policjancie — odezwał się pan Brownlow, podnosząc mimowoli ręce do góry — on upadnie...

— Precz od niego! — zagrzmiał Fang — niechaj pada, jeżeli mu się tak podoba.

Oliwer skorzystał z tego dobrotliwego pozwolenia i upadł zemdlony na ziemię. Wszyscy obecni w izbie spojrzeli nawzajem po sobie, lecz nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca.

— Wiedziałem, że udaje! — zawołał Fang, jak gdyby to było niezbitym dowodem tej prawdy. — Niechaj sobie leży... wkrótce mu się to sprzykrzy!

— Jakże w tej sprawie postąpimy, sir? — zapytał pisarz cichym głosem.

— Bardzo krótko! — odpowiedział Fang. — Skazany na trzy miesiące ciężkiej pracy!... Skończone. Ustąpić z izby!

Otworzono drzwi naoścież i zjawiło się kilku ludzi, którzy mieli zemdlonego chłopca zanieść do więzienia. Wtem mężczyzna w podeszłym już wieku, ubrany skromnie, w czarny surdut, wszedł śpiesznie do izby i przystąpił do kratek.

— Stójcie!... Stójcie!... Nie wyprowadzajcie go!... Na miłość Boga, stójcie!... Wstrzymajcie się chwilę! — zawołał nowoprzybyły, dysząc ciężko z pośpiechu.

Jakkolwiek urzędnik na podobnej posadzie ma sobie powierzoną władzę nad wolnością, dobrem, mieniem a nawet życiem poddanych jego królewskiej mości, szczególniej zaś ludzi biednych, jakkolwiek wśród tych ścian może wyprawiać najdziksze bezprawia, które aniołów doprowadzają do łez, to świat jednak nigdyby się o tem nie dowiedział, gdyby nie pośrednictwo dzienników.

Pan Fang oburzył się wielce, widząc niepożądanego gościa, który wpadł do urzędu z gorszącą bezceremonjalnością.

— Co to jest?... Co to ma znaczyć? Wyrzucić tego człowieka!... Ustąpić z sądowej izby!... — zawołał.

— Ja chcę mówić!... — odparł nowoprzybyły — ja się nie dam wyrzucić!... Ja byłem naocznym świadkiem wszystkiego... Jestem właścicielem księgarni... Żądam, aby odebrano ode mnie przysięgę. Nie dam się wyrzucić!... Panie Fang, musisz mię wysłuchać! Nie możesz mi tego odmówić, sir!

Żądanie było słuszne. Księgarz był stanowczy; sprawa stawała się zbyt ważna, aby ją można było lekko potraktować.

— Wysłuchać jego przysięgi! — mruknął Fang niechętnie. — A teraz, co pan masz do powiedzenia, sir?

— Oto jak rzecz się miała! — odparł księgarz. — Widziałem trzech chłopców, uwięzionego i dwuch innych jeszcze, błąkających się po drugiej stronie ulicy wtedy, kiedy ten jegomość czytał książkę. Okradli go tamci dwaj chłopcy; widziałem to dobrze przez okno. Widziałem także, jak ten chłopiec był ich występkiem zdziwiony i przestraszony.

Nabrawszy lepiej tchu, zacny księgarz opowiedział rzecz całą zwięźle, ze wszystkiemi szczegółami.

— Dlaczegóżeś przedtem nie przyszedł złożyć tego świadectwa, panie? — zapytał Fang po chwili milczenia.

— Nie miałem narazie pod ręką nikogo do pozostawienia w sklepie — odparł księgarz. — Wszyscy pobiegli gonić złodzieja. Upłynęło najmniej dziesięć minut, zanim udało mi się schwytać kogo, ktoby mi sklepu przypilnował; natychmiast też tutaj przybiegłem.

— Oskarżyciel czytał, nieprawdaż? — zapytał Fang.

— Tak jest — odpowiedział księgarz — tę samą książkę, którą jeszcze trzyma w ręku.

— Tę samą książkę? — powtórzył Fang — a czy za nią zapłacił?

— Nie... nie zapłacił — odparł księgarz z uśmiechem.

— Kochany panie... na śmierć o tem zapomniałem — zawołał staruszek z całą naiwnością.

— I podobna osoba odważa się zanosić skargę przeciwko biednemu chłopcu? — zawołał Fang, udając niezręcznie święte oburzenie. — Zaiste, bardzo podejrzaną i wcale niezaszczytną drogą doszedłeś pan do posiadania tej książki, i podziękuj Bogu, że właściciel nie występuje przeciwko tobie ze skargą! Niechaj ci to na przyszłość posłuży za naukę, inaczej prawo będzie umiało cię dosięgnąć. Wypuścić chłopca!... Ustąpić z izby!

— Ha! Na Boga! — zawołał pan Brownlow, wybuchając gniewem, którego już dłużej pohamować nie mógł — ja mu tego nie puszczę na sucho.

— Usunąć ludzi z izby! — wrzasnął pan Fang. — Czy woźny słyszy?...

Usłuchano rozkazu i wyprowadzono z izby oburzonego pana Brownlow, trzymającego pod jedną pachą książkę, a pod drugą — trzcinową laskę.

Znalazłszy się na podwórzu, ochłonął z gniewu w jednej chwili.

Mały Oliwer leżał na ziemi z obnażonemi piersiami; skronie miał zlane wodą, twarz bladą. Zimny dreszcz wstrząsał całem jego ciałem.

— Biedny chłopczyna!... Biedny chłopczyna!... — rzekł pan Brownlow, nachyliwszy się nad nim. —

Czy nie ma tu kogo, coby mi natychmiast powóz sprowadził?

Niebawem sprowadzono powóz, przeniesiono do niego Oliwera z największą troskliwością i złożono na jednem siedzeniu, podczas gdy pan Brownlow usiadł na drugiem.

— Czy mogę towarzyszyć? — zapytał księgarz, zajrzawszy do powozu.

— Proszę, mój drogi przyjacielu! — odparł śpiesznie pan Brownlow. — Zapomniałem o tobie zupełnie, mój drogi. Mam jeszcze przy sobie twoją nieszczęsną książkę... Siadaj, musimy zająć się chłopcem jak najprędzej.

Księgarz wsiadł do powozu, który ruszył z miejsca.

Rozdział dwunasty.

Oliwer doznaje większej niż kiedykolwiekbądź troskliwości i pieczołowitości. Autor wraca do żartobliwego starego jegomościa i jego młodych przyjaciół.

Powóz potoczył się po tej samej drodze prawie, po której Oliwer w towarzystwie Smyka przybył do Londynu, minął Anioła w Islington i zatrzymał się w pobliżu przedmieścia Pentonvile, koło ładnego domku, położonego przy spokojnej i cienistej ulicy.

Po przybyciu na miejsce, przygotowano natychmiast łóżko, na które pan Brownlow kazał przenieść Oliwera z największą ostrożnością i troskliwością; poczem pielęgnowano chłopca z sercem i staraniem wprost bezgranicznem.

Lecz Oliwer długo, bardzo długo pozostawał nieczuły na objawy dobroci swych nowych przyjaciół. Słońce wzeszło i zaszło, i wiele jeszcze razy wschodziło i zachodziło, a on wciąż leżał bez przytomności i w silnej gorączce. Robak, toczący trupa, nie do-

konywa tak sprawnie swej czynności, jak to uczynić ma żar, trawiący żywe ciało człowieka.

Wybladły, wynędzniały, wątły, obudził się nakoniec, jak mu się zdawało, z długiego i ciężkiego snu. Podniósłszy się cokolwiek na łóżku, podparł głowę drżącą ręką i rozejrzał się trwożnie dokoła.

— Gdzie ja jestem?... Jak ja się tutaj dostałem?... — szepnął. — To nie jest miejsce, na którem zwykle sypiałem.

Chociaż wyszeptał to bardzo cicho, jednak usłyszano go widocznie, gdyż natychmiast poruszyła się zasłona jego łóżka i kobieta w podeszłym już wieku, skromnie i czysto ubrana, podniosła się spiesznie z krzesła, na którem dotąd siedziała i robiła robotę.

— Cyt, cyt, mój synu!...— odezwała się łagodnie— Musisz zachować się jeszcze bardzo spokojnie, w przeciwnym razie zachorujesz znowu. Byłeś bardzo chory... o tak... bardzo, bardzo chory!... Połóż się, połóż, mój drogi synu!...

To mówiąc, staruszka zwolna i troskliwie złożyła głowę Oliwera napowrót na poduszkę i, odgarnąwszy mu włosy z czoła, spojrzała mu w oczy tak poczciwie, że chłopczyna mimowolnie, idąc za popędem serca, ujął swą wychudłą ręką dłoń dozorczyni i przycisnął ją do szyi.

— Miły Boże! — zawołała staruszka ze łzami w oczach — jakiż to miły i wdzięczny chłopczyna! Kochane stworzenie!... Coby też czuła jego matka, gdyby tak, jak ja, przy nim siedzieć i na niego patrzeć mogła!

— A może ona patrzy na mnie! — szepnął Oliwer cichutko, złożywszy ręce na piersi; — może ona przy mnie siedziała. Zdaje mi się, żem ją widział tutaj, przy sobie.

— To ci się przywidziało w gorączce, mój drogi — odpowiedziała łagodnie staruszka.

— Zapewne, że to musiało być w gorączce — rzekł Oliwer. — Do nieba jest bardzo daleko, a tam wszyscy są zbyt szczęśliwi na to, aby chcieli schodzić na ziemię i stawać przy łóżku biednego chłopca. Ale jeżeli moja matka wiedziała, że byłem chory, to pewno się nade mną litowała, bo i ona bardzo chorowała, zanim umarła... Przecież ona mnie widzieć nie może — dodał po chwili milczenia — bo gdyby była widziała, jak mnie bito, byłaby się tem mocno zmartwiła, a jej oblicze jaśniało zawsze pogodą i szczęściem, gdy o niej śniłem.

Staruszka nic na to nie odpowiedziała, lecz otarła z łez najprzód swoje oczy, a potem okulary, leżące wprawdzie na kołdrze, lecz stanowiące jakby nieodzowną cześć jej oblicza; poczem poszła po chłodzący napój,przyniósłszy go, pogłaskała chłopczynę po twarzy i upomniała ładnie, aby leżał cicho i spokojnie.

Oliwer spoczywał tedy spokojnie poniekąd dlatego, żeby nie sprzeciwiać się dobrej staruszce, a poniekąd dlatego także, że te kilka słów, wyrzeczonych przed chwilą, wyczerpało go zupełnie.

Zasnął też wkrótce lekkim i błogim snem, z którego obudził go dopiero blask świecy. W jej świetle spostrzegł oblicze jegomościa, trzymającego w jednej ręce duży złoty zegarek, a w drugiej jego własną rękę, której puls badał; po chwili pan ten orzekł, że Oliwer ma się o wiele lepiej.

— Czujesz się już o wiele lepiej, nieprawdaż? — zapytał.

— Tak jest, dziękuję panu. — odpowiedział Oliwer.

— Wiedziałem o tem — mówił jegomość — jesteś głodny, nieprawdaż?

— Nie, panie — odpowiedział Oliwer.

— Hm!... — mruknął pan. — Ja wiem, że ci się jeść nie chce. Jemu się jeść nie chce, pani Bedwin — dodał, podziwiając jakby własną mądrość.

Pani Bedwin pochyliła głowę z wielkiem uszanowaniem, chcąc przez to wyrazić wiarę w rozum pana doktora. Pan doktór również nie zdawał się mieć o sobie innego pojęcia.

— Zapewne chce ci się spać, mój synu, nieprawdaż? — pytał doktór.

— Nie, panie — odparł Oliwer.

— Nie! — powtórzył doktór z wyrazem prawdziwego zadowolenia— ...Nie jesteś śpiący.... I nie masz pragnienia?

— Owszem, mam bardzo wielkie pragnienie, panie! — odpowiedział Oliwer.

— Spodziewałem się tego, kochana pani Bedwin — rzekł lekarz. — To nic dziwnego, że jest bardzo spragniony. Możesz mu dać trochę herbaty, moja pani Bedwin, a do niej kawałek sucharka... tylko niewiele... i to bez masła. Nie trzymaj go zbyt ciepło, moja pani... ale proszę też uważać na to, aby mu zbyt zimno nie było. Czy będziesz o tem pamiętała, pani Bedwin?

Staruszka dygnęła. Pan doktór, skosztowawszy chłodzącego napoju, wyraził swoje zadowolenie i poszedł. Gdy schodził nadół po schodach, buty jego skrzypiały z należytą powagą i godnością.

Oliwer zasnął wkrótce po odejściu lekarza; gdy się powtórnie obudził, było już koło północy. Pani Bedwin pożegnała go czule, poleciwszy go pieczy otyłej kobiety, również w podeszłym wieku, która właśnie nadeszła, przyniósłszy z sobą w zawiniątku małą książeczkę do modlitwy i wielki nocny czepek.

Umieściwszy czepek na głowie, a książeczkę na stole, niewiasta zapowiedziała Oliwerowi, że będzie tej nocy czuwała przy nim. W tym celu przysunęła

sobie krzesło do ognia i zaczęła ziewać, mrużyć oczy, chwiać się i kołysać na wszystkie strony, z głową na piersi pochyloną, podawać się gwałtownie naprzód to znowu wtył, trzeć nos i oczy, budzić się i zasypiać z powrotem. Wszystko razem trwała tak długo, aż póki na dobre nie zasnęła.

W ten sposób przeszła noc. Oliwer nie spał czas jakiś; leżał spokojnie, licząc małe kręgi cienia, które tworzyła na suficie nocna lampa, osłoniona daszkiem, lub też śledząc znużonem okiem zawikłany rysunek malowidła na ścianie.

W pokoju panowała ciemność i cisza prawdziwie uroczysta. Chłopcu przyszło na myśl, iż śmierć krążyła nad nim przez kilka dni i nocy i dotąd jeszcze może nie opuściła jego łóżka, ukrył więc głowę w pościeli i gorąco zaczął się modlić.

Powoli zapadał w głęboki i spokojny sen, który po tylu niedawno przebytych cierpieniach wywierał na niego swój wpływ zbawienny; spokój i błogość ogarnęły go zupełnie. Gdyby śmierć była takim snem, któż życzyłby sobie oczy napowrót otworzyć i przebudzić się do wszelkich mąk i cierpień tego życia... do wszelkich trosk teraźniejszości, obawy o przyszłość, a co gorsze, do wszystkich smutnych i dręczących wspomnień przeszłości.

Słońce jaśniało już na niebie od kilku godzin, gdy Oliwer otworzył oczy; czuł się szczęśliwy i wesoły. Przesilenie choroby minęło szczęśliwie; należał znów do świata.

Po trzech dniach wrócił tak dalece do sił, że mógł siedzieć w krześle, wysłanem poduszkami; lecz ponieważ zbyt był jeszcze słaby, aby o własnej mocy utrzymać się na nogach, pani Bedwin kazała go zanieść nadół do swojej izdebki, którą zajmowała jako gospodyni. Tutaj posadziła go przy kominku, sama zaś usiadła naprzeciw niego i rozpłakała się

serdecznie z radości, że już tak dalece przyszedł do zdrowia.

— Nie zważaj na to, mój drogi — rzekła zacna staruszka, — ja miewam często podobne napady płaczu. Ale już wszystko minęło, już mi teraz lepiej.

— Pani jest bardzo,... bardzo dobra dla mnie — odezwał się Oliwer.

— Zdaje ci się, mój kochany! — rzekła staruszka; — nie roztkliwiaj się, bo to nie ma żadnego związku z twoim rosołem, a już dawno czas, żebyś się go napił. Doktór powiedział, że pan Brownlow odwiedzi cię dzisiaj rano. Musimy przeto wyglądać jak najlepiej, gdyż im lepiej będziemy wyglądać, tem większą sprawimy mu radość.

To powiedziawszy, zacna staruszka zajęła się sama zagrzaniem w rondelku talerza dobrego rosołu, którym trzystu pięćdziesięciu ubogich z Domu Roboczego można byłoby nakarmić, gdyby go należycie wodą rozpuszczono.

— Czy lubisz obrazy, mój drogi? — zapytała staruszka, widząc, że Oliwer utkwił wzrok w obraz, wiszący naprzeciw jego krzesła na ścianie.

— Nie wiem dobrze, droga pani — odpowiedział Oliwer, nie spuszczając oka z obrazu. — Tak mało widziałem ich w mojem życiu, że tego powiedzieć nie umiem... Jakże ładne i miłe oblicze ma na obrazie ta pani.

— A! — zawołała gospodyni — malarze zwykle pochlebiają kobietom i malują je ładniejszemi, niż są w istocie, inaczej żadna nie dałaby się im malować, moje dziecko!... Ten, coby wynalazł maszynę do chwytania podobizn, ten powinienby wiedzieć o tem, że nigdy nie będzie mieć wielkiego powodzenia właśnie z powodu zbyt miernego podobień-

stwa — dodała, śmiejąc się serdecznie z własnego dowcipu.

— Czy to — to jest podobizna jakiej pani? — zapytał Oliwer.

— Tak jest — odpowiedziała staruszka, odwróciwszy na chwilę oczy od rosołu — to jest portret!

— A czyj, proszę pani? — pytał Oliwer.

— Prawdziwie nie wiem, mój drogi — odpowiedziała gospodyni wesoło. — Zdaje mi się, że ani ty, ani ja nie znamy wcale tej osoby. Jak widzę, bardzo ci się ten portret podoba, synu?

— Jest taki ładny!... — odpowiedział Oliwer.

— Przecież nie boisz się go? — zawołała żdziwiona staruszka, spostrzegłszy, że chłopczyna spogląda na obraz z pewną trwogą.

— O nie, nie! — odparł pośpiesznie Oliwer — ale w jej oczach przebija się taki smutek, i mnie się zdaje, że one ciągle zwrócone są na mnie. Serce mi tak bije — dodał ciszej — jakby ona była żywa i chciała do mnie mówić, a przecież nie może.

— Wielki Boże! — wykrzyknęła staruszka, zrywając się z krzesła — nie mów tak, mój synu! Jesteś jeszcze, widać, bardzo osłabiony i wrażliwy po chorobie. Odwrócę twoje krzesło w inną stronę, żebyś tego obrazu nie miał więcej przed oczyma. Tak — dodała, uskuteczniwszy swój zamiar — teraz nie będziesz mógł go widzieć.

Lecz Oliwer widział w swej wyobraźni obraz tak wyraźnie, jakby wcale swego położenia nie zmieniał; postanowił jednak nie mówić o tem zacnej staruszce, aby nie przysparzać jej zmartwienia. Uśmiechnął się tylko mile, gdy spojrzała na niego; pani Bedwin zaś rada, że chłopiec czuje się lepiej, osoliła rosół i wdrobiła w niego sucharek z całem poczuciem uroczystej powagi, która powinna zwykle towarzyszyć podobnemu zatrudnieniu.

Oliwer spożył rosół bardzo prędko. Gdy łykał ostatnią łyżkę, rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołała gospodyni.

I pan Brownlow stanął na progu. Wszedł do pokoju z ogromną żywością, lecz nie zdążył jeszcze zsunąć okularów na czoło i założyć rąk za poły surduta, by lepiej przyjrzeć się Oliwerowi — gdy na jego twarzy odbiła się różnorodność doznanych wrażeń.

Oliwer wyglądał wynędzniały i wyczerpany i nadaremnie dobywał wszystkich sił, aby z uszanowania dla swego dobroczyńcy podnieść się z krzesła.

Te wysiłki Oliwera były powodem, jeżeli mamy wyznać prawdę, że serce pana Brownlow, rządząc się prawami hydrauliki, których dla braku dostatecznych wiadomości w tej mierze nie ośmielamy się nawet wytłumaczyć, wpędziło do jego oczu znaczny zasób łez.

— Biedny chłopiec!... Biedny chłopiec! — rzekł nakoniec pan Brownlow, odkasłując. — Mam chrypkę dzisiaj, pani Bedwin, musiałem się gdzieś zaziębić.

— Niech Bóg uchowa, sir! — odpowiedziała pani Bedwin. — Wszystko, coś pan dzisiaj wziął na siebie, było dobrze wysuszone i ciepłe, sir.

— Nie wiem, kochana pani, nie wiem — odparł pan Brownlow. Zdaje mi się, że podano mi przedwczoraj przy obiedzie mokrą serwetę; ale to nic nie szkodzi. Jak się masz, mój synu?

— Bardzo dobrze, sir — odpowiedział Oliwer — i składam najgorętsze dzięki, sir, za jego dobroć dla mnie.

— Miły chłopiec — rzekł pan Brownlow poważnie. — Czyś mu dała co jeść, pani Bedwin?... Jakiej poleweczki, co?

— Właśnie zjadł talerz dobrego, mocnego rosołu, sir — odparła pani Bedwin, podnosząc się z krzesła i kładąc wielki nacisk na ostatnie słowa, aby dać w ten sposób do zrozumienia, że między polewką, a dobrze zrobionym rosołem niema żadnego porównania.

— Hm! — rzekł pan Brownlow, wzruszywszy lekko ramionami — parę kieliszków porteru pokrzepiłoby go o wiele lepiej, nieprawdaż Tom White? Co?

— Ja się nazywam Oliwer, sir! — odparł chłopiec z wielkiem żdziwieniem.

— Oliwer? — powtórzył pan Brownlow. — Oliwer? A dalej jak? Oliwer White, prawda?

— Nie sir... Twist!... Oliwer Twist!

— Dziwne nazwisko! — zawołał pan Brownlow. — Dlaczegoś kazał powiedzieć sędziemu, że się nazywasz White?

— Ja mu tego nie kazałem powiedzieć, sir — odparł Oliwer jeszcze więcej żdziwiony.

Ta odpowiedź była tak podobna do kłamstwa, że pan Brownlow spojrzał na Oliwera trochę surowo. Lecz niepodobna było mu nie wierzyć; prawda biła z delikatnych i wyrazistych rysów jego twarzy.

— W tem tkwi jakaś pomyłka — mruknął pan Brownlow.

I chociaż nie miał już żadnego powodu, by wpatrywać się w twarz Oliwera, opanowała go znowu dawna myśl o nadzwyczajnem podobieństwie chłopca do niegdyś znanej i bliskiej mu osoby, tak że oczu od niego nie mógł oderwać.

— Myślę, że się pan na mnie nie gniewa? — odezwał się Oliwer, podnosząc błagalnie oczy ku niemu.

— Nie, nie — odpowiedział staruszek. — Wielki Boże! Co to jest?... Pani Bedwin!... Chciej się przypatrzeć!

To rzekłszy, wskazał skinieniem głowy obraz, wiszący na ścianie, a potem spojrzał na twarz chłopca.

Twarz Oliwera była dziwnie podobna do twarzy portretu: te same oczy... ta sama głowa... te same usta... każdy rys prawie był ten sam.

Oliwer nie dowiedział się o przyczynie nagłego okrzyku pana Brownlow; będąc bardzo osłabionym, nie mógł znieść długo utkwionego w sobie wzroku i zemdlał. Jego osłabienie daje autorowi sposobność nawiązania przerwanego kontaktu czytelnika z dwoma młodymi wychowankami jowialnego jegomościa, oraz wzmiankowanym jegomościem.

Smyk i jego dowcipny przyjaciel, Karolek Bates, biorąc udział we wrzaskliwej gonitwie za Oliwerem, — której to gonitwy oni obaj stali się powodem wskutek swej żądzy nieprawnego przywłaszczenia sobie własności pana Brownlow, jak to w jednym z poprzednich rozdziałów opisane zostało — działali w tej mierze z bardzo chwalebnego i zrozumiałego względu na własne bezpieczeństwo. A że wolność każdego obywatela jest przywilejem, którym szczyci się każdy prawdziwy Anglik, więc nie potrzebuję chyba zwracać czytelnikowi uwagi na to, że czyn ten podnosi ich w opinji każdego szczerego patrjoty w tym samym stopniu, w jakim ich zabiegi o zachowanie własnego bezpieczeństwa przyczyniają się do potwierdzenia tego prawa, o którem pewien mądry i głęboko uczony filozof powiedział, iż jest głównym motorem wszelkich czynności i działań pani Natury.

Wspomniany filozof ujął działania tej zacnej pani w zasady i teorje, a rozwodząc się szeroko, z wielkiemi pochwałami, nad jej niesłychaną mądrością, odmówił jej wszelkiego względu na najmniejsze nawet wzruszenie serca, szlachetne popędy uczu-

cia, jako na właściwości niegodne kobiety. Powszechnie bowiem uznano kobietę za istotę, pozbawioną zupełnie tych drobnych słabostek oraz właściwej jej płci miękkości.

Gdybym potrzebował jeszcze dowodu na to, że obywatelskie zachowanie się owych dwuch młodych ludzi było ściśle filozoficzne, to mógłbym go oprzeć na fakcie, przytoczonym w jednym z poprzednich rozdziałów — że skoro tylko uwaga ogólna została zwrócona na Oliwera, opuścili oni natychmiast ścigających i jak najkrótszą drogą, jak najśpieszniej skierowali się ku domowi. Chociaż nie myślę twierdzić, że skracanie sobie drogi do wielkiego celu jest niewzruszoną zasadą znakomitych mędrców (przeciwnie, dążą oni do tego, aby różnemi szerokiemi wywodami i wykrętnemi objaśnieniami tę drogę przedłużyć, w czem stają się podobni do pijaków, ulegając zbytnio napływowi myśli), to jednak zamierzam powiedzieć, a nawet wyraźnie powiadam, że stałym zwyczajem wielu wielkich filozofów jest, przy wykładaniu swych teoryj, rozwijać nadzwyczajny rozum i przewidywania, które mają na celu zabezpieczenie ich zgóry przeciw wszelkim możliwym okolicznościom, mogącym ich wywody osłabić. I tak, w celu osiągnięcia wielkiej słuszności, można popełnić małe bezprawie, i można użyć wszelkich, choćby najgorszych środków, jeżeli tylko cel, do którego się dąży, zdoła je usprawiedliwić; zestawienie praw i zestawienie bezprawi, a raczej różnica między obydwoma, zostały przekazane do rozstrzygnięcia filozofom i oni to decydują o nich i określają je według własnego, jasnego, przenikliwego, bezstronnego całkiem poglądu, rozpatrywanego pod kątem osobistego patrzenia na rzeczy.

Nie potrzeba nadmieniać, że dwaj chłopcy biegli z największą szybkością przez wiele zawiłych uli-

czek, zanim odważyli się zatrzymać w niskiej i ciemnej bramie. Tutaj odpoczywali dopóty, dopóki tchu nie odzyskali. Gdy już przyszli do siebie, Karolek Bates wydał okrzyk rozkoszy i zadowolenia; parsknąwszy głośnym śmiechem, rzucił się na małe schodki i tarzał się po nich w radosnem upojeniu.

— Czegoż się śmiejesz? — zapytał Smyk.

— Ha, ha, ha! — parskał Karolek Bates.

— Stulisz gębę! — zawołał Smyk, rozejrzawszy się pozornie dokoła. — Chcesz, aby nas schwytano, głupcze?

— Kiedy nie mogę się wstrzymać — odparł Karolek. — Nie mogę się wstrzymać... Jeszcze go widzę, jak zmyka, jak zawraca koło rogów ulic, jak uderza się o każdy słupek i odbija od niego z powrotem... a ja, z chustką w kieszeni, biegnę za nim...

Wyobraźnia Karolka Bates przedstawiła mu całe to widowisko w tak żywych barwach, że zaczął się znów tarzać po schodkach i śmiać głośniej jeszcze, niż przedtem.

— Co Fagin na to powie? — zapytał Smyk.

— Co powie? — powtórzył Karolek Bates.

— Tak jest, co? — rzekł Smyk.

— Cóżby miał powiedzieć? — bąknął Karolek, i śmiech zamarł mu na ustach, gdyż uwaga Smyka wywarła na nim wielkie wrażenie.

Dawkins gwizdał przez chwilę, a potem, zdjąwszy kapelusz, poskrobał się w głowę i pokiwał nią trzy razy.

— Cóż ty myślisz? — zapytał Karolek.

— Tralala, lirum larum, kurum karum, wszak on sam chciał tego! — zaśpiewał Smyk z szyderczym uśmiechem na przebiegłej twarzy.

To wprawdzie tłomaczyło poniekąd sytuację, ale nie było wystarczające. Karolek Bates musiał być tego samego zdania, gdyż zapytał po chwili:

— Cóż myślisz, co?

Smyk nic na to nie odpowiedział, lecz włożywszy kapelusz z powrotem na głowę, podkasawszy poły swego długiego surduta, wysunał język i mlasnął nim kilka razy o koniec nosa, poczem wykręciwszy się na pięcie, puścił się dalej ulicą.

Karolek Bates szedł za nim w zamyśleniu. W kilka minut po tej rozmowie, odgłos kroków po skrzypiących schodach wyrwał z zadumy dobrodusznego jegomościa, siedzącego przy ogniu przed blaszanym kubkiem na trójnogu, z kiełbasą i kawałkiem chleba w lewej, a kozikiem w prawej ręce. Szelmowski uśmiech przebiegł po jego bladej twarzy, gdy obrócił głowę, spoglądając bacznie z pod gęstych, rudych brwi, nadstawił ucha i uważnie nasłuchiwał.

— Co to znaczy? — mruknął nieco zmieszany — tylko ich dwuch! A gdzie trzeci? Przecież nie spotkała ich chyba żadna nieprzyjemność?

Kroki zbliżały się coraz bardziej; wreszcie drzwi otworzyły się ostrożnie i Smyk, wszedłszy z Karolkiem do izby, zamknął je za sobą.

— Gdzie Oliwer? — zawołał Żyd, rzucając się do nich z groźnem spojrzeniem. — Gdzie on jest?

Obaj złodzieje popatrzyli na swego nauczyciela tak, jakby gniew jego nabawiał ich niezwykłą trwogą, poczem rzucili na siebie znacząco oczyma i nic nie odpowiedzieli.

— Co się stało z chłopcem? — powtórzył Żyd, uchwyciwszy Smyka za kołnierz i miotając przekleństwa. — Mów, albo cię zaduszę!

Na twarzy Fagina malowała się taka wściekłość, że Karolek Bates osądził roztropnie, iż trzeba się mieć na ostrożności, w razie gdyby po zaduszeniu jego przyjaciela i na niego kolej przyjść miała. Padł więc na kolana i wydał głośny, przeciągły ryk, po-

dobny trochę do ryku byka a trochę do huczenia tuby morskiej.

— Czy powiesz raz, gdzieście go podziali? — wołał Żyd, trzęsąc Smykiem tak gwałtownie, że cudem jedynie surdut tegoż nie poszedł zupełnie w strzępy.

— No... i cóż wielkiego... schwytali go i koniec! — odpowiedział Smyk kwaśno. — Ot, puszczaj mnie!

To rzekłszy, rzucił się tak zręcznie, że w jednej chwili pozbył się swego przestronnego surduta, który pozostał w ręku Żyda; poczem skoczył do kominka, chwycił wielkie grabki i wymierzył niemi cios w kamizelkę żartobliwego staruszka.

Żyd, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, uskoczył w bok z daleko większą zwinnością, niżby się tego po człowieku tak pozornie słabym spodziewać było można, schwycił cynowy kubek i zamierzył się nim w głowę napastnika. Lecz w tej samej chwili Karolek Bates nieludzkim rykiem zwrócił jego uwagę na siebie, i to stało się powodem, że Żyd zmienił nagle swój cel i kubkiem w niego cisnął.

— Co się tu dzieje, do kroćset tysięcy piorunów?! — zagrzmiał nagle gniewnie gruby głos. — Kto mię oblał? Szczęście dla niego, że to uczynił piwem, a nie poczęstował dzbankiem, inaczej odpłaciłbym mu tak, żeby mu oczy w słup stanęły... myślałem, że piekielny, bogaty, złodziejski Żyd zechce na ludzi tylko wodę chlustać; a nawet i wody nie użyłby w tym celu, gdyby nie oszukiwał co kwartał Towarzystwa dostarczania wody rzecznej... Cóż to takiego, Fagin? Niech mię djabli wezmą, jeżeli na mojej chustce będą plamy od piwa!... Pójdź tu, nikczemne zwierzę, czego się kryjesz za drzwiami? Może się wstydzisz twojego pana? Co? Chodź!

Człowiek, który grzmiącym głosem przemawiał, był to mężczyzna niski, krępy, 35 lat blisko mający,

w czarnym aksamitnym surducie, zabłoconych spodniach sukiennych, sznurowanych półbucikach i szarych bawełnianych pończochach, które były naciągnięte na żylaste nogi o tęgich łydkach — nogi, które w podobnym stroju robią wrażenie jakiegoś braku w ubraniu, o ile nie zdobią ich kajdany.

Na głowie miał bronzowy kapelusz, a na szyi brudną chustkę, której długiemi, rozpuszczonemi końcami ocierał sobie w czasie całej przemowy piwo z twarzy. Po skończeniu tej czynności ukazał niegolone od paru dni oblicze; parę groźnych oczu, z których jedno nosiło różnobarwne ślady świeżego podbicia.

— Na, tu... czy słyszysz? — grzmiał znów ten przyjemnie wyglądający złoczyńca.

Na ostatnie zaproszenie wbiegł do izby biały pudel angielski, z długim, krętym włosem, z podrapanym i poranionym pyskiem.

— Dlaczegoś nie przyszedł zaraz? — wołał jego pan. — Czyś już tak spyszniał, że się nawet twojego pana wobec tak dobranego towarzystwa wstydzisz, co? Leżeć!

Rozkazowi temu towarzyszyło uderzenie nogą, które w jednej chwili przerzuciło zwierzę w przeciwległy kąt pokoju. Widocznie jednak pies musiał być do tego przyzwyczajony, gdyż ani mruknął, tylko przytulił się spokojnie w kąciku i, mrużąc swe złośliwe, złowrogie ślepia, całej izby bacznie strzec się zdawał.

— Co tu się dzieje? Czemu znęcasz się nad chłopcami, ty skąpy, chciwy, łakomy, nienasycony, stary złodzieju? — pytał nowoprzybyły, siadając na stołku. — Dziwię się, że cię jeszcze dotąd nie zabili. Zrobiłbym to na ich miejscu, dawno już byłbym to uczynił!... Ale nie... nie!... Niktby mi za ciebie grosza dać nie chciał, tybyś nikomu na nic się nie zdał, chyba, żeby cię kto, jako wzór brzydoty,

wsadził w szklane naczynie i chciał pokazywać za pieniądze, oczywiście jeżeli tak wielkie butle wyrabiają.

— Cicho, cicho, panie Sikes — przerwał Żyd, drżąc — nie mówcie tak głośno.

— Nie panuj mnie tak bardzo — huknął Sikes — ty zawsze masz coś złego na myśli, jeżeli od tego zaczynasz. Znasz moje imię, nazywaj więc mnie po imieniu. Ja mu nie zrobię wstydu, gdy czas na mnie przyjdzie.

— Dobrze już, dobrze! Uspokój się tylko, Billu, uspokój! — mówił Żyd z nadzwyczajną pokorą. — Nie jesteś coś dzisiaj w swoim sosie.

— Może i nie — mruknął Bill Sikes — ale uważam, że i ty również nie jesteś w dobrym humorze, chyba, że dla ciebie rzucanie pełnym kubkiem piwa na ludzi jest taką samą drobnostką jak wydanie i...

— Czyś oszalał? — rzekł Żyd, chwytając Billa za rękaw i wskazując oczyma na chłopców.

Sikes zamilkł, tylko na migi pokazał guz pod lewem uchem i głowę przytem na prawę ramię przechylił, a znak ten Żyd widocznie bardzo dobrze zrozumiał. Po chwili zażądał kieliszka wódki, wyrażając się słowami mowy złodziejskiej, w której całą ze sobą prowadzili rozmowę.

— Tylko nie wlej do niej trucizny — upomniał, kładąc kapelusz na stole.

Powiedział to żartem, ale gdyby mógł widzieć piekielne i złowieszcze spojrzenie, jakie Żyd, zwracając się do szafy, rzucił na niego .zukosa, gryząc się jednocześnie w zbladłe wargi, byłby może pomiarkował, że ta przestroga nie była całkiem zbyteczna.

Połknąwszy parę kieliszków wódki, Sikes okazał tak wielką wspaniałomyślność, że raczył zwrócić swoją uwagę na chłopców. Grzeczność ta dała powód do rozmowy, w czasie której opowiadano do-

kładnie przyczynę, sposób i wszystkie okoliczności, towarzyszące schwytaniu Oliwera, przyczem ozdobiano je dodatkami, zmianami i poprawkami, jakie Smyk w tym stanie rzeczy za najstosowniejsze uznał.

— Ja się tylko boję — odezwał się Żyd — żeby się z czem nie wygadał i kłopotu nam nie narobił.

— Niebardzo o to trudno — wtrącił Sikes ze złośliwym uśmiechem — strzeż się zatem, Faginie!

— Boję się, moi kochani! — ciągnął Żyd, jak gdyby nie słyszał uwagi Billa i spoglądał ostro na Sikesa — że jeśli się skończy zabawa z nami, to skończy się ona również i z wielu innymi; a to mogłoby wziąć dla ciebie daleko gorszy obrót, niż dla mnie, drogi Billu.

Sikes zerwał się i zwrócił do Żyda, lecz ten podniósł ramiona aż po uszy i stał nieruchomy, z oczyma wlepionemi w przeciwną stronę.

Nastąpiło długie milczenie.

Każdy członek tego zacnego towarzystwa zdawał się być pogrążony we własnych myślach, nie wyłączając pudla, który, oblizując sobie z pewną złośliwością wargi, głęboko jakby rozważał nad napadem, planowanym na łydki pierwszego lepszego przechodnia, którego w przyszłości zdybie na ulicy.

— Musimy koniecznie kogoś znaleźć, ktoby poszedł na policję — odezwał się Sikes o wiele cichszym głosem.

Żyd kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Jeżeli nikogo nie wydał, a został osądzony, to możemy być bez obawy, dopóki go z więzienia nie uwolnią — mówił dalej Sikes — wówczas zaś będziemy musieli sami nim się zająć i kogoś wyszukać, żeby po niego poszedł.

Żyd powtórnie skinął głową.

Roztropność tej rady była widoczna, ale trudno ją było wykonać z tego powodu, że zarówno Smyk, jak Karolek Bates, Fagin, jak nakoniec sam Bill Sikes, wszyscy czuli nadzwyczajną i nieprzezwyciężoną odrazę do zbytecznego zbliżenia się, pod jakimkolwiek pozorem, ku siedzibie policyjnego urzędu.

Trudno oznaczyć, jak długo trwali w tem przykrem poczuciu niepewności, spoglądając badawczemi oczyma wzajem na siebie. Nie jest to też rzeczą tak bardzo dla nas ważną, abyśmy się mieli zatrudniać domysłami w tej mierze, tem bardziej, że nagle zjawienie się dziewcząt, które Oliwer już raz w tym domu widział, wpłynęło na ożywienie rozmowy.

— A to się doskonale składa! — zawołał Żyd. — Betsy pójdzie. Prawda, Betsy, że pójdziesz?

— Dokąd? — zapytała dziewczyna.

— Tylko na policję, moja mała! — odpowiedział Żyd z przymileniem.

Nie można powiedzieć, żeby dziewczyna stanowczo oświadczyła Żydowi, iż iść nie chce; wyraziła tylko pragnienie otrzymania ostatniego błogosławieństwa w razie, gdyby się tej misji podjęła; w ten grzeczny i zręczny sposób obeszła właściwe pytanie i dowiodła, iż posiada ową wrodzoną dobroć serca, która nie dopuszcza do tego, aby komukolwiek bądź wprost i niezłomnie czegoś odmówić.

Żyda ogarnęła trwoga; z niepokojem odwrócił się od tej dziewczyny, ubranej pstro w czerwoną sukienkę, zielone buciki i żółte papiloty, i zagadnął jej towarzyszkę.

— Nancy, moja droga — rzekł prosząco — cóż ty na to mówisz?

— Ja również się tego nie podejmę, nie zadawaj sobie przeto nadaremnie trudu, panie Fagin — odpowiedziała Nancy.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał Sikes, spojrzawszy na nią surowo.

— To, co mówię, Billu — odparła dziewczyna śmiało.

— Ty właśnie się najlepiej do tego nadajesz — rzekł Sikes — nikt cię tutaj nie zna.

— Mnie też właśnie o to chodzi, żeby mię nikt nie poznał — odparła Nancy. — Dlatego iść nie chcę, Billu.

— Ona pójdzie Fagin! — rzekł Sikes.

— Ona nie pójdzie, Fagin! — krzyknęła Nancy.

— Pójdzie, pójdzie! — powtarzał Sikes.

I Sikes miał rację. Groźby, obietnice i przekupstwo skłoniły wreszcie dziewczynę do podjęcia wyprawy. Zresztą powody, usprawiedliwiające jej przyjaciółkę, nie mogły się do niej odnosić. Sprowadziła się dopiero niedawno z bardzo odległego przedmieścia do dzielnicy Fild-lane i nie potrzebowała się obawiać, aby ją tutaj ktokolwiek z jej licznych znajomych mógł spotkać i poznać.

Nancy, zgodziwszy się wkońcu, założyła na sukienkę czysty, biały fartuszek, słomianym kapeluszem okryła swe kędziory, — obie te rzeczy zostały wydobyte z nieprzebranego składu Żyda — i wybierała się udać na zwiady.

— Chwilę jeszcze, moja kochana Nancy — rzekł Żyd, przynosząc mały koszyczek. — Weź to do ręki, będziesz z tem wyglądała daleko przyzwoiciej.

— Daj jej jeszcze w drugą rękę klucz od bramy, Fagin — zauważył Sikes — to jej nada jeszcze lepszy i porządniejszy wygląd.

— Prawda, prawda, mój drogi — rzekł Żyd, wieszając na palcu prawej ręki Nancy wielki klucz od bramy. — Prawdziwie ładnie, bardzo ładnie teraz wygląda — dodał, zacierając ręce z radości.

— O mój braciszku, mój biedny, kochany, niewinny, drogi braciszku! — wołała Nancy, płacząc i załamując ręce, w których trzymała koszyczek i klucz od bramy. — Cóż się z tobą stało? Gdzieś się podział? Dokąd cię zaprowadzili? O, miejcie litość, panowie, i powiedzcie mi, co się z tym chłopcem stało? Kochani, drodzy panowie!

Wszyscy byli zachwyceni tą próbą komedji, Nancy zaś, skończywszy scenę rozpaczy, roześmiała się, skinęła głową towarzystwu i znikła za drzwiami.

— Co za mądra dziewczyna! To prawdziwy skarb, moi kochani! — zawołał Żyd po jej odejściu, obrzucając okiem zebranych i wstrząsając poważnie głową, jakby chcąc dać do zrozumienia, że wszyscy powinni z niej brać przykład.

— Ona przynosi zaszczyt swojej płci — dodał Sikes, nalewając sobie pełny kubek i uderzając w stół olbrzymią pięścią. — Za jej zdrowie! Oby wszyscy wstępowali w jej ślady!

Nancy szła tymczasem najkrótszą drogą do urzędu policyjnego, dokąd doszła zdrowo i bez żadnej przeszkody, pomimo pewnej łatwo zrozumiałej obawy, jako że musiała wędrować przez ulice sama jedna, bez żadnej opieki.

Wszedłszy bocznem wejściem, zapukała nieśmiało do jednej z więziennych komórek i zaczęła nasłuchiwać. Nikt się w niej nie ruszał; zakasłała więc i znów nasłuchiwała. Ale ponieważ cisza panowała w dalszym ciągu, zaczęła mówić.

— Nolly! Drogi, Nolly — szepnęła łagodnie.

Lecz w tej komórce siedział biedny, bosy złoczyńca, schwytany na podwórzu jakiegoś domu za grę na flecie; był to zaiste gorszący występek, za który pan Fang bardzo słusznie skazał go na miesiąc więzienia w Domu Poprawy, dodając arcymądrą uwagę, że skoro posiada tak wielki zapas tchu, to ko-

rzystniej będzie mógł go spożytkować w młynie, niż na muzycznym instrumencie.

Więzień nie odpowiadał na wołanie Nancy; był on pogrążony w żalu za swoim fletem, kóry skonfiskowano na rzecz państwa. Nancy tedy udała się do drzwi następnych i do nich zapukała:

— Kto tam? — odezwał się głos drżący i słaby.

— Czy tu niema małego chłopczyka? — zapytała Nancy, westchnąwszy wprzód głęboko.

— Nie, niema — odpowiedział ów głos — niech go Bóg od tego uchowa!

Był to włóczęga liczący sześćdziesiąt pięć lat, którego uwięziono znowu za to, że nie grał na flecie, czyli innemi słowy za to, że chodził po ulicy i nie trudnił się niczem, czem mógłby sobie na życie zarobić. W sąsiedniej celi siedział inny, którego uwięziono za to, że bez rządowego pozwolenia sprzedawał patelnie; ten więc miał zatrudnienie i zarabiał na życie, lecz z uszczerbkiem dochodów skarbowych.

Ale ponieważ żaden z tych zbrodniarzy nie reagował na imię Oliwera, lub nic o nim nie wiedział, Nancy udała się do dozorcy w białej kamizelce w paski i z płaczem, z żałością najrzewniejszą, zręcznie używając klucza od bramy i koszyka, zapytała go o swego kochanego, małego braciszka.

— Niema go tutaj! — rzekł staruszek.

— Gdzie zatem jest, mój Boże! gdzie jest? — zawołała Nancy z rozpaczą.

— Jeden pan wziął go z sobą — odpowiedział dozorca.

— Jaki pan?... Litościwe nieba!... Jaki pan? — dopytywała się Nancy.

Staruszek opowiedział zasmuconej siostrze, że Oliwer zasłabł w izbie sądowej, że go później uwolniono, wskutek zeznania pewnego jegomościa, który zaświadczył, iż nie on, lecz inni dwaj chłopcy zło-

dziejstwo popełnili. Nadmienił też, że oskarżyciel zabrał następnie omdlałego Oliwera do swego mieszkania, które leży gdzieś w okolicy Pentonville, dosłyszał bowiem przypadkiem, jak ów jegomość, dając rozkaz woźnicy, tę nazwę wymienił.

W okropnej trwodze i niepokoju, dziewczyna rzuciła się ku drzwiom i zaczęła pędzić jak najszybciej ku mieszkaniu Fagina, wybierając kręte i zawiłe drogi.

Bill Sikes, wysłuchawszy rewelacyj Nancy, świsnął na swego białego pudla i, włożywszy kapelusz na głowę, wyszedł, nie dopełniając nawet zwykłej grzeczności, to jest nie żegnając się wcale z towarzystwem.

— Musimy koniecznie się dowiedzieć, moi kochani, gdzie on jest, musimy go odszukać! — zawołał Żyd z ogromnym niepokojem. — Karolku, nie rób już nic, tylko myszkuj po mieście tak długo, dopóki nie zasięgniesz o nim wiadomości. Nancy, moja droga Nancy, ja muszę mieć go napowrót; tobie, moja droga, i Smykowi ufam najwięcej. Poczekajno, poczekaj! — dodał, wysuwając drżącą ręką szufladę — oto pieniądze. Będę musiał zamknąć mieszkanie dzisiaj na noc; wy wiecie, gdzie będziecie mogli mię znaleźć. Nie zwlekajcie, nie zatrzymujcie się tutaj ani chwili dłużej, moi kochani...

To mówiąc, wypchnął ich prawie za drzwi, a zamknąwszy je za nimi starannie na klucz i zasuwkę, wyjął z kryjówki ów kufereczek, który niegdyś Oliwer był zobaczył. Poczem zabrał się do ukrycia pod swoją odzieżą zegarków i klejnotów.

Pukanie do drzwi przeszkodziło mu w tem zatrudnieniu.

— Kto tam? — zawołał ostrym głosem.

— Ja — odrzekł Smyk za drzwiami.

— Co tam nowego? — mruknął Żyd niecierpliwie.

— Nancy pyta się, czy ma go zaprowadzić w tamto drugie miejsce w razie, gdybyśmy go znaleźli — zapytał Smyk.

— Tak jest — potwierdził Fagin. — Gdziekolwiek go znajdziecie, schwytajcie go natychmiast; znajdźcie go tylko pierwej, znajdźcie, to rzecz najgłówniejsza; o reszcie ja sam już pomyślę.

Chłopiec bąknął coś porozumiewawczo i zbiegł po schodach do swoich towarzyszy.

— Dotąd jeszcze nic nie wygadał — mruknął Żyd, zabierając się na nowo do klejnotów. — Gdyby nas chciał zdradzić, potrafimy mu zamknąć usta.

Rozdział czternasty.

Wiadomości o dalszym pobycie Oliwera u pana Brownlow i o szczególnej przepowiedni, jaką wysnuł dla niego niejaki pan Grimwig przed wyruszeniem Oliwera na nową wędrówkę.

Gdy Oliwer przyszedł do siebie z omdlenia, w które wprawił go okrzyk pana Brownlow, zarówno staruszek jak i pani Bedwin uważali najstaranniej, by w ciągu dalszej rozmowy nie wspomnieć słowem nawet o owym nieszczęsnym portrecie. Mówiono tedy przy chłopcu o rzeczach, które nie miały żadnego związku ani z jego przeszłem życiem, ani też z zamiarami na przyszłość, i wybierano tematy zabawne a nie podniecające. Był ciągle za słaby, by chodzić na górę na śniadanie, lecz gdy nazajutrz znalazł się w izbie gospodyni, rzucił skwapliwie spojrzenie na ścianę w nadziei, że będzie mógł lepiej przypatrzyć się owej pięknej pani na obrazie. Lecz oczekiwania zawiodły go, gdyż obrazu już nie było.

— A! — zawołała gospodyni, śledząc chłopca. — Jak widzisz, już go niema.

— Widzę to, pani — odpowiedział Oliwer. — Dlaczego go stąd wyniesiono?

— Kazałam go stąd wynieść, moje dziecko, dlatego, że pan Brownlow powiedział, iż ten obraz zdaje się wywierać na ciebie przykre wrażenie, a wszelkie wzruszenia opóźniają twój powrót do zdrowia — wyjaśniła gospodyni.

— O, nie, on nie sprawiał mi najmniejszej przykrości — odparł Oliwer. — Chętnie patrzyłem na niego i tak bardzo go lubiłem!

— Dobrze, dobrze! — rzekła gospodyni wesoło — gdy wrócisz do zdrowia i będziesz się czuł tak silny, jak przedtem, mój kochany, to obraz powiesi się znów na dawne jego miejsce. Przyrzekam ci to. A teraz pomówmy o czem innem.

Oliwer nie dowiedział się wówczas o obrazie ani słowa więcej. Ponieważ staruszka była dla niego w chorobie tak troskliwa, postanowił zastosować się do jej życzenia i nie myśleć już więcej o obrazie. Przysłuchiwał się zato z wielką uwagą jej opowiadaniom o ładnej, miłej córce, którą wydała zamąż za przystojnego człowieka i która mieszka teraz na wsi; dalej o synu, który był pisarzem u jednego kupca w Indjach Zachodnich, dobrym synu, i który co trzy miesiące pisze tak czułe listy, że jej oczy napełniają się łzami, gdy o nim wspomina.

Opowiedziawszy dokładnie wszelkie zalety swoich dzieci, poczciwa gospodyni zaczynała z kolei opowiadać o niezwykłych przymiotach swego wyjątkowo dobrego męża, który — Panie, świeć nad jego duszą! — przeniósł się na łono wieczności dwadzieścia sześć lat temu zaledwie. Na takiem opowiadaniu schodził im czas do herbaty. Po herbacie staruszka uczyła Oliwera gry w karty, zwanej cribbage. Chłopiec nauczył się tej gry prędko i zabawiali się też oni w nią tak długo, dopóki nie nadszedł znów

czas, kiedy Oliwer musiał wypić kieliszek ciepłego wina z wodą i zagryźć go sucharkiem, poczem już udawał się na spoczynek.

Tak schodziły Oliwerowi szczęśliwe dni rekonwalescencji. Wszystko naokoło było pełne spokoju, czystości i ładu; każdy obchodził się z nim tak łagodnie i przyjaźnie, że po owej wrzawie i szarpaninie, wśród której dawniej żyć musiał, stan teraźniejszy wydawał mu się być niebem.

Zaledwie odzyskał siły na tyle, że mógł ubrać się samodzielnie, pan Brownlow sprawił mu zupełnie nowy ubiór, nową czapkę i parę nowych trzewików. Gdy Oliwerowi powiedziano, że staremi szmatami może zrobić to, co mu się podoba, wówczas podarował je służącej, która pielęgnowała go w czasie choroby, i powiedział jej, że może je jakiemu Żydowi sprzedać, a pieniądze za nie wziąć dla siebie.

Ona też tak uczyniła, a gdy Oliwer, patrząc przez okno, przekonał się, że Żyd zwinął je, schował do sakwy i z niemi się oddalił, wówczas ucieszył się bardzo, upewniwszy się raz na zawsze, że pozbył się ich już ostatecznie.

Mówiąc prawdę, były to wstrętne łachmany; Oliwer pierwszy raz w życiu dostał nowe ubranie.

Pewnego wieczoru, w tydzień może po zdarzeniu z obrazem, Oliwer siedział i rozmawiał z panią Bedwin, gdy pan Brownlow przysłał do nich służącą z poleceniem, aby Oliwer przyszedł do niego na chwilkę, o ile siły mu na to pozwolą.

— Wielki Boże! Umyjże prędko ręce i pozwól, niech ci poprawię włosy, moje dziecko — zawołała pani Bedwin. — Wielki Boże! Żebym była wiedziała, że on zechce z tobą mówić, byłabym ci dała świeży kołnierzyk i ubrała, jak panicza...

Oliwer uczynił to, co mu staruszka poleciła; a chociaż poczciwa kobiecina bardzo narzekała, że nie było

nawet czasu, by ukarbować fryzkę przy kołnierzyku, chłopiec przecież wyglądał, mimo braku owej ważnej części ubrania, tak ładnie i przyzwoicie, że pani Bedwin, zmierzywszy go okiem, od stóp do głowy, oświadczyła z zadowoleniem, że mu nic zarzucić nie można.

Oliwer, ośmielony pochwałą pani Bedwin, zapukał do drzwi pokoju pana Brownlow. Był to pokój niewielki, zapełniony książkami, o jednem oknie, wychodzącem na ładny ogródek. Pod oknem stał stół, a przy stole siedział pan Brownlow i czytał.

Dostrzegłszy Oliwera, odsunął książkę, kazał mu bliżej podejść do stołu i przy sobie usiąść. Oliwer usłuchał i przez chwilę rozglądał się po pokoju, dziwiąc się tak znacznej ilości książek, napisanych w tym celu, aby ludzie stali się mądrzejsi.

— Nieprawda, mój synu, że jest tu sporo książek? — zapytał pan Brownlow, zauważywszy ciekawość, z jaką Oliwer przypatrywał się szafom z książkami.

— Bardzo wiele, sir — odpowiedział Oliwer — jeszcze nigdy tyle ich nie widziałem.

— Będziesz je wszystkie czytał, jeżeli się będziesz dobrze sprawował, mój synu — rzekł łagodnie staruszek — a to ci sprawi większą przyjemność niż przypatrywanie się okładkom, chociaż często znajdziesz książki, których okładki są więcej warte i ładniejsze od treści.

— Takiemi muszą być zapewne te grube i wielkie książki, sir — odezwał się Oliwer, wskazując na kilka grubych foljałów ze złoconemi okładkami.

— Niekoniecznie te — odpowiedział staruszek, uderzając Oliwera lekko po głowie i uśmiechając się zarazem — są jeszcze inne, niemniej nudne, chociaż nie tak wielkie. Czy nie chciałbyś być autorem i pisać książki, co?

— Zdaje mi się, że wolałbym czytać — odparł Oliwer.

— Jakto, nie chciałbyś być pisarzem?

Oliwer namyślał się przez chwilę i rzekł wreszcie, iż najbardziej chyba chciałby zostać księgarzem, z czego pan Brownlow roześmiał się serdecznie i oświadczył, że Oliwer zrobił bardzo dobrą uwagę. Oliwera ucieszyło to mocno, chociaż nie pojmował zupełnie, na czem polegała trafność jego powiedzenia.

— Nie obawiaj się, mój synu, nie zamierzam zrobić z ciebie pisarza; mamy jeszcze inne uczciwe rzemiosła, których uczyć się można, choćby np. pracę w cegielni — rzekł pan Brownlow.

— Dziękuję, sir! — rzekł Oliwer, a powaga, z jaką wypowiedział to podziękowanie, pobudziła znów starego pana do śmiechu; wspomniał nawet coś o ciekawości instynktu, lecz chłopiec nie zrozumiał również i tego.

— A teraz, mój synu — mówił pan Brownlow serdecznie, choć zarazem z taką powagą, jakiej Oliwer dotychczas nigdy w nim nie zauważył — trzeba, żebyś wysłuchał pilnie tego, co ci mam powiedzieć. Chcę pomówić z tobą bez wszelkich ogródek, sądzę bowiem, że jesteś zdolny zrozumieć mnie tak dobrze, jak człowiek dorosły.

— Ach, panie, błagam pana tylko o jedno: niech nie usłyszę tego, że zamyśla pan usunąć mię ze swego domu! — zawołał Oliwer, którego uroczysta powaga staruszka nabawiła niewypowiedzianej trwogi. — Niech mię pan nie wypędza napowrót na ulicę żebym się miał znów po niej błąkać! Niech mię pan zostawi u siebie jako sługę. Nie odsyłaj mnie napowrót w to okropne miejsce, z którego się wydostałem. Miej litość nad biednym chłopcem, sir!

— Mój kochany synu! — rzekł staruszek, wzruszony niespodzianym wybuchem Oliwera — nie masz

powodu się obawiać, abym cię oddalił, chyba, że sam na to zasłużysz.

— O nie! Nigdy na to nie zasłużę! — zapewniał Oliwer.

— I ja się tego nie spodziewam — rzekł staruszek. — I ja nie sądzę, żebyś to kiedykolwiek miał uczynić. Często wprawdzie zawodzili mię ludzie, którym świadczyłem dobrodziejstwa, mimo to pragnę ufać ci w dalszym ciągu. Osoby, niegdyś mi najdroższe, leżą już w grobie, ale choć pochowałem razem z niemi wszelką radość i szczęście mego życia, to przecież nie zamknąłem własnego serca do trumny i nie otoczyłem go twardą skorupą, broniącą przystępu najlepszym uczuciom. Ciężkie przejścia zahartowały je i uczyniły wrażliwszem.

Staruszek wypowiedział to półgłosem, raczej do siebie, niż do swego słuchacza, i milczał potem przez chwilę, a Oliwer siedział cichutko przy nim.

— Tak, tak, mój synu — odezwał się znów staruszek weselszym tonem — powiedziałem ci to jedynie dlatego, że masz jeszcze młode serce. Wiedząc zaś, jak wiele doznałem bólu i przykrości, będziesz się może strzegł wszystkiego, coby mnie urazić mogło. Mówisz, że jesteś sierotą, bez przyjaciół w świecie; potwierdzają to poniekąd wszystkie poszukiwania, które w tej mierze zarządziłem. Opowiedz mi całe twoje życie, skąd pochodzisz, gdzieś się wychował i w jaki sposób wpadłeś w ręce tych ludzi wśród których cię znalazłem. Mów prawdę, a będziesz miał we mnie przyjaciela, dopóki tylko żyć będę.

Rozrzewniony Oliwer nie mógł przez kilka chwil wyrzec ani słowa; gdy przyszedł do siebie i chciał zacząć opowiadanie od chwili swego „w y d z i e r ż a w i e n i a", aż do tego czasu, gdy przy pomocy pana Bumble dostał się do Domu Roboczego — wówczas

dało się słyszeć szczególne i niecierpliwe pukanie do drzwi od ulicy, i służąca wbiegła śpiesznie po schodach, oznajmiając przybycie pana Grimwig.

— Czy idzie na górę? — zapytał pan Brownlow.

— Tak, panie — odpowiedziała służąca. — Pytał się, czy nie mamy maślanych bułek w domu, a gdy mu powiedziałam, że są, to oznajmił, że przyjdzie na herbatę.

Pan Brownlow uśmiechnął się i objaśnił Oliwerowi, że pan Grimwig jest jego dawnym przyjacielem, a chociaż w swojem obejściu jest nieco rubaszny, posiada przecież uczciwe i zacne serce, o czem pan Brownlow dobrze się już przekonał.

— Czy mam zejść nadół, proszę pana? — spytał Oliwer.

— Nie — odpowiedział pan Brownlow — wolę, żebyś przy nas pozostał.

W tej chwili, wspierając się na grubej lasce, wszedł do pokoju mężczyzna w podeszłym już wieku, wysokiego wzrostu, chromający nieco na jedną nogę, w niebieskim surducie, białej kamizelce w paski, nankinowych spodniach z kamaszami i w białym kapeluszu z szerokiemi kryzami o zielonem podszyciu. Koszula wyglądała wąskim pasem z poza kamizelki, wzdłuż której opadał długi, stalowy łańcuszek od zegarka, z kluczykiem na końcu. Na szyi miał białą chustkę, której końce zawiązane były w węzeł wielkości pomarańczy. Niepodobna wprost opisać tej rozmaitości, jaka panowała w kierunkach i linjach zmarszczek, biegnących po jego twarzy. Miał przytem zwyczaj przekrzywiać w czasie rozmowy głowę w jedną stronę, a oczy zwracać w drugą, co oczywiście przypominało zachowanie się papugi.

Skoro tylko wszedł do pokoju, stanął natychmiast w tej pozycji i, wyjąwszy z kieszeni kawałeczek po-

marańczowej skórki, zawołał gniewnym, nieopanowanym głosem:

— Przypatrz się, czy widzisz? Nie jestże to rzeczą dziwną, że gdziekolwiek nogą stąpnę, muszę natknąć się zaraz na schodach na najmniejszy choćby kawałeczek tej przeklętej pomarańczowej skórki? Przez pomarańczową skórkę już raz okulałem i jestem przekonany, że taka skórka będzie kiedyś przyczyną mojej śmierci, chyba, że sam swą głowę połknę!...

Było to zwykłe zaklęcie pana Grimwig, którem popierał każde swoje twierdzenie, tem szczególniejsze, w danym wypadku, że gdyby nawet można było przypuścić, iż ktoś zjadłby swoją głowę mając ku temu wielką ochotę, to przecież głowa pana Grimwig miała tak wielką objętość, że największy żarłok nie mógłby spożyć odrazu tak potężnego kęsa, nawet po oswobodzeniu go z grubego pokładu pudru, którym głowa była pokryta jak skorupą.

— Tak jest, prędzej połknę swoją głowę, sir! — powtórzył Grimwig, uderzając laską o podłogę. — Hola, a to co? — dodał, spostrzegłszy Oliwera i cofając się o parę kroków wstecz.

— To jest młody Oliwer Twist, o którym rozmawialiśmy — rzekł pan Brownlow.

Oliwer ukłonił się.

— Myślę, że nie zechcesz mi powiedzieć, że to jest ten sam chłopiec, co miał gorączkę? — rzekł pan Grimwig i jeszcze o jeden krok dalej się cofnął. — Poczekaj chwilkę i nic nie mów — dodał porywczo, przyczem zniknęła obawa przed gorączką wobec nowej myśli, która przyszła mu do głowy — oto jest chłopiec, który miał pomarańcz. Jeżeli to nie jest ten sam chłopiec, sir, który miał pomarańcz, i rzucił kawałek skórki na schody, to połknę moją głowę i jego w dodatku.

— Nie, nie, on nie miał pomarańczy — odparł pan Brownlow z uśmiechem. — Chodźno, chodź, połóż kapelusz i przemów do mojego młodego przyjaciela.

— Strasznie mnie to gniewa! — gderał drażliwy jegomość, zdejmując rękawiczki. — Zawsze musi na naszej ulicy leżeć mniej lub więcej pomarańczowych skórek, a ja wiem z pewnością, że rzuca je chłopiec od golarza z rogu ulicy. Przeszłej nocy jakaś kobieta pośliznęła się o kawałek tej skórki i upadła na mój parkan. Widziałem wyraźnie, jak oczy jej, gdy się podniosła, poszły w kierunku jego przeklętej czerwonej latarni. — Nie chodź do niego! — wołałem na nią z okna — to rozbójnik, rozstawiający pułapki na ludzi! — Tak jest. Jeżeli nie..

I stuknął gniewnie laską o podłogę.

Przyjaciele pana Grimwig rozumieli dobrze ten ruch i wiedzieli, iż ma on zastąpić jego zwykłe zaklęcie, jeżeli go słowami nie wyraził.

Poczem pan Grimwig, trzymając laskę w ręku, usiadł, ujął lornetkę, wiszącą na szerokiej wstędze, i patrzył przez nią na Oliwera, który, widząc się przedmiotem jego wyłącznej uwagi, zaczerwienił się mocno i powtórnie ukłonił.

— A zatem to jest ten chłopiec! Czy tak? — zapytał wkońcu pan Grimwig.

— Tak, to jest ten chłopiec — odpowiedział pan Brownlow.

— Jak się czujesz, chłopcze? — odezwał się pan Grimwig.

— O wiele lepiej, sir — odpowiedział Oliwer.

Pan Brownlow, obawiając się, aby jego przyjaciel nie powiedział Oliwerowi czegoś nieprzyjemnego, kazał chłopcu zejść nadół do pani Bedwin i powiedzieć jej, że już czas na herbatę; Oliwer zaś, które-

mu szorstkość gościa nie przypadła do smaku, rad był bardzo, że może odejść.

— Nieprawda, że przyjemny z niego chłopczyna? — zapytał pan Brownlow.

— Nie wiem — orzekł Grimwig opryskliwie.

— Nie wiesz?

— Nie wiem. Ja nigdy żadnej różnicy między chłopcami nie widziałem. Znam tylko dwa rodzaje chłopców: bladych i rumianych.

— Do którychże Oliwer należy?

— Do bladych. Mam przyjaciela, posiadającego syna z rumieńcami na twarzy; mówią, że to ma być ładny chłopiec, bo posiada okrągłą głowę, czerwone policzki i błyszczące oczy; ja zaś utrzymuję, że to jest chłopak obrzydliwy, z ciałem i członkami nabrzmiałemi, rozsadzającemi wszystkie szwy jego niebieskiej odzieży; dodaj do tego głos majtka i żarłoczność wilka. Znam dobrze tego hultaja!

— Ale mój drogi — rzekł pan Brownlow — ten opis nie stosuje się wcale do naszego młodego przyjaciela, Oliwera Twista, tak że zupełnie niepotrzebnie się gniewasz.

— Prawda, że nie — odparł Grimwig — ale może posiadać jeszcze gorsze cechy.

W tem miejscu pan Brownlow chrząknął ze zniecierpliwieniem, co widocznie sprawiło panu Grimwig niewypowiedzianą rozkosz.

— Mówię, że może mieć jeszcze gorsze cechy — powtórzył. — Skąd on pochodzi? Co za jeden? Czem jest? Że miał gorączkę... cóż takiego? Gorączka nie jest jedynie przywilejem ludzi dobrych, i źli ludzie bardzo często miewają gorączkę — czyż nie? Znałem pewnego człowieka, którego powieszono później na Jamajce za zabicie swego pana; człowiek ten sześć razy zapadał na silną gorączkę, ale to nie wpłynęło bynajmniej na jego ułaskawienie.

Pan Grimwig przyznawał w głębi serca, że Oliwer prezentuje się sympatycznie i przyzwoicie, ale zrzędził z przyzwyczajenia i ducha przekory, podniecony w dodatku znalezieniem pomarańczowej skórki. Powziął też niezłomne postanowienie sprzeciwiać się w wszystkiem swemu przyjacielowi.

Gdy pan Brownlow przyznał się, że nie może dać odpowiedzi na żadne z pytań, dotyczących urodzenia i przeszłości Oliwera, gdy oświadczył w dalszym ciągu stanowczo, że wszelkie badania chłopca odkłada aż do jego zupełnego wyzdrowienia, pan Grimwig się uśmiechnął złośliwie i zapytał szyderczo, czy gospodyni ma zwyczaj liczenia łyżek wieczorem, dodając przytem, że jeżeli łyżka jedna lub dwie do jutra nie zginą, to on już nic nie powie, ale... i t. d.

Pan Brownlow, chociaż uchodził za człowieka nieco popędliwego, znosił te przycinki z humorem, znając dziwactwa swego przyjaciela; gdy zaś pan Grimwig raczył przy herbacie okazać swoje zadowolenie z maślanych bułek, wszystko poszło już jak najlepiej i Oliwer, należący do towarzystwa, poczuł się daleko swobodniej w obecności popędliwego staruszka.

— Kiedy zabierzesz się do wysłuchania szczegółowej opowieści o życiu i przygodach Oliwera Twista? — zapytał pan Grimwig pana Brownlow pod koniec herbaty, przyczem spojrzał zezem na Oliwera.

— Jutro rano — odpowiedział pan Brownlow. — Życzyłbym sobie, żebyśmy wtedy sami tylko być mogli. Przyjdźże zatem jutro do mnie, mój kochany, o dziesiątej godzinie rano.

— Dobrze, sir — odparł Oliwer z pewnem wahaniem, jako że badawcze spojrzenie, jakie rzucił na niego pan Grimwig, zmieszało go trochę.

— A ja ci powiadam — szepnął Grimwig na ucho do pana Brownlow — że on jutro rano nie przyjdzie.

Widziałem, jak się wahał. On cię w pole wywiedzie, wierzaj mi, przyjacielu.

— Ja zaś zaręczam, że nie — odparł pan Brownlow gorąco.

— Jeżeli nie... to... — zawołał Grimwig i stuknął laską o ziemię.

— Życiem swojem ręczę za uczciwość tego chłopca — przerwał pan Brownlow, uderzając pięścią w stół.

— A ja moją głową za jego obłudę! — nie ustępował pan Grimwig, uderzając w stół również.

— Zobaczymy! — wołał pan Brownlow, tłumiąc oburzenie.

— Zobaczymy! — powtórzył pan Grimwig z wyzywającym uśmiechem — zobaczymy!

Los zrządził, że weszła w tej chwili pani Bedwin, przynosząc kilka książek, zakupionych przez pana Brownlow rano u tego samego księgarza, który już raz w tej powieści występował, i położywszy je na stole, zamierzała pokój opuścić.

— Proszę zatrzymać na chwilę chłopca z księgarni, pani Bedwin — rzekł pan Brownlow — ma on coś wziąć ze sobą.

— Już odszedł, sir — odpowiedziała pani Bedwin.

— Każ go zawołać — rzekł pan Brownlow — i to koniecznie. Księgarz jest człowiekiem biednym, a książki są jeszcze niezapłacone. Pozatem jest tu kilka książek, które mam mu zwrócić.

Drzwi od ulicy stały otworem. Oliwer tedy pobiegł w jedną stronę, służąca w drugą, a pani Bedwin stanęła na progu i wołała za chłopcem, lecz chłopiec jakby przepadł; oboje tedy, Oliwer i służąca, wrócili z tem oznajmieniem, że nigdzie nie mogli go wypatrzeć.

— Doprawdy, tak mi przykro — zawołał pan Brownlow. — Zależało mi na tem, aby mu dziś odesłać te książki.

— Poślij Oliwera — rzekł pan Grimwig, uśmiechając się ironicznie — on odda mu je z pewnością.

— O, proszę mi pozwolić, sir, ja te książki zaniosę — wtrącił Oliwer — zwinę się prędko.

Pan Brownlow chciał właśnie powiedzieć, że Oliwer żadną miarą nie może jeszcze oddalić się z domu, lecz złośliwy kaszel pana Grimwig skłonił go do dania pozwolenia w tym celu, aby Oliwer dokładnem spełnieniem danego mu zlecenia przekonał raz na zawsze pana Grimwig o niesłuszności jego posądzeń.

— Dobrze, pójdziesz, mój synu — rzekł. — Książki leżą na krześle koło mego stołu. Przynieś je tutaj.

Oliwer rad, że będzie mógł przysłużyć się swemu dobroczyńcy, pobiegł żywo po książki, przyniósł je pod pachą i czekał z czapką w ręku na polecenie.

— Powiesz — mówił pan Brownlow, spojrzawszy śmiało na pana Grimwig — że przynosisz te książki napowrót i przychodzisz zapłacić cztery funty i dziesięć szylingów, które mu się należą. Oto jest banknot na pięć funtów, przyniesiesz mi tedy dziesięć szylingów reszty.

— Za dziesięć minut wrócę, sir! — zawołał Oliwer, poczem, włożywszy banknot do kieszonki od spencerka i umieściwszy książki pod pachą, skłonił się z uszanowaniem i wyszedł z pokoju.

Pani Bedwin odprowadziła go aż do drzwi od ulicy, wskazując najbliższą drogę, przypominając nazwisko księgarza, mimo, iż ją Oliwer zapewniał, że wszystko dobrze spamiętał. Udzieliwszy mu jeszcze tysiące przestróg, jak się ma pilnować, aby się nie zaziębił, poczciwa i troskliwa staruszka pozwoliła mu ostatecznie wyruszyć.

— Niech go Bóg strzeże! — rzekła, spoglądając za nim.

W tej chwili Oliwer obejrzał się wesoło i skinął głową, zanim znikł zupełnie za rogiem ulicy. Kobiecina oddała mu ukłon dłonią i, zamknąwszy drzwi od ulicy, powróciła do swej izby.

— Zobaczysz, że wróci najdalej za dwadzieścia minut — rzekł pan Brownlow, wydobywając zegarek i kładąc go na stole. — Tymczasem się ściemni.

— I ty spodziewasz się naprawdę, że wróci? — zapytał pan Grimwig.

— A ty nie? — rzekł z uśmiechem pan Brownlow.

Duch przekory, podrażniony ufnym uśmiechem przyjaciela, odezwał się w panu Grimwig z większą gwałtownością.

— Nie! — zawołał, uderzając pięścią w stół. — Nie... ja nie!... Chłopiec ma na sobie nowy ubiór, kilka kosztownych książek pod pachą i pięciofuntowy banknot w kieszeni. Wróci przeto do swoich dawnych przyjaciół złodziei i śmiać się będzie z ciebie. Jeżeli ten chłopiec dzisiaj wróci do tego domu, sir, to ja połknę moją głowę!...

To rzekłszy, pan Grimwig przysunął krzesło bliżej do stołu, i obaj przyjaciele siedzieli w niemem oczekiwaniu, patrząc na zegarek, leżący przed nimi na stole.

Biorąc pod uwagę doniosłość, jaką przywiązujemy do naszych sąsiadów, oraz zadowolenie, z jakiem dochodzimy do szybkiego wyciągania wniosków, musimy zaznaczyć, że, choć pan Grimwig nie był złym człowiekiem i wielkiej nawet doznałby przykrości, gdyby jego przyjaciela oszukano, lub wywiedziono w pole, w tej chwili jednak pałał najszczerszem i najgorętszem życzeniem, aby Oliwer Twist rzeczywiście nie wrócił.

Już tak się ściemniło, że zaledwie można było rozpoznać cyfry na zegarku, ale obaj staruszkowie siedzieli dalej w milczeniu, a zegarek spoczywał przed nimi na stole.

Rozdział piętnasty,

który opowiada o tem, jak jowialny, stary Żyd i panna Nancy kochali Oliwera.

W cuchnącej szynkowni, położonej w najbrudniejszej części miasta, zwanej Little Saffran-Hile, a będącej dzielnicą ciemną i posępną, gdzie w zimie przez cały dzień na ulicach gaz się pali, a dokąd w lecie promień słońca nigdy nie zdoła się przecisnąć — przy wielkim cynowym kubku i małym kieliszku, wydzielającym mocny zapach wódki, siedział głęboko zamyślony mężczyzna w welwetowym surducie, sukiennych spodniach, w półbucikach i pończochach — mężczyzna, którego, przy tem ciemnem świetle każdy mało nawet ze złodziejami obeznany agent policyjny poznałby natychmiast i nie wahał się ani chwili wziąć go za pana Wilhelma Sikesa.

U jego nóg leżał znany nam pies o białym włosie i czerwonych oczach, który zajęty był to spoglądaniem na swego pana, to lizaniem wielkiej, świeżej rany z jednej strony swego pyska, a poniesionej zapewne w niedawnej walce.

— Leż cicho, psie przeklęty!... Leż cicho! — zawołał Sikes, przerywając nagle milczenie.

Niewiadomo, czy jego zamyślenie było tak natężone, że drażniło go mruganie psa, czy też uczucia były tak wzburzone, że wymagały jakiegoś ujścia — dość, że skutkiem wszystkiego razem było kopnięcie psa nogą, oraz wyrzeczone przekleństwo.

Psy nie mają naogół zwyczaju wywierania zemsty na własnych panach za poniesione od nich krzywdy;

ale pies Wilhelma Sikesa posiadał widocznie wiele cech wspólnych ze swoim panem i nie odznaczał się wcale przywiązaniem, gdyż wpił natychmiast kły w bucik Billa, a szarpnąwszy nim silnie kilka razy, zawarczał głucho i skrył się pod ławkę, wskutek czego uniknął wszelkiego zetknięcia się z cynowym kubkiem, którym Sikes w jego łeb godził.

— Czy chcesz... co... czy chcesz? — wołał Sikes, chwyciwszy jedną ręką pogrzebacz, drugą otwierając ostrożnie składany nóż, który wydobył z kieszeni. — Chodźno tu, chodź do mnie, ty piekielniku. Chodź tu zaraz, czy słyszysz?

Pies musiał go dobrze słyszeć, gdyż Sikes wrzeszczał z całej siły; żywiąc jednak wielką i nieprzezwyciężoną odrazę do narażania się na niebezpieczeństwo utraty życia przez poderżnięcie gardła, został w tem samem miejscu, dokąd się przedtem schronił; warczał tylko mocniej niż wprzód i, chwyciwszy pogrzebacz za jeden koniec, szarpał go zajadle.

Ten opór doprowadził Billa Sikes do większej jeszcze wściekłości; przypadł z rozjuszeniem na koiana i gwałtownie zaczął na psa nacierać. Pies skakał to w prawo, to w lewo, warczał, szczerzył kły; mężczyzna dosięgał go pogrzebaczem, bił, przeklinał i miotał bluźnierstwa... Walka doszła do najwyższego stopnia roznamiętnienia, gdy nagle drzwi się otworzyły i pies wypadł na dwór, zostawiając Billa Sikesa w izbie z pogrzebaczem w jednej, a nożem w drugiej ręce.

Stare przysłowie mówi, że do każdej walki potrzeba dwuch przeciwników. Sikes, nie mając psa pod ręką przeniósł swoją wściekłość na nowoprzybyłego.

— Dlaczego, do tysiąca djabłów, stajesz między mną, a moim psem? — zawołał z groźnym ruchem.

— Nie wiedziałem o niczem, mój drogi, nie wiedziałem, — odpowiedział Fagin pokornie, gdyż to on właśnie był tym nowoprzybyłym.

— Nie wiedziałeś o niczem, zdradziecki złodzieju? — burczał Sikes. — Czyś nie słyszał hałasu?

— Bynajmniej, jakem żyw, mój drogi Billu! — zapewniał Żyd.

— Prawda, prawda, że ty teraz nic nie słyszysz — odrzekł Bill z szyderczym uśmiechem — wychodzisz i przychodzisz zawsze tak cicho, że nikt nie wie kiedy i skąd. Szkoda, żeś nie był przed chwilą na miejscu tego psa.

— A to dlaczego? — zapytał Żyd z wymuszonym uśmiechem.

— Dlaczego? Oto dlatego, że rząd, mający troskliwe staranie o życie człowieka takiego nawet jak ty, chociaż ty w połowie nie jesteś wart tego, co ten pies, pozwala przecież każdemu zabić psa, jeżeli mu się tak podoba — odpowiedział Sikes, składając nóż ze znanem spojrzeniem — oto dlatego!

Żyd zatarł ręce, usiadł przy stole i udał, że śmieje się z żartu swego przyjaciela. Prawdę mówiąc, nieprzyjemnie mu się na sercu zrobiło.

— Śmiej się , śmiej — rzekł Sikes, kładąc pogrzebacz na swoje miejsce i spoglądając na Żyda ze wzgardą — śmiej się, śmiej! Tyś nie miał nigdy dla mnie uśmiechu, chyba, że ci kaptur groził. Ale teraz ja cię mam w ręku, Fagin, i niech mię djabli wezmą, jeżeli tak łatwo wypuszczę. Jeżeli ja będę musiał iść, to i ty pójdziesz... Pamiętaj!

— Dobrze, dobrze, mój drogi — odpowiedział Żyd — wiem dobrze o wszystkiem, wiem!... My, my... mamy wspólne interesa, Bill... tak... no i wspólne korzyści...

— Hm! — mruknął Sikes, myśląc jakby, że korzyści są raczej po stronie Żyda, niż jego. — Niech i tak będzie! Co masz mi do powiedzenia?

— Wszystko przeszło dobrze przez tygiel — odpowiedział Fagin — oto twoja część. Jest tu więcej, niż na ciebie właściwie wypada, mój drogi; ale ja wiem, że ty mi to przy innej sposobności wynagrodzisz...

— Daj nakoniec to bzdurstwo — zawołał bandyta zniecierpliwiony. — Gdzież jest? Dawaj!

— Zaraz, zaraz Billu! Poczekaj jeno chwilkę, jeno chwilkę! — odpowiedział Żyd pojednawczo. — Oto jest nienaruszone.

To mówiąc, wyjął z zanadrza starą, bawełnianą chustkę i rozwiązawszy wielki węzeł z jednego końca, wyjął małą bronzową paczkę, którą mu Sikes śpiesznie wydarł, otworzył i będące w niej dukaty liczyć zaczął.

— Czy to wszystko? — zapytał.

— Wszystko — odpowiedział Żyd.

— Czyś ty w drodze nie otworzył tej paczki i jednego, albo dwuch z nich nie połknął? — zapytał Sikes podejrzliwie. — Nie udawaj obrażonego, nieraz już to robiłeś. Pociągnij lepiej za sznurek!

Zwrot ostatni, specjalnie angielski, wyraża rozkaz zadzwonienia na posługacza. Jakoż Fagin zadzwonił, a na znak, zjawił się także Żyd, młodszy wprawdzie od niego, lecz niemniej wstrętnej i odrażającej postaci.

Bill Sikes skinieniem głowy wskazał na próżny kubek, a Żyd, zrozumiawszy go dokładnie, napełnił kubek z pośpiechem, wymieniwszy wprzód znaczące spojrzenie z Faginem, który podniósłszy na chwilę oczy w oczekiwaniu jakby tego milczącego pytania, skinął w odpowiedzi tak lekko i nieznacznie, że tego

poruszenia trzecia osoba żadną miarą dostrzec nie mogła.

Nie spostrzegł go też Sikes, tem bardziej, że w tej chwili właśnie był zajęty sznurowaniem kamasza, który mu pies rozerwał. Być może, że zauważywszy tę nieznaczną wymianę znaków, byłby pomyślał, iż wspomniana okoliczność nie rokuje mu nic dobrego.

Czy jest kto u ciebie, Barneyu? — zapytał Fagin głośno, gdy Sikes głowę podniósł i spojrzał na niego.

— Ani żywej duszy — odpowiedział Barney, którego głos i słowa zawsze przez nos torowały sobie drogę.

— Niema nikogo? — zapytał Fagin ze żdziwieniem, które zapewne miało posłużyć za wskazówkę, że jeżeli chce, to może powiedzieć prawdę.

— Nikogo, prócz panny Nancy! — odpowiedział Barney.

— Nancy! — zawołał Sikes. — Ona tu? Niech oczy stracę, to najprzezorniejsza dziewczyna z tych, jakie znam...

— Żądała pieczeni i piwa — objaśnił Barney.

— Przyślij ją tu do nas — rzekł Sikes, kończąc kieliszek wódki — przyślij ją natychmiast.

Barney spojrzał bojaźliwie na Fagina, oczekując jakby od niego pozwolenia, ale stary Żyd milczał i oczu, spuszczonych ku ziemi, nie podnosił. Barney tedy wyszedł i wrócił po chwili z Nancy, ubraną ciągle jeszcze w słomiany kapelusz i fartuszek, z koszyczkiem w jednej, a kluczem od bramy w drugiej ręce.

— Czyś go wytropiła, Nancy? — zapytał Sikes, podając jej kieliszek.

— Jestem na tropie, Billu — odpowiedziała Nancy i wychyliła wódkę; — nabiegałam się niemało. Chłopiec był chory i pilnie strzeżony.

— O, droga, kochana Nancy! — zawołał Fagin — podnosząc oczy.

Czy te słowa, czy też szczególne zmarszczenie rudych brwi Żyda i głębokie spojrzenie jego napół przymkniętych oczu — były znakiem ostrzegawczym dla Nancy, aby się zbytnio o tej sprawie nie rozwodziła, to nie jest dla nas rzeczą wielkiej wagi. Nas obchodzą tylko zdarzenia realne, a takiem zdarzeniem było to, że Nancy urwała nagle w pół słowa i, uśmiechnąwszy się mile do Sikesa, zmieniła temat rozmowy.

Wkrótce Fagina pochwycił mocny kaszel, co zauważywszy, panna Nancy okryła się troskliwie szalem i oświadczyła, że czas jej odejść. Sikes, wymiarkowawszy, że ma się udać w tę samą stronę, ofiarował jej swoje towarzystwo, poczem oboje wyszli, a wślad za nimi podążył pies, który wysunął się ze swej kryjówki na podwórzu, skoro tylko zoczył swego pana.

Żyd wychylił głowę przez drzwi izby i patrzał za Sikesem, gdy tenże przechodził przez ciemną sionkę, pogroził mu pięścią, wymamrotał okropne przekleństwo, poczem z groźnym i szyderczym uśmiechem usiadł znów przy stole i zajął się wertowaniem zajmujących stronic gazety „Hue — and Cry“.

Tymczasem Oliwer Twist, idąc do księgarni, nie przeczuwał ani na chwilę, że znajduje się tak blisko Fagina. Gdy wszedł na Clerkinwell, zwrócił się niewłaściwie w małą boczną uliczkę; ponieważ zauważył swoją pomyłkę dopiero wtedy, gdy doszedł do połowy ulicy, ale ponieważ jednocześnie widział, że ta uliczka prowadzi także do księgarni, nie uznał więc wcale za rzecz konieczną wracać się taki kawał drogi i szedł dalej żwawo z książkami pod pachą.

Idąc, rozmyślał właśnie nad błogiem i wesołem życiem, jakie wiódł od niejakiego czasu, i żałował, że nie może tu sprowadzić małego Dicka, który zapewne, zbity i wygłodniały, zalewa się gorzkiemi łzami, — gdy nagle wyrwał go z tych rozmyślań głos dziewczyny, wołającej:

— O mój drogi braciszku!

Chciał się właśnie do niej obrócić i śmiało zapytać, co to ma znaczyć, gdy w tej chwili ktoś objął go ztyłu za szyję i zatrzymał.

— Puszczaj mię! — zawołał, chcąc się wyrwać. — Puszczaj! Kto mnie zatrzymuje?

Na te pytania odpowiedziały mu głośne wyrzekania dziewczyny, trzymającej koszyk w jednej, a klucz od bramy w drugiej ręce.

— O, mój drogi braciszku, przecież cię nareszcie znalazłam! — wołała. — Ach Oliwerze! Jaki z ciebie chłopiec niedobry!... Ile ja przez ciebie wycierpiałam... Chodź do domu, mój drogi, chodź do domu! Przecież cię znalazłam! Dzięki ci Boże, że go nareszcie znalazłam!

Żaląc się tak i trzepiąc bez związku, dziewczyna rozpłakała się histerycznie, co zainteresowało kilka kobiet naokoło, zwróciły się też one do nadbiegłego chłopca rzeźnickiego, któremu włosy na głowie świeciły się od tłustości, żądając, by pobiegł spiesznie po lekarza. Chłopiec jednak, jak się zdaje trochę leniwy, odpowiedział, że ani myśli się fatygować, a tymczasem dziewczyna, chwytając Oliwera za rękę, zawołała z żywością:

— O, nie, nie, nie zważajcie na to wcale! Już mi lepiej!... Chodźże natychmiast do domu, ty niedobry chłopcze, chodź!

— O co chodzi? — zapytała jedna z kobiet.

— Ach, moja matko! — odparła dziewczyna — miesiąc temu ten chłopiec uciekł od rodziców, ludzi

ciężko pracujących i uczciwych, i połączył się ze złodziejami. Matce o mało serce nie pękło.

— A to łotr! — zawołała druga.

— A pójdziesz ty do domu, mały rabusiu? — skrzyczała go trzecia kumoszka.

— Ja nie jestem jej bratem — tłomaczył się Oliwer z trwogą. — Ja jej wcale nie znam!... Ja nie mam siostry, ani ojca, ani matki. Jestem sierotą i mieszkam koło Pontoville.

— Słuchajcie, jak on kłamie! — narzekała dziewczyna.

— Boże, wszak to Nancy! — zawołał Oliwer, zobaczywszy dopiero teraz jej twarz i cofnął się z niewypowiedzianem żdziwieniem.

— Widzicie, że mię poznał! — krzyczała Nancy do otoczenia. — Ja sobie sama nie dam z nim rady, pomóżcie mi zaprowadzić go do domu, moi ludzie, inaczej rodzice umrą z niepokoju o niego, a mnie serce pęknie .

— Cóż tu się dzieje, do pioruna?! — krzyknął jakiś mężczyzna, wybiegając śpiesznie, wraz z białym pudlem u nogi, z pobliskiej gospody.

— A, młody Oliwer! Chodź do domu, do twojej biednej matki, ty mały łotrze, chodź do domu natychmiast!

— Ja was nie znam! Ja z wami nie pójdę! Gwałtu! Ratujcie! Pomocy! — wołał Oliwer, usiłując wydrzeć się z silnych rąk Billa.

— Ratunku? — powtórzył Bill. — Dobrze, ja cię poratuję, ty mały bękarcie? Co to za książki? Zapewneś je ukradł komu! Dawaj je tutaj.

To rzekłszy, Sikes wydarł mu książki z ręki i uderzył go niemi mocno w głowę.

— Dobrze mu tak! — pochwalił jeden z widzów, przypatrujących się scenie z okna.

— To jedyny sposób napędzenia mu rozumu do głowy! — zauważył drugi.

— Niezawodnie! — potwierdził jakiś opasły cieśla.

— To mu pomoże! — przytakiwały dwie kobiety.

— A jeżeli chcesz więcej, oto masz! — zawołał Sikes, uderzając Oliwera jeszcze raz i chwytając go za kołnierz. — Teraz chodź, niepoczciwy chłopcze! Na tu, psie! Strzeż się go, chłopcze, strzeż się go.

Biedny chłopczyna, osłabiony jeszcze po minionej chorobie, ogłuszony biciem i niespodziewanym napadem, przerażony złośliwem warczeniem psa i okrucieństwem jego pana, zahipnotyzowany wreszcie wiarą ciemnego tłumu, że jest istotnie owym niegodziwym synem, za jakiego go przedstawiono — zupełnie stracił głowę. Było już ciemno, mieszkańcy tej dzielnicy nie budzili zaufania, znikąd nie mógł spodziewać się pomocy, wszelki opór przeto był nadaremny. W mgnieniu oka zaciągnięto go w labirynt ciemnych i krętych uliczek, i zmuszono go do tak szybkiego biegu, że gdyby nawet odważył się wzywać ratunku, to nie dosłyszanoby jego głosu, a przynajmniejby nie zrozumiano.

— — — — — — — — — —

Już zapalono na ulicach gazowe latarnie; pani Bedwin czekała z niepokojem w otwartych drzwiach domu; służąca wybiegała ze dwadzieścia razy daleko w ulicę i rozglądała się we wszystkie strony, czy go gdzie wracającego nie dostrzeże; obaj starzy panowie siedzieli cierpliwie w ciemnym pokoju, a zegarek leżał przed nim na stole.

Rozdział szesnasty

odnoszący się do tego, jakie były dalsze przygody Oliwera Twista po spotkaniu się z Nancy.

Minąwszy wiele ulic, uliczek, para uprowadzająca Oliwera dostała się nakoniec na obszerny plac, zasiany słupkami i innemi oznakami targowicy bydła.

Sikes zwolnił teraz kroku, gdyż zadyszana i znużona dziewczyna wlokła się z trudnością. Zwróciwszy się do Oliwera, kazał mu podać rękę Nancy i iść za nią posłusznie.

— Jeżeli będziesz się opierał, pożałujesz tego! — zagroził surowo, widząc, że się chłopiec ociąga i patrzy dookoła.

Znajdowali się w ciemnym zaułku, bez śladu obecności żywej istoty. Oliwer, przekonawszy się o niemożności oporu, podał dziewczynie rękę, ona zaś uchwyciła ją silnie.

— Podaj mi drugą — odezwał się Sikes i chwycił chłopca za drugą rękę. — Hola!... Uwaga!

Pies spojrzał do góry nastroszył uszy i zawarczał.

— Pilnuj mi go! — rzekł Sikes, przykładając rękę do gardła Oliwera — a jeżeli piśnie słówko, to go chwyć natychmiast!... Zrozumiałeś?

Pies zawarczał powtórnie i, oblizując się, spojrzał na Oliwera tak złowrogo, jakby natychmiast kły jego w gardle zatopić pragnął.

— Niech mię djabli wezmą, jeżeli ten pies nie jest pełen dobrych chęci, jak najgorliwszy chrześcijanin! — mruknął Sikes, spoglądając na psa z uśmiechem dzikiej zachęty. — Teraz wiesz, mój paniczu, co cię czeka... Krzyczże sobie zatem, krzycz tak głośno, jak ci się tylko żywnie podoba. Pies ci zaraz przerwie tę zabawkę. Dalej naprzód, nieznośny malcze!

Pudel pokręcił ogonem, pochwalając snać dobre usposobienie swego pana, i zawarczał raz jeszcze pod adresem Oliwera, poczem puścił się naprzód.

Gdy to się działo, znajdowali się w części miasta, zwanej Smithfield, o ile nie było to Grosvenom Square. Dla Oliwera było to rzeczą zupełnie obojętną, nie znał bowiem ani jednej dzielnicy, ani drugiej.

Noc była ciemna i mglista. Światełka licznych sklepików przedzierały się z trudnością przez mgłę grubą, coraz gęstszą, która, osnuwając dachy niby kirem, czyniła to miejsce w oczach Oliwera jeszcze okropniejszem i powiększała bardziej jego trwogę.

Postąpili trochę przed siebie i usłyszeli posępny odgłos zegara, wydzwaniającego godzinę

Za pierwszem uderzeniem przewodnicy Oliwera zatrzymali się i zwrócili głowy w tę stronę, skąd głos dochodził.

— Ósma godzina, Billu! — szepnęła Nancy, gdy zegar bić przestał.

— Kiego djabła mi o tem przypominasz!... Czy myślisz, że nie słyszałem godziny tak dobrze, jak i ty? — burknął Sikes gniewnie.

— Ciekawam, czy oni mogą słyszeć? — odpowiedziała dziewczyna.

— Niezawodnie mogą — mruknął Sikes. — Kiedy schwytano mię w czasie jarmarku i tam osadzono, to słyszałem wszystko, co się na targowisku działo, każdy odgłos, każdy dźwięk; ale zato, gdy noc nadeszła, przeklęte zamczysko wydawało mi się takie dziwne ciszą, która następowała po zgiełku i dziennej wrzawie, że brała mię nieraz chętka z rozpaczy głowę sobie o mur roztrzaskać.

— Biedni chłopcy! — westchnęła Nancy, zwracając głowę w tę stronę, w której słyszała dźwięk zegara. — Ach Billu!... Tacy dzielni chłopcy!

— Wy, kobiety, zawsze tylko jedno macie na myśli! — odparł Sikes. — Piękne chłopaki!... Wspominać o nich nie warto, tyle oni teraz warci, co pierwszy lepszy nieboszczyk.

Zdawało się, że Sikes pragnie tą uwagą stłumić w sobie nagły poryw zazdrości; ścisnął też Oliwera za rękę, nakazując mu, żeby szedł prędzej.

— Chwilkę jeszcze! — rzekła dziewczyna.— Jeśliby ciebie miano wieszać, Billu, nie uciekałabym stąd tak szybko; błąkałabym się, krążyła koło tego miejsca tak długo, aż wysilona i znużona upadłabym na ziemię, gdyby nawet śnieg ziemię pokrywał, a ja nie miałabym nawet chustki do okrycia.

— I nacóżby mi się to przydało? — odparł Sikes, nieusposobiony sentymentalnie. — Gdybyś mogła zdobyć się na dwadzieścia łokci przynajmniej dobrego, mocnego sznura, to rozumiem, ale coby mi z tego przyszło, czybyś ty się tędy błąkała, czy nie. Ot, chodź lepiej, nie rozprawiaj, nie baw się w czułe kazania!

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, otuliła się lepiej chustką i, nie mówiąc już ani słowa, puściła się w dalszą drogę. Lecz Oliwer czuł, że ręka jej drżała, a spojrzawszy jej przy świetle mijanej latarni w oczy, spostrzegł, że twarz jej była blada śmiertelnie.

Szli przeszło pół godziny brudnemi, ciasnemi, mało uczęszczanemi ulicami, nie spotykając po drodze prawie nikogo. Ale i ci, których spotykali, ci także z samego już pozoru wyglądali na takich samych złoczyńców, jakim był Sikes.

Znaleźli się wreszcie w wąskiej, plugawej uliczce, zapełnionej mnóstwem dawno zamkniętych sklepików. Pies pogonił naprzód, jakby wiedząc dobrze, że Oliwera więcej strzec nie potrzebuje, i zatrzymał się przed drzwiami również zamkniętego i pozornie wcale niezamieszkałego sklepiku. Dom był zrujnowany, ale nad drzwiami wisiała tabliczka z napisem: „Dom do wynajęcia“. Tabliczka była tak zapylona i nieczytelna, że łatwo można było się domyśleć, iż od wielu lat tu wisi.

— Wszystko w porządku! — szepnął Sikes, obejrzawszy się ostrożnie dokoła.

Nancy zbliżyła się do okiennicy i Oliwer usłyszał dźwięk dzwonka.

Wszystko troje przebiegli spiesznie na drugą stronę ulicy i stanęli tuż pod latarnią. Za chwilę dał się słyszeć szmer, jakby ktoś otwierał okienko, a potem je zamykał i niebawem uchylono ostrożnie drzwi domu. Sikes chwycił Oliwera za kołnierz i wszyscy troje znaleźli się wkrótce wewnątrz domu.

W sieni panowała zupełna ciemność; musieli nieco poczekać, zanim osoba, która ich wpuściła, zamknęła i zatarasowała drzwi za sobą.

— Czy niema nikogo? — zapytał Sikes.

— Niema — odpowiedział głos, który Oliwerowi wydał się być znajomy.

— A staruch w domu? — zagadnął jeszcze Sikes.

— W domu — odparł ten sam głos — lecz w szkaradnym i kwaśnym sosie, jak go jeszcze nigdy nie widziałem. Nie wiem, czy będzie rad z waszego przybycia.

Teraz Oliwer więcej jeszcze się upewnił, że mówiący dobrze mu jest znajomy, ale niepodobna mu było w ciemności postaci jego rozpoznać.

— Przynieś światło! — zawołał Sikes — inaczej karki poskręcamy, albo które na psa nastąpi, a nie zazdrościłbym łydkom tego, kogoby to szczęście spotkało.

— Zatrzymajcie się tutaj chwilę, ja tymczasem pobiegnę po światło — odpowiedział głos.

Niebawem zjawiła się na schodach postać Jakóba Dawkinsa, czyli inaczej przebiegłego Smyka, trzymającego w ręku świecę zamkniętą w kawałku połamanego lichtarza...

Gdyby nie szyderczy uśmiech, który przewinął się po ustach, nikt nie mógłby powiedzieć, czy mło-

dzieniec poznał Oliwera, tem bardziej, że natychmiast się odwrócił i kazał przybyszom iść za sobą. Przeszli przez kuchnię zupełnie pustą i otworzyli drzwi od niskiej, zadymionej i cuchnącej izby z oknami wychodzącemi na podwórze, tam zostali przyjęci wybuchem głośnego śmiechu.

— O, moja peruka, moja peruka! — wołał Karolek Bates, z którego płuc ten głośny śmiech się wydobywał — otóż jest! We własnej osobie! Ach Fagin! Tylko mu się przypatrz! Tylko przypatrz, Fagin! Już dłużej nie mogę wytrzymać. A to śliczna zabawka! Dalibóg, że nie mogę wytrzymać. Niech mię kto ściśnie, bo pęknę ze śmiechu.

Wśród tego szalonego wybuchu wesołości, Karolek Bates padł jak długi na ziemię i tarzał się po niej czas jakiś w przystępie błazeńskiego uniesienia. Nakoniec zerwał się na nogi, pochwycił z rąk Smyka złamany lichtarz ze świecą i, przystąpiwszy do Oliwera, oglądał go wciąż dokoła, a Żyd, zdjąwszy myckę z głowy, ukłonił się kilka razy nisko zdumionemu chłopcu.

Smyk tymczasem, posiadający nieco poważniejsze usposobienie, i poddając się rzadko uniesieniu wesołości, zwłaszcza jeżeli nadarzała się sposobność do zrobienia interesu, zabrał się do wytrząsania kieszeni sieroty.

— Przypatrz się jego odzieży, Fagin! — zawołał Karolek, przysuwając światło tak blisko do nowego stroju Oliwera, że omal nie zajął się on płomieniem — przypatrzno się jego odzieży... Jakie piękne sukno!... Jaki śliczny krój!... O, na moje oczy, co za świetna zabawa! Patrzajno Fagin, a te książki! Wygląda z niemi na prawdziwego panicza.

— Bardzo mię to cieszy, że tak dobrze wyglądasz, mój kochany! — odezwał się Żyd, kłaniając się z szyderczą pokorą. — Smyk da ci inne ubranie na

codzień, mój drogi, abyś sobie tego nie zniszczył i miał je na niedzielę. Dlaczegoś, mój drogi, nie napisał do nas, kiedy powrócisz? Bylibyśmy przygotowali dla ciebie coś ciepłego na wieczerzę.

Ten żart pobudził znów Karolka do tak gwałtownego śmiechu, że Fagin nie mógł dłużej utrzymać swej powagi, a nawet i Smyk się uśmiechnął. Ale, że w tej chwili właśnie znalazł pięciofuntowy banknot w kieszonce Oliwera, więc nie można powiedzieć z pewnością, czy ten żart, czy też to odkrycie wywołało na jego usta ten lekki cień wesołości.

— A to co? — zawołał Sikes, przyskoczywszy do nich w momencie, gdy Żyd chwytał banknot. — To moje, Fagin!

— Nie, nie, mój drogi, to moje — odparł Żyd. — Ty zabierz książki.

— Jeżeli to nie będzie moje — rzekł Sikes, wsadzając kapelusz na głowę — moje i Nancy, to ja chłopca zabieram z powrotem.

Żyd drgnął na tę groźbę i Oliwer drgnął także, lecz z innego powodu: zaświtała w nim nadzieja, że ta sprzeczka skończy się istotnie na tem, iż go z tego domu uprowadzą.

— No, jakże... oddasz czy nie? — zapytał Sikes.

— To niesłusznie Billu... bardzo niesłusznie, nieprawdaż Nancy? — wyrzekł Żyd.

— Słusznie, czy niesłusznie, daj to, powiadam ci! — domagał się Sikes. — Czy ty myślisz, że ja i Nancy nie moglibyśmy naszego drogiego czasu użyć na coś lepszego i korzystniejszego, jak na śledzenie i bieganie za chłopcami, którzy od ciebie uciekną? Oddajże ten banknot natychmiast, stary sknero, daj go tu!

Przemawiając tak uprzejmie, wydarł banknot z rąk Żyda i, patrząc zimno w twarz staremu, złożył banknot i zawiązał go w koniec chustki.

— Jest to cała nagroda za nasze trudy — dodał Sikes — i stanowi ona zaledwie cząstkę tego, co się nam należy... Książki możesz sobie zatrzymać, jeżeli masz ochotę do czytania, a jeżeli nie, to je sprzedaj.

— One są bardzo ładne — odezwał się Karolek Bates, który otworzył jedną książkę i, wykrzywiając się błazeńsko, udawał, że ją czyta. — Ładnie napisana, nieprawdaż Oliwerze?

Widząc jednak, że Oliwer spogląda z niewypowiedzianą trwogą na swych dręczycieli, Bates, obdarzony widocznie zmysłem komizmu, wpadł w nowy, tym razem gwałtowniejszy jeszcze atak śmiechu.

— Te książki należą do starszego pana — błagał Oliwer, załamując ręce — do zacnego, dobrego pana, który wziął mię do siebie i pielęgnował w chorobie, kiedy byłem bliski śmierci. Zlitujcie się, odeślijcie mu te książki i pieniądze. Zostanę przy was przez całe moje życie, tylko mu to odeślijcie! On będzie myślał, że go okradłem... I ta staruszka, która była dla mnie taka dobra, i ona także, gotowa pomyśleć, że okradłem... O, zmiłujcie się nade mną i odeślijcie mu wszystko!

Oliwer, wypowiedziawszy te słowa z mocą namiętnego bólu, upadł do nóg Żydowi i wzniósł ku niemu z rozpaczą obie ręce.

— Chłopiec ma rację — mruknął Fagin, marszcząc swe gęste, siwe brwi i spoglądając znacząco na wspólników. — Słusznie mówisz, Oliwerze, słusznie mówisz! Gotowi pomyśleć, żeś ukradł... Ha, ha, ha! — dodał, zacierając ręce z radości — gdybyśmy sami obierali porę, nie moglibyśmy byli lepszej i korzystniejszej sobie wybrać.

— To prawda — potwierdził Sikes — wiedziałem o tem, gdy zobaczyłem go, jak dążył przez Clerkinwell z książkami pod pachą. Dobra nasza. Ci ludzie muszą być bardzo prawowierni, skoro wzięli

go do siebie. Pozatem jestem pewien, że nie będą go poszukiwali z obawy, aby następnie nie byli zmuszeni oddać go pod sąd i wtrącić do więzienia, pod tym względem jesteśmy zabezpieczeni.

W czasie tej rozmowy Oliwer, zbity jakby z tropu i nie rozumiejący o co chodzi, to na jednego, to na drugiego spoglądał.

Lecz gdy Bill Sikes przestał mówić, zerwał się na równe nogi wypadł z izby, wołając o pomoc na całe gardło tak, że echa tego wołania rozległy się po całym domu.

— Billu, zatrzymaj psa! — krzyknęła Nancy, poskoczywszy ku drzwiom i zamknąwszy je za Żydem, który w towarzystwie swoich dwóch uczni, puścił się w pogoń za Oliwerem — zatrzymaj psa... rozszarpie chłopca na kawałki!

— Nie ujmuj się za nim! — wrzasnął Sikes, usiłując uwolnić się z rąk dziewczyny. — Puszczaj mię! Czy słyszysz? Puść mię, albo ci łeb o ścianę rozbiję.

— Nie dbam o to, Billu, nie dbam — wołała dziewczyna, mocując się z nim gwałtownie — nie dopuszczę, żeby pies rozszarpał chłopca; pierwej mię musisz zabić.

Bandyta pchnął z całej siły dziewczynę w przeciwległy kąt izby w tej samej chwili, gdy Żyd i jego dwaj uczniowie powrócili z pościgu, wlokąc Oliwera za sobą.

— Co się tu dzieje? — zapytał Żyd, spoglądając dokoła.

— Ta dziewczyna oszalała! — odparł Sikes, pieniąc się z wściekłości.

— Nie oszalała, nie — zaprzeczyła Nancy, blada i zadyszana — nie oszalała jeszcze, nie wierz temu, Faginie.

— Bądź więc cicho, czy słyszysz? — zawołał Żyd z groźnem wejrzeniem.

— Nie, nie chcę być cicho! — odpowiedziała, podnosząc głos. — Cóż wy sobie myślicie?

Fagin znał dobrze wszelkie zwyczaje, wybryki i dziwactwa istot tego środowiska, do którego należała Nancy, wiedział zatem, iż daleko rozsądniej będzie przerwać z nią tymczasem wszelką dyskusję i odłożyć ją do chwili pomyślniejszej. Zwrócił się też do Oliwera, chcąc uwagę całego towarzystwa skierować na inny przedmiot.

— Chciałeś nam uciec, kochanku, co? — zapytał, sięgając po gruby i sękaty kij, leżący koło kominka.

Oliwer nic nie odpowiedział, lecz dysząc ciężko, śledził wszystkie poruszenia Żyda.

— Chciałeś wołać o pomoc, sprowadzić policję, nieprawdaż? — szydził Fagin i chwycił Oliwera za rękę. — Ja cię z tego natychmiast wyleczę, mój paniczu!

To mówiąc, uderzył go w plecy i zamierzył się właśnie do drugiego ciosu, gdy dziewczyna wyrwała mu laskę z ręki i rzuciła ją w ogień z taką mocą, że rozżarzone węgle rozsypały się po podłodze.

— Fagin! Dopóki ja tu jestem, bić go nie pozwolę! — zawołała. — Masz chłopca, czego chcesz więcej? Daj mu pokój! Czy słyszysz Fagin? Daj mu pokój, albo takie ślady na tobie zostawię, że mię przed czasem jeszcze na szubienicy powieszą...

Wypowiedziawszy tę groźbę, tupnęła gwałtownie nogą o ziemię i z zaciętemi zębami, ściśniętemi pięściami spoglądała naprzemian, to na Żyda, to na drugiego bandytę; tłumiona wściekłość okryła jej twarz śmiertelną bladością.

— A to co ma znaczyć, Nancy? — zapytał Żyd słodko i łagodnie, spoglądając ze zmieszaniem na Billa. — Ty dzisiaj przeszłaś samą siebie. Ha, ha, moja droga, ślicznieś swoją rolę odegrała...

— Czy tak? — odparła dziewczyna. — Strzeż się zatem, Fagin, żebym nie przeszła siebie jeszcze

więcej; mógłbyś na tem bardzo źle wyjść. Ostrzegam cię zgóry, daj mi dzisiaj pokój.

Jest coś dziwnego w rozgniewanej kobiecie, zwłaszcza, jeżeli do innych gwałtownych namiętności dołącza się nieopanowane odruchy wściekłości i rozpaczy; niewielu też znajdzie się mężczyzn, którzyby odważyli się doprowadzić do podobnego stanu.

Żyd zrozumiał, że beznadziejne będą jego usiłowania, jeżeli zechce w dalszym ciągu nie liczyć się z gniewem Nancy; usunął się więc od niej, spojrzał na Billa napół bojaźliwie, napół błagalnie, chcąc dać mu niby do zrozumienia, że jest jedyną osobą, która tak niebezpieczną dysputę dalej poprowadzić może.

Sikes, znaglony tem milczącem wezwaniem, a może także pobudzony myślą, że ambicja i powaga domagają się od jego osoby, aby Nancy natychmiast została przyprowadzona do rozumu, zaczął od wypowiedzenia okropnych gróźb i przekleństw z szybkością przynoszącą wielki zaszczyt jego twórczemu w tym zakresie duchowi.

Ponieważ jednak to uniesienie nie zrobiło żadnego widocznego wrażenia na osobie, która była przedmiotem i celem tego rodzaju wysiłku, uciekł się do bardziej dotkliwych argumentów.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zawołał, popierając pytanie najpospolitszem przekleństwem, które rozpowszechniłoby wśród ludzi ślepotę tak, jak naprzykład rozpowszechniony jest kur lub ospa, gdyby raz tylko na każde pięćdziesiąt tysięcy wysłuchane zostało — co to wszystko ma znaczyć? Niech mię jasny piorun trzaśnie!... Czy ty wiesz, kto jesteś i kim jesteś?

— O, wiem bardzo dobrze! — odparła dziewczyna, śmiejąc się nerwowo i potrząsając przytem głową z wyzywającą obojętnością.

— Jeżeli wiesz, to milcz! — zagroził Sikes głosem, którego zwykle używał, przemawiając do swego psa — milcz, bo inaczej oniemię cię na wieczne czasy.

Dziewczyna rozśmiała się znów, lecz już nieco spokojniej niż przedtem, a rzuciwszy szybkie spojrzenie na Billa, odwróciła twarz i usta do krwi zagryzła.

— Taka szlampa — dodał Sikes, spoglądając na nią z pogardą — i zachciewa się jej bawić we współczucie i litość!... Wielki zaszczyt spotka chłopca, jeżeli mu powiesz, że ma w tobie szczerą przyjaciółkę!

— Tak, na Boga! Jestem wszetecznica — zawołała dziewczyna z namiętnem uniesieniem — a wolałabym teraz, żeby mię byli zabili na ulicy, lub żebym się znajdowała na miejscu tych, koło których przechodziliśmy tego wieczora tak blisko, niż to, że przyczyniłam się do sprowadzenia tutaj tego chłopca. Od dzisiaj stał się on złodziejem, kłamcą, złoczyńcą. Czy to jeszcze niewystarczające dla tego starego chciwca? Czyż trzeba bić go jeszcze?

— Uspokój się Billu, uspokój — odezwał się Żyd do bandyty, pragnąc niby poskromić jego gniew, a właściwie chcąc zwrócić mu nieznacznie uwagę, iż chłopcy przypatrywali się uważnie temu, co się koło nich działo — obchodź się z nią łagodniej Billu, łagodniej.

— Łagodniej? — powtórzyła dziewczyna, przeszywając Żyda piorunującym wzrokiem. — Łagodniej, ty nikczemny stary trupie? Nieinaczej, zasłużyłam na to, żebyś się łagodnie ze mną obchodził. Kradłam dla ciebie już wtedy, gdy byłam dzieckiem o połowę młodszem od niego — tu wskazała na Oliwera. — Trudnię się tem od lat dwunastu. Czyś o tem zapomniał? Mów, czyś już o tem zapomniał?

— Dobrze już, dobrze — odpowiedział Żyd, chcąc ją uspokoić — ale przecież zważ, że i sama z tego żyjesz.

— Czy tak? — wrzasnęła dziewczyna, cedząc przez spienione usta każdy wyraz osobno. — O, prawda, prawda, że z tego żyję, zimne, mokre, plugawe ulice są mojem mieszkaniem. I to ty, stary nędzniku, doprowadziłeś mię do tego, pędzisz mię wciąż, bezustanku na ulice, trzymasz mię na nich całe dnie i noce, dopóki śmierć mego życia nie zakończy!

— Strzeż się, Nancy, strzeż, zrobię ci coś złego, zrobię! — przerwał Żyd, dotknięty do żywego jej wyrzutami — zrobię ci co złego, jeżeli jeszcze słówko powiesz!

Dziewczyna też słówka więcej nie rzekła, lecz z włosem najeżonym, z ubiorem w nieładzie, rzuciła się na Żyda w przystępie szału z taką siłą, że z pewnością byłaby na jego obliczu zostawiła ślady swej zemsty, gdyby Sikes nie chwycił ją w porę za ręce i nie wstrzymał; poczem chwilę jeszcze mocowała się z nim bezskutecznie i nakoniec upadła zemdlona na ziemię.

— Teraz już dobrze — rzekł Sikes, położywszy ją w kącie. — Ogromną siłę ma w rękach, gdy ją szaleństwo napadnie.

Żyd otarł pot z czoła, odetchnął i uśmiechnął się; rad był widocznie, że ta scena raz przecież się skończyła. A trzeba dodać, że nie była ona niczem nadzwyczajnem ani dla niego, ani dla Billa, ani dla chłopców, ani dla psa nawet; tego rodzaju zajścia zdarzały się w tem gronie bardzo często.

— Najgorsza rzecz mieć do czynienia z kobietami — rzekł Fagin, stawiając kij na swoje miejsce. — Niestety, są one nadzwyczaj przebiegłe i w naszem położeniu nie można bez nich żadną miarą się obejść. Karolku, zaprowadź Oliwera do łóżka.

— Mnie się zdaje, że nie powinien on jutro wdziewać swego ładnego ubrania? Nieprawdaż Fagin? — zapytał Karolek Bates.

— Zapewne, zapewne — odparł Żyd z szyderczym uśmiechem porozumienia.

Bates, ucieszony widocznie tem poleceniem, wziął szczapę, na której zatknięty był kawałek świecy, i zaprowadził Oliwera do sąsiedniej komory, w której kilka sienników leżało na ziemi i gdzie Oliwer już nieraz sypiał.

Tutaj Karolek, śmiejąc się złośliwie, wyciągnął z kąta stare ubranie podobne do tego, które Oliwer niedawno z taką przyjemnością zrzucił ze siebie u pana Brownlow i darował służącej, a którego przypadkowe nabycie posłużyło Faginowi za pierwszą wskazówkę miejsca pobytu Oliwera i na jego ślad naprowadziło.

— Zdejmij z siebie to ubranie, dam je Faginowi do schowania — rzekł Karolek. — Jakie piękne sukno! Doprawdy prześliczne!

Biedny Oliwer, usłuchał niechętnie, a Bates, zwinąwszy ubranie, wziął je pod pachę, wyszedł z komory, zostawił Oliwera w ciemności i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Wrzaskliwy śmiech Karolka i piskliwy głos Betsy, która właśnie w porę nadeszła i z pomocą zimnej wody oraz innych środków zdołała przyjaciółkę ocucić byłby może wybił ze snu osobnika, znajdującego się w daleko przyjemniejszych od Oliwera warunkach, ale Oliwer był słaby i zmęczony i wkrótce zasnął twardo.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DZIEŁA KAROLA DICKENSA

KAROL DICKENS

DZIEŁA

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM
ANDRZEJA TRETIAKA
PROF. UNIWERSYTETU WARSZAWSK.

OLIWER TWIST

OLIWER TWIST

POWIEŚĆ

TOM II

WARSZAWA

WYDAWNICTWO GUTENBERGA

DZIEŁA

TOM II.

Rozdział siedemnasty.

Los, niepomyślny dla Oliwera, sprowadza do Londynu wielkiego człowieka, który szkodzi jego dobrej sławie.

Podług opinji, panującej w sferach teatralnych, wartość dobrze napisanych melodramatów zależy od tego, aby sceny tragiczne i komiczne przeplatały się między sobą tak, jak to czynią naprzykład warstwy białe i czerwone w połciu dobrej słoniny.

Bohater, uginający się pod ciężarem przeciwności i niepowodzeń, pada na słomiane łoże; w następnej scenie jego wierny a nie wiedzący o niczem pachołek częstuje widzów jakąś komiczną piosenką. Patrzymy z bijącem sercem na bohaterkę, pozostającą w mocy nieludzkiego i dumnego barona; cnota i życie nieszczęśliwej są mocno zagrożone, dobywa więc ona sztyletu, aby cześć pierwszej opłacić kosztem drugiego, i wtedy, kiedy ciekawość nasza jest podniecona do najwyższego stopnia, rozlega się gwizdek i zostajemy nagle przeniesieni do wspaniałej, zamkowej komnaty, gdzie siwy książę wraz z wesołą czeredą lenników śpiewa chórem pieśń wesołą.

Podobne zmiany rażą nas swoim brakiem logiki, a przecież nie są tak nierozsądne, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogły.

I w rzeczywistości podobne przejścia od smacznie zastawionego stołu do łoża śmierci, od stroju balowego do żałoby — nie są rzadkie i stopniowe. Cała

różnica polega na tem, że w życiu jesteśmy sami działaczami, w teatrze zaś tylko widzami. W teatrze aktorowie pozostają obojętni na gwałtowne przejścia i burzliwe wybuchy namiętności lub uczucia, które oczom zimnego widza wydają się być niedorzeczne i nielogiczne.

Ponieważ te nagłe zmiany czasu, miejsca, zdarzeń, uświęcone są w książkach nietylko zwyczajem, ale i poczytywane autorowi za wielką zaletę, wielu bowiem krytyków widzi całą zasługę autora w umiejętności stawiania bohaterów przy końcu każdego rozdziału pod znakiem zapytania — to czytelnik nie uzna zapewne konieczności tego krótkiego wstępu do niniejszego rozdziału. W przeciwnym razie przecież niech zechce autorowi darować, że w swej powieści wraca prosto do miejsca urodzenia Oliwera, i niech mu wierzy, że do tej podróży zmusza go wiele ważnych powodów; inaczej nie ośmieliłby się nigdy zaprosić czytelnika na podobną wycieczkę.

— — — — — — — — — —

Pan Bumble wynurzył się wczesnym rankiem z bramy Domu Roboczego i energicznym krokiem puścił się ulicą z głową dumnie wzniesioną.

Był on właśnie u szczytu świetności swego urzędowania. Jego trójgraniasty kapelusz i surdut połyskiwały w promieniach wschodzącego słońca, przyczem wywijał laską z niezachwianem poczuciem zdrowia i władzy.

Pan Bumble zwykle zadzierał głowę do góry, lecz dzisiaj czynił to jeszcze wyżej, niż zwykle. W oczach widać było roztargnienie, w całej postawie taką wyniosłość, że nieznany mu obserwator mógłby był osądzić, iż w głowie woźnego snują się myśli zbyt wielkie, by je słowami wyrazić można.

Pan Bumble nie zatrzymywał się dzisiaj na zwykłą pogawędkę ze sklepikarzami, którzy witali go zawsze z uszanowaniem, ilekroć tamtędy przechodził. Na ich ukłony odpowiadał zaledwie skinieniem ręki i nie zwalniał dostojnego kroku dopóty, dopóki nie doszedł do ogrodowych drzwiczek owego folwarku, w którym pani Mann wychowywała troskliwie sieroty.

— Znów ten przeklęty woźny! — zawołała z gniewem pani Mann, usłyszawszy znane jej dobrze pukanie do drzwiczek ogrodowych. — Nie wiedzieć poco go tutaj djabli tak rano przynoszą!... Ach, pan Bumble!... O wilku mowa, a wilk tuż!... Proszę, proszę, kochany panie Bumble!... Jakże miło pana zobaczyć, sir!... Proszę do pokoju... proszę!

Pierwsza część tej przemowy była zwrócona do Zuzanny, druga, zawierająca wybuchy radości, do pana Bumble, któremu ta poczciwa kobiecina otwierała drzwi od ogrodu i z największem uszanowaniem i uprzejmością zapraszała do wnętrza domu.

— Moja pani Mann — rzekł woźny, nie siadając na krześle zbyt skwapliwie, jak to czyni człowiek z gminu, lecz opuszczając się na nie stopniowo i powoli — moja pani Mann... dzień dobry!

— Dzień dobry, panie Bumble! — odpowiedziała pani Mann z wdzięcznym uśmiechem; — mam nadzieję, że się pan dobrze czujesz, sir?

— Jako tako, moja pani Mann — sapnął woźny. — Życie człowieka, zależnego od gminy, nie jest usłane różami, moja pani!

— Ach, to prawda, wielka prawda, panie Bumble! — westchnęła pani Mann.

Wszystkie sieroty powtórzyłyby tę uwagę z wielką szczerością, gdyby ją tylko słyszały.

— Życie człowieka, zależnego od gminy — ciągnął dalej pan Bumble, uderzając laską o stół — jest to

życie ustawicznych trosk, trudów i pracy; lecz o ile mi jest wiadomo, wszyscy społeczni pracownicy narażeni są na prześladowania.

Pani Mann, nie mogąc zrozumieć, do czego woźny zmierza, załamała ręce z wyrazem współczucia i znów głęboko westchnęła.

— Masz rację, że wzdychasz, pani Mann! — rzekł woźny.

Pani Mann, widząc, że nieźle trafiła, westchnęła raz jeszcze ku widocznemu zadowoleniu tego społecznego męża, który stłumił rodzący się uśmiech surowem spojrzeniem na swój trójgraniasty kapelusz i zawołał nagle:

— Pani Mann... wyjeżdżam do Londynu!

— Do Londynu, panie Bumble? — powtórzyła pani Mann ze zdziwieniem.

— Tak jest, do Londynu — ciągnął nieporuszony woźny — i to w powozie... Ja i dwuch naszych biedaków, moja pani Mann!... Toczy się ważna sprawa co do ich osiadłości, a zbór wybrał mnie, mnie, moja pani Mann, abym stanął w tej sprawie, jako świadek, przed sądem okręgu Clerkwille w Londynie... Bardzo wątpię — dodał Bumble, prostując się dumnie — czy sąd w Clerkinwell będzie mógł coś stanowczego zawyrokować w tej sprawie, o ile ze mną nie pomówi.

— Nie bądź pan tylko w stosunku do sądu zbyt twardy, panie Bumble — rzekła pani Mann pochlebnie.

— Sąd w Clerkinwell sam na siebie ściąga tę burzę, moja pani Mann! — nadmienił Bumble — jeżeli przekona się wkońcu, że gorzej na tem wychodzi, niż się spodziewał, niech samemu sobie tylko winę przypisze.

Tyle zdecydowania i wzgardy brzmiało w słowach pana Bumble, że pani Mann uczuła się przejęta czcią dla jego osoby. Ośmieliła się jednak zapytać:

— Więc jedziesz powozem, panie Bumble?... Sądziłam, iż panuje u nas zwyczaj odsyłania prostym wozem wszystkich biedaków z Domu Roboczego?

— Nieinaczej... lecz tylko wtedy, jeżeli są chorzy, moja pani Mann — odpowiedział woźny. — Sadzamy chorych na otwarty wóz w czasie deszczu poto, aby się zahartowali.

— A! — zawołała pani Mann.

— Tym razem zachodzi inna okoliczność; znaleźliśmy furmana, który obu tych biedaków przewiezie powozem za bardzo niską cenę — mówił woźny. — Obaj są wprawdzie chorzy, lecz obliczyliśmy, że daleko taniej wypadnie nam przewieźć ich, niż pochować... Przewieźć ich, to znaczy podrzucić jakiej innej gminie, co, według mnie, da się łatwo uczynić, o ile tylko nie zrobią nam na złość i w drodze nie umrą... ha, ha, ha!

Pan Bumble śmiał się serdecznie, dopóki jego spojrzenie nie padło na trójgraniasty kapelusz, wówczas powrócił do urzędowej powagi.

— Ale zapominamy o naszej sprawie, moja pani Mann — rzekł wtedy — to jest zapłata miesięczna, moja pani Mann.

Pan Bumble wyciągnął z kieszeni rulon srebra zawinięty w papier i odebrał od pani Mann kwit, który natychmiast napisała.

— Jest na nim wprawdzie kilka kleksów, ale to nic nie szkodzi — rzekła dzierżawczyni sierot — mimo to jest ważny... Dziękuję ślicznie, panie Bumble, wiem, że mam względem pana wiele obowiązków wdzięczności, sir.

Pan Bumble pochylił lekko głowę na znak podziękowania za okazaną mu uprzejmość i zapytał, jak się dzieci miewają.

— Niech Bóg błogosławi, kochane dzieciaki — odpowiedziała pani Mann ze wzruszeniem — ko-

chane aniołki mają się jak najlepiej. Wszystkie są zdrowe, z wyjątkiem dwojga, które zmarły zeszłego tygodnia. No i małego Dika!

— Czy stan tego chłopca się nie polepsza? — zapytał pan Bumble.

Pani Mann potrząsnęła głową.

— Jest to najgorszy, najzłośliwszy i najkrnąbrniejszy chłopiec ze wszystkich wychowanków gminy! — zawołał pan Bumble z gniewem. — Gdzie on jest teraz?

— Przyprowadzę go natychmiast, sir! — odpowiedziała pani Mann. — Dik!... Chodź tutaj... czy słyszysz?

Po wielu wołaniach, odnaleziono nakoniec gdzieś Dika, zlano mu twarz wodą przy studni, umyto, obtarto zapaską pani Mann i dopiero potem przyprowadzono przed groźne oblicze pana Bumble.

Chłopczyna był blady, wychudły; twarz miał zapadniętą, oczy szerokie i duże. Lichy ubiór sieroty gminy, ta liberja nędzy i poniewierki, wisiała na wątłem ciele przestronnie, a drobne członki były suche, wynędzniałe, jak u starca.

Takie to małe stworzenie, drżąc na całem ciele, stało przed obliczem pana Bumble i nie śmiało oczu podnieść, lękając się nawet grzmiącego głosu woźnego.

— Czy nie możesz panu w oczy spojrzeć, ty krnąbrny chłopcze? — odezwała się pani Mann.

Chłopczyna podniósł lękliwie oczy do góry i spotkał się z wejrzeniem pana Bumble.

— Cóż ci brakuje, sieroto gminy? — zapytał Bumble dobrotliwie.

— Niczego, panie! — odpowiedziało dziecko.

— I ja tak myślę — potwierdziła pani Mann, śmiejąc się z niezwykłej żartobliwości woźnego. — Wiem nawet dobrze, że ci niczego nie brakuje.

— Chciałbym... — bąknął nieśmiało chłopczyna.

— A to co znowu? — przerwała pani Mann — może powiesz, że ci czegokolwiek u mnie niedostaje... No, mów... gadaj, ty mały bękarcie.

— Powoli, moja pani Mann... powoli! — powściągnął ją woźny, podnosząc rękę z urzędową powagą. — Mów, coś chciał powiedzieć!

— Chciałbym — wyjąkał chłopczyna — aby ktoś co umie pisać, napisał mi kilka słów na kawałku papieru, tę kartkę złożył, opieczętował i przechował u siebie po mojej śmierci.

— Co ten chłopiec mówi? — zawołał pan Bumble, na którym mizerny wygląd i powaga chłopczyny uczyniły niejakie wrażenie, chociaż do podobnego widoku był przyzwyczajony. — Co przez to rozumiesz, chłopcze?

— Chciałbym — odparł chłopczyna — zostawić po sobie pamiątkę mojej miłości do Oliwera Twista i zapewnić go o tem, że wiele razy płakałem nad nim, myśląc o jego samotnej wśród ciemnej nocy wędrówce. Chciałbym mu także powiedzieć — dodał, składając z przejęciem swe rączęta — iż bardzo rad jestem, że tak młodo umieram; gdybym bowiem miał umrzeć później, jako człowiek dorosły lub starzec, to mogłaby zapomnieć o mnie moja mała siostrzyczka, która dawno jest w niebie. Będzie daleko lepiej, gdy spotkamy się tam jako dzieci.

Pan Bumble zmierzył chłopczynę od stóp do głowy z niewypowiedzianem zdziwieniem i rzekł do pani Mann:

— Jak widzę, to wszyscy oni są jednacy, moja pani Mann. Ten ladaco, ten zuchwały Oliwer wszystkich zepsuł.

— Nigdybym się tego nie spodziewała, sir!—zawołała pani Mann, wznosząc ręce do góry i spoglądając

ze złością na Dika. — Jeszcze nigdy w mojem życiu nie widziałam takiego zuchwalca.

— Precz z nim, precz z moich oczu, moja pani Mann! — krzyknął pan Bumble rozkazująco. — Musimy o tem donieść naszym przełożonym, moja pani Mann!

— Spodziewam się, że panowie nie posądzą mię o winę w tym wypadku, sir! — rzekła pani Mann, płacząc z patosem.

— Bądź spokojna, moja pani Mann! Zostaną oni dokładnie powiadomieni o stanie rzeczy — odpowiedział pan Bumble. — Weź go! Nie mogę znieść jego widoku.

Dika wyprowadzono z izby i zamknięto w piwnicy. Wkrótce potem oddalił się pan Bumble, by przygotować się do podróży.

Nazajutrz, o godzinie szóstej zrana, pan Bumble zamienił swój urzędowy trójgraniasty kapelusz na okrągły, owinął się w szeroki, niebieski płaszcz z kapturem i usiadł na koźle wozu z budą, nazwanego przezeń szumnie powozem; pod budą zaś umieszczono owych dwuch zbrodniarzy, których miejsce urodzenia było przedmiotem wątpliwości sądowej.

Niebawem też przybył z nimi do Londynu, nie doświadczywszy w drodze żadnej przygody, prócz nieprzyjemności, sprawianych przez dogorywających cherlaków z domu Roboczego, którzy jęczeli całą drogę i uskarżali się na zimno w taki sposób, że panu Bumble, jak później oświadczył, zęby dzwoniły ze zgrozy i czuł się bardzo nieswojo, chociaż gruby płaszcz miał na sobie.

Odstawiwszy małych zbrodniarzy na noc na właściwe miejsce, pan Bumble rozgościł się sam w tym zajeździe, w którym woźnica stanął na popas, i kazał sobie podać bardzo skromny obiad, złożony z bef-

sztyku, sosu ostrygowego i porteru. Usiadł potem przy kominku, postawił szklankę z grokiem na murku i zaczął rozmyślać nad nikczemnością ludzi, którzy, nie będąc radzi z obcego społecznego ustroju, gorzko na niego się żalą. Wkońcu zabrał się do czytania gazet.

Zaraz też wpadło mu w oczy następujące ogłoszenie:

„P i ę ć f u n t ó w n a g r o d y"

„W ubiegły czwartek wieczorem zginął mały chłopiec, imieniem Oliwer Twist. Idąc z przedmieścia Pentoville do miasta, został zapewne zwabiony w zasadzkę, lub też uprowadzony gwałtem, gdyż odtąd nie otrzymano o nim żadnej wiadomości. Wyżej wymienione wynagrodzenie otrzyma każdy, ktoby mógł dać o nim wiadomość, wyjawić miejsce jego pobytu, lub wyjaśnić jego przeszłość, na czem wiele ogłaszającemu zależy."

Następował dokładny rysopis Oliwera, jego ubioru, powierzchowności, a wkońcu nazwisko i adres ogłaszającego, pana Brownlow.

Pan Bumble szeroko otworzył oczy, przeczytał ogłoszenie przynajmniej trzy razy od początku do końca i w pięć minut potem dążył do Pentoville, zapomniawszy nawet w podnieceniu o grogu, który zostawił nietknięty na murku.

— Czy pan Brownlow jest w domu? — zapytał dziewczyny, która otworzyła mu drzwi.

— Nie wiem dobrze... a skąd pan jesteś? — zapytała służąca wymijająco.

Zaledwie Bumble, chcąc usprawiedliwić swoje przybycie wymienił imię Oliwera, pani Bedwin, która podsłuchiwała pod drzwiami, wybiegła do sieni.

— Proszę... proszę! — zawołała. — Wiedziałam dobrze, że się raz przecież coś o nim dowiemy...

Biedny chłopczyna!... O tak!... Wiedziałam o tem dobrze!... Wielki Boże!... zawsze to mówiłam!

Poczem staruszka cofnęła się do swej izdebki i, rzuciwszy się na sofę, wybuchnęła płaczem. Służąca, która nie była tak tkliwa, pobiegła na górę zawiadomić o przybyszu pana Brownlow i powróciła niebawem, oznajmiając, że pan Brownlow czeka.

Wprowadzono woźnego do gabinetu z książkami, gdzie pan Brownlow i pan Grimwig siedzieli przy butelce wina.

Pan Grimwig, zobaczywszy pana Bumble, wykrzyknął:

— Woźny!... Woźny gminy Domu Roboczego! Jeżeli nie, to połknę moją głowę.

— Bądź tak dobry, mój przyjacielu, i nie przerywaj temu panu — odezwał się pan Brownlow. — Proszę, siadaj pan, panie woźny!

Bumble usiadł, cokolwiek zmieszany okrzykiem pana Grimwig. Pan Brownlow skierował tak światło lampy, że padało ono wprost na twarz pana Bumble i pozwalało dobrze ją obserwować; następnie zapytał z pewną niecierpliwością:

— Przychodzisz pan zapewne wskutek ogłoszenia?

— Tak panie! — odpowiedział Bumble.

— I jesteś pan woźnym... nieprawdaż? — zapytał Grimwig.

— Jestem woźnym gminy, moi panowie! — odparł Bumble z dumą.

— Oczywiście — rzekł p. Grimwig do przyjaciela po cichu — wiedziałem o tem dobrze. Woźny nad woźnemi.

Pan Brownlow ruchem głowy zalecił przyjacielowi milczenie i zapytał woźnego:

— Czy wiesz, gdzie znajduje się teraz ten biedny chłopiec?

— O tem nic nie wiem — odparł Bumble.

— Cóż więc wiesz o nim? Mów śmiało, mój przyjacielu, jeżeli masz co do powiedzenia.

— Zapewne nie wiesz o nim nic dobrego? — pochwycił pan Grimwig szyderczo, zbadawszy wprzód uważnie twarz pana Bumble.

Pan Bumble uroczyście skinął głową na znak potwierdzenia.

— Czy nie mówiłem? — zawołał pan Grimwig, spoglądając na pana Brownlow z triumfem.

Pan Brownlow spojrzał z niepokojem na woźnego i zażądał, by powiedział jak najzwięźlej wszystko, co tylko wie o Oliwerze.

Bumble odłożył kapelusz na bok, odpiął surdut, założył ręce, przegiął wtył głowę, jak człowiek, który szuka czegoś w pamięci, i po chwili głębokiego namysłu rozpoczął opowiadanie.

Treścią tej nużącej gadaniny, która trwała dwadzieścia minut, było to, że Oliwer jest sierotą, dzieckiem rozpustnych i występnych rodziców, że od urodzenia zdradzał cechy niewdzięcznego, przewrotnego i złośliwego chłopca, a dowiódł tych złych skłonności, napadając po zbójecku na niewinnego chłopca, następnie zaś uciekając z domu nocą od swego majstra. Wkońcu, chcąc przekonać słuchaczy, iż rzeczywiście jest woźnym gminy, pan Bumble rozłożył na stole papiery, które przywiózł ze sobą do Londynu, i oczekiwał dalszych badań pana Brownlow.

— Lękam się, że to wszystko jest prawdą — mruknął zgnębiony pan Brownlow, przejrzawszy papiery. — Masz tu przyrzeczoną nagrodę. Zaiste, byłbym ci najchętniej dał trzy razy więcej, gdyby twoje wiadomości były dla tego chłopca nieco pomyślniejsze.

Prawdopodobnie, pan Bumble byłby nadał cokolwiek inną barwę swemu opowiadaniu, gdyby wie-

dział wcześniej o zamiarach pana Brownlow. Ale teraz było już za późno na przeistaczanie faktów; wstrząsnął przeto głową z powagą, pieniądze schował do kieszeni i, pożegnawszy staruszka, oddalił się z godnością.

Pan Brownlow przechadzał się czas jakiś po pokoju tak zgnębiony opowiadaniem woźnego, że nawet pan Grimwig nie śmiał z niego szydzić. Nakoniec stanął i silnie pociągnął za dzwonek.

— Pani Bedwin — rzekł do gospodyni, która weszła do pokoju — Oliwer, to kłamca i oszust!

— To nie może być, drogi panie... to nie może być — zaprzeczyła śmiało staruszka.

— Ale ja powiadam, że tak jest — powtórzył pan Brownlow. — Co ty sobie myślisz z twojem: „To nie może być"?... Przed chwilą poznaliśmy dokładnie całą jego przeszłość — i dowiedzieliśmy się, że od samego urodzenia był przewrotnem stworzeniem.

— Nigdy temu nie uwierzę — zaprzeczyła znów staruszka.

— Stare kobiety nigdy nikomu nie wierzą, chyba kuglarzom lub bajczarzom! — zawołał Grimwig z gniewem. — Ja już dawno o tem wiedziałem. Nie chcieliście z początku słuchać mojej rady; bylibyście jednak mię usłuchali, gdyby chłopiec nie miał był gorączki, nieprawdaż, co? — Był to bowiem rozczulający widok! Nieprawdaż?... Rozczulający!... Ba!...

— Był to miły, grzeczny, skromny i wdzięczny chłopczyna, sir — upierała się pani Bedwin z oburzeniem. — Znam ja dzieci dobrze, sir!... Obcuję z niemi przez lat czterdzieści, mogłam nabrać doświadczenia, a ludzie, którzy o sobie tego powiedzieć nie mogą, nie powinni w tej mierze sądu wydawać... Takie jest moje zdanie, sir.

Cios ten był najwyraźniej wymierzony pod adresem pana Grimwig, który dotychczas był kawale-

rem; ponieważ jednak nie wywarł pożądanego skutku a wywołał jedynie uśmiech atakowanego, przeto pani Bedwin zamierzała wystąpić z nową przemową, którą udaremnił przecież pan Brownlow.

— Dość tego! — rzekł staruszek, udając gniew, którego wcale nie czuł. — Nie chcę od tej chwili słyszeć o tym chłopcu. Proszę o tem pamiętać, pani Bedwin... Nie chcę słyszeć nigdy... nigdy... pod żadnym pozorem... A teraz możesz pani odejść, pani Bedwin... Mówię to poważnie.

Tego wieczoru smutno było w domu pana Brownlow. Ale smutno też było w sercu Oliwera, gdy pomyślał o swoich dobrych, kochanych przyjaciołach. Szczęściem, że nie wiedział, co oni o nim usłyszeli, gdyż byłoby mu z pewnością serce pękło z rozpaczy.

Rozdział osiemnasty.

Jak Oliwer spędzał czas w budującem towarzystwie swych zacnych przyjaciół.

Gdy Smyk i Karolek Bates udali się nazajutrz po obiedzie na zwykłą wyprawę, Fagin skorzystał z pomyślnej chwili i zaczął Oliwerowi prawić długie kazanie na temat, jak wielkim grzechem jest niewdzięczność; przyczem wytłomaczył mu jasno i dobitnie, że on właśnie dopuścił się tego grzechu, opuszczając dobrowolnie swoich troskliwych przyjaciół, oraz chcąc wczoraj od nich znów uciec i wołać przeciw nim o pomoc, zapominając zupełnie, ile ponieśli kosztów i zachodów, zanim zdołali go odnaleźć i do siebie sprowadzić.

Fagin szczególniej kładł nacisk na to, że przyjął Oliwera i żywił wtedy, kiedy chłopiec, będąc zupełnie opuszczonym, mógł był umrzeć na ulicy z głodu, gdyby Fagin nie użyczył mu był przytułku. Opowiedział mu przytem bardzo smutną i rozczulającą powiastkę

o pewnym młodym chłopcu, którego również w takiem samem położeniu, z czystej miłości bliźniego do siebie przyjął, a który pożniej zdradził jego zaufanie i wszedł w bliższe stosunki z policją. Ta zdrada jednak pociągnęła za sobą bardzo złe skutki, pewnego poranku bowiem został on przed więzieniem Old Bailey powieszony.

Fagin nie taił przed Oliwerem zupełnie, że się przyczynił do tak smutnego końca nieszczęśliwego chłopca; ze łzami w oczach jednak zapewniał go, że do tak bolesnego kroku zmusiło go zdradzieckie postępowanie samego chłopca; przysięga nie była zupełnie zgodna z prawdą, ale przecież nieodzowna ze względu na bezpieczeństwo jego, Fagina, oraz kilku wybranych przyjaciół.

Fagin zakończył swoje opowiadanie odrażającym obrazem niemiłej śmierci na szubienicy; wreszcie wyraził najszczerszą nadzieję, iż nie będzie chyba nigdy zmuszony narażać Oliwera na tak nieprzyjemną operację.

Oliwerowi krew ścinała się w żyłach, gdy słuchał mowy Żyda; okropne zawarte w niej groźby niezupełnie, ale przecież w znacznej mierze pojmował.

Że sądy pomylić się mogą przy rozpatrywaniu sprawy i zamiast winnego mogą ukarać niewinnego, tego niedawno sam na sobie doświadczył. Ale stało mu się też jasne, że Żyd zgubił podstępnie niejednego już człowieka, jeżeli ten wiedział coś więcej niż powinien był wiedzieć, lub też jeżeli udzielił pewnych wiadomości pewnym osobom z większą gotowością, niż pozwalała mu na to roztropność i bezpieczeństwo towarzystwa.

To przypuszczenie nabrało jeszcze więcej cech prawdopodobieństwa, gdy przypomniał sobie treść i istotę częstych sprzeczek Fagina z Bilem Sikes;

Sikes bowiem wymawiał Żydowi otwarcie tego rodzaju intrygi.

Gdy podniósł bojaźliwie oczy do góry i spotkał się z przenikliwem spojrzeniem Żyda, poznał, że stary złoczyńca widzi drżenie jego członków i bladość twarzy i że jest z tego zadowolony.

Wreszcie Żyd uśmiechnął się obleśnie, poklepał Oliwera po głowie i nadmienił, że zostaną z pewnością dobrymi przyjaciółmi, o ile tylko Oliwer będzie się spokojnie zachowywał i weźmie się szczerze do pracy. Potem włożył kapelusz na głowę, wdział stary, połatany surdut i wyszedł, zamknąwszy starannie drzwi za sobą.

I tak Oliwer i ten dzień i wiele następnych siedział samotnie w zamknięciu, oddany własnym myślom, które biegły wciąż do zacnych, dobrych przyjaciół i obracały się koło tej jednej smutnej myśli, koło złego wyobrażenia, jakie przyjaciele o nim, o Oliwerze, powziąć musieli.

Po kilku tygodniach, Żyd nie zamykał więcej drzwi na klucz i Oliwerowi wolno było przechadzać się po całym domu.

Dom był bardzo zaniedbany. Pokoje na piętrze, czarne od brudu i kurzu, miały przecież szerokie podwoje, wysokie gzymsy, ściany i stropy ozdobione.

Oliwer wywnioskował z tego wszystkiego, iż dom ten musiał należeć ongi do ludzi majętnych, a wówczas zapewne o tyle był piękny i wesoły, o ile teraz brudno i ponuro wyglądał.

Pająki rozpostarły siatki po wszystkich kątach ścian i stropu, a gdy Oliwer wchodził po cichutku do której izby, widział zwykle myszy, przerażone szmerem jego kroków i uciekające szybko do swoich jamek.

Prócz tych stworzeń, nie było w domu żadnej innej żyjącej istoty i zdarzało się często, iż Oliwer,

znużony wędrówką z izby do izby, sadowił się o zmroku w kąciku przy drzwiach od ulicy, aby być, o ile możności, najbliżej ludzi, i przepędzał tam całe godziny, czekając dopóki Żyd, lub też który z jego wychowanków nie wróci do domu.

We wszystkich pokojach okiennice były pozamykane, a żelazne sztaby, które je trzymały, przymocowane mocnemi śrubami do drzewa. Światło dzienne przedzierało się do tych pokojów jedynie przez małe, u góry okiennice powyrzynane otwory, co nadawało posępny wygląd mieszkania i napełniało je fantastycznemi cieniami.

Jedno tylko okienko w dachu nie miało okiennic, ale obwarowane było mocną żelazną kratą. Oliwer często przepędzał przy niem całe godziny, chociaż nic nie mógł widzieć, prócz gęsto stłoczonych dachów, sczerniałych kominków i ostrych szczytów.

Spostrzegał wprawdzie niekiedy jakąś siwiejącą głowę, wychylającą się z poza ściany pobliskiego domu, lecz głowa ta znikała zwykle szybko. Okno, które służyło Oliwerowi za obserwatorjum, było z zewnątrz przybite gwoździami, sczerniałe od dymu i deszczu tak, że biedny chłopczyna mógł widzieć przez nie tylko niewyraźne kształty różnych przedmiotów i nie marzył nawet o tem, aby jego ktokolwiek bądź widział lub słyszał, co było zresztą niepodobieństwem.

Pewnego dnia Smyk i Bates wrócili popołudniu do domu, i przygotowywali się do wieczornej wycieczki; pierwszy z nich postanowił zakrzątnąć się nieco koło przystrojenia swej osoby (trzeba być sprawiedliwym i przyznać, że nie było to naogół jego słabostką), a powziąwszy to niezwykłe postanowienie, rozkazał łaskawie Oliwerowi, aby mu w wykonaniu dopomógł.

Oliwer zbyt był rad, że może się komuś przysłużyć; zbyt szczęśliwy nawet, że popatrzy dłużej na twarze ludzkie, choćby najszpetniejsze; zbyt spragniony wreszcie tego, by żyć w zgodzie z otoczeniem, aby się temu żądaniu sprzeciwiać. Oświadczył tedy swoją gotowość i, klęknąwszy na ziemi tak, by dosięgnąć ręką nóg Smyka — Smyk bowiem usiadł na stole — zabrał się do zatrudnienia, które Dawkins nazywał glansowaniem chodaków, my zaś nazwiemy po prostu czyszczeniem obuwia.

Niewiadomo, czy to wskutek poczucia swobody i niezależności, którego doznawać musi każde rozumne stworzenie, gdy usiądzie wygodnie na stole i, paląc fajkę, kołysze nogą, przez ten czas zaś ma buty wyczyszczone bez zadawania sobie nieprzyjemnej pracy, aby je z nóg zdejmować, i bez przykrej obawy, iż trzeba będzie je wdziewać; czy też wskutek działania tytoniu, łagodzącego zwykle usposobienie; czy nakoniec wskutek przyjemnego działania piwa, wzniecającego błogie myśli: dość, że w tej chwili Smyk okazał pewnego rodzaju roztkliwienie, nie leżące naogół w jego naturze.

Spoglądał czas jakiś na Oliwera w zamyśleniu, poczem podniósł głowę do góry, głęboko westchnął i mruknął napoły do siebie, napoły do Karola Batesa.

— Jaka szkoda, że on nie jest strzelcem.

— Ba! — pochwycił Karolek Bates — on nawet nie wie, co jest dla niego dobre.

Smyk westchnął raz jeszcze i włożył fajkę do ust; Karolek poszedł za jego przykładem i obaj siedzieli przez kilka chwil w milczeniu.

— Zdaje się, że ty nawet nie wiesz, co to jest strzelec? — odezwał się Smyk ponuro.

— Zdaje mi się, że wiem... — odpowiedział Oliwer, spojrzawszy do góry. — Jest to złodziej... A ty jesteś nim... nieprawdaż?

— Tak, jestem — odparł Smyk — i nie chciałbym nigdy być czem innem.

Wypowiedziawszy to, pan Dawkins podrzucił kapelusz na głowie i spojrzał na Karolka z takim wyrazem, jakby żądał zaprzeczenia.

— Tak, jestem nim! — powtórzył — i Karolek jest nim także, i Fagin, i Sikes, i Nancy, i Betsy: my wszyscy jesteśmy złodziejami, nie wyłączając nawet psa, który, mówiąc prawdę, nie jest z nas wszystkich najgłupszy...

— I najmniej z nas wszystkich ma skłonności do zdrady — dodał Karolek Bates.

— On nawet wszelkich świadków unika, którzyby go mogli pociągnąć do sądu, a z pewnością nie zdradzi nikogo, choćby go przez cały miesiąc w więzieniu trzymano — potwierdził Smyk.

— To prawda... wielka prawda! — przyznał Karolek Bates.

— Dzielny pies!... Jak on gniewnie spogląda na każdego obcego, zwłaszcza jeżeli ten ktoś zbyt się śmieje lub śpiewa! — ciągnął dalej Smyk. — Jak on warczy, jeżeli gdziekolwiek muzykę usłyszy... Wszystkich obcych psów nienawidzi... Tak, tak.

— To prawdziwy gentlemen! — dodał Karolek.

— Prawda!... Rzetelna prawda! — potwierdził znów Smyk, i wracając do przedmiotu, od którego zaczęła się rozmowa, zauważył z przytomnością umysłu, cechującą ludzi tego pokroju:

— Szczera prawda, ale to niema nic wspólnego z tym zieleniakiem!

— Niema — odparł Karolek. — Dlaczegóż się nie chcesz uczyć u Fagina, Oliwerze? — zapytał nagle.

— I zapewnić sobie szczęśliwą przyszłość? — dodał Smyk z szyderczym uśmiechem.

— Bo mi się to zatrudnienie wcale nie podoba — odrzekł Oliwer nieśmiało. — Jabym wolał wydostać się stąd... Bardzo pragnę stąd się wydostać.

— Ale Fagin wcale tego nie pragnie! — odparł na to Karolek.

Oliwer dobrze o tem wiedział. Przeczuwając jednak, że niebezpiecznie byłoby dla niego zwierzać się ze wszystkiem, co myślał i czego pragnął, westchnął tylko głęboko i zabrał się znowu do czyszczenia butów.

— Idź! — zawołał Smyk. — Ale czy ty nie masz ani krzty odwagi?... Czy zupełnie straciłeś ambicję? Chcesz pójść i żyć ciągle w zależności od swoich przyjaciół? Co?

— O, barania głowo! — rzekł Bates, wydobywając kilka jedwabnych chustek z kieszeni i rzucając je do skrzyni — patrz, czy to jeszcze mało dla ciebie?

— Jabym nigdy tego nie uczynił — zauważył Smyk z wyrazem najwyższej pogardy.

— Ale możesz opuszczać przyjaciół i pozwalać, aby ich karano za to, co sam zbroisz! — rzekł Oliwer z uśmiechem.

— Uczyniłem to jedynie ze względu na Fagina — odparł Smyk, pykając fajką. — Policja wie, że my zawsze mamy z nim do czynienia. Moglibyśmy mu zatem przysporzyć kłopotu, gdybyśmy nie byli natychmiast uciekli. Wszak to było powodem, nieprawdaż Karolku?

Bates potwierdził skinieniem głowy i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale, przypomniawszy sobie ucieczkę Oliwera, znów wybuchnął szalonym śmiechem; ponieważ zaś jednocześnie zakrztusił się dymem fajki, więc zaczął kasłać i prychać i parę minut upłynęło, zanim przyszedł do siebie.

— Patrz! — mówił tymczasem Smyk do Oliwera, wyjmując z kieszeni pełną garść szylingów

i pensów — to się nazywa piękne życie... Co mnie obchodzi, do pioruna, skąd te pieniądze pochodzą? Masz, bierz, ile chcesz!... Gdy ich zabraknie, wiemy gdzie można znaleźć nowy zapas. Nie chcesz?... Oj ty poczciwy głupcze!...

— To grzech, Oliwerze, nieprawdaż? — drwił Karolek Bates. — Gotowi za to połechtać, nieprawda?

— Nie rozumiem, co to znaczy... — szepnął Oliwer, spoglądając trwożliwie dokoła.

— Zaraz ci wytłomaczę — rzekł Karolek.

Mówiąc to, podniósł w górę jeden róg swej chustki, i trzymając go w powietrzu, zwiesił głowę na ramię i wyrzucił przez zęby dziwny dźwięk jakiś. Wszystko razem, poparte mimiką, miało dać do zrozumienia, że wyrazy łechtać i wieszać znaczą jedno i to samo.

— Wytłomaczyłem ci jasno i dokładnie — dodał Karolek. — Spojrzyjno Jakóbie na niego! Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiego głuptasa. On mię jeszcze kiedy przyprawi o śmierć ze śmiechu... Jestem przekonany, że tak będzie!

To rzekłszy, Karolek Bates znów do łez śmiać się zaczął.

— Bardzo źle cię wychowano — odezwał się Smyk, spoglądając z wielkiem upodobaniem na swoje buty, które mu Oliwer wyczyścił. — Spodziewam się jednak, że Fagin zrobi z ciebie coś dobrego... Zawsze mu się to udaje, a ty chyba nie będziesz wyjątkiem. Im prędzej weźmiesz się do rzemiosła, tem lepiej będzie dla ciebie, Oliwerze... Upewniam cię, że się do niego wziąć musisz, nawet rychlej niż myślisz. Zwlekając, czas tylko marnujesz.

Bates poparł tę radę różnemi moralnemi uwagami, zaczerpniętemi z własnego życia, a gdy zbrakło wątku, zaczął Oliwerowi wraz z swoim przyjacielem, panem Jakóbem Dawkins, kreślić zachwycający

obraz rozkoszy, jakie są bardzo często udziałem ich życia, dodając do tego obrazu wiele wskazówek i dobrze im znanych sposobów, zapomocą których usiłowali Oliwera przekonać, że nic lepszego uczynić nie może, jak zyskać sobie niezwłocznie łaski i poparcie samego Fagina.

— A teraz zapisz to sobie za uchem — dodał głośniej Smyk, usłyszawszy, że Fagin otwiera drzwi od pierwszej izby. — Jeżeli nie będziesz chwytał bekasów i turkawek...

— Poco przemawiać do niego w ten sposób? — wtrącił Karolek Bates. — Wszak wiesz, że on tego nie zrozumie.

— Więc jeżeli ty nie wyciągniesz chustki od nosa i zegarka — poprawił Smyk, zniżając się do umysłowego poziomu Oliwera — to kto inny to uczyni, i pomyśl, ile stracą na tem same przedmioty, i ci, którym one zostaną odebrane, i ty wreszcie... A skorzystają z tego jedynie ci, którzy te przedmioty zagarną dla siebie... A przecież i ty masz takie same prawo do nich, jak oni!

— To prawda!... To prawda! — potwierdził Żyd, który się wsunął do izby tak nieznacznie, że go Oliwer nie spostrzegł. — Całe tłomaczenie zmieści się w łupinie od orzecha. Wierz słowom Smyka!... Wierz mu!... Ha, ha, ha! On zna bardzo dobrze katechizm swego rzemiosła!

Starzec zacierał ręce z zadowoleniem, współdziałając jakby w rozumowaniu Smyka i śmiejąc się z bystrości i pojętności ucznia.

Nie prowadzono jednak dalej dysputy, gdyż Żyd wrócił do domu w towarzystwie Betsy, a przytem w izbie zjawił się młodzieniec, którego Oliwer dotąd jeszcze nie widział, a którego Smyk powitał jako Tomasza Chitling.

Pan Chitling był starszy od Smyka, mógł mieć lat osiemnaście, w stosunku do Smyka jednak okazywał nadzwyczajne uszanowanie, co stanowiło dowód, iż pod względem przebiegłości i zręczności we wspólnem rzemiośle czuł się daleko niższym od niego.

Miał małe, bystre oczy, twarz dziobatą, na głowie futrzaną czapkę, jako ubranie czarny skórzany spencer, szare dreliszkowe spodnie i fartuch.

Przyznać trzeba, że ubiór jego znajdował się w nienajlepszym stanie, lecz usprawiedliwił się sam przed zacnem towarzystwem, mówiąc, iż „jego czas dopiero co minął“, a ponieważ był zmuszony przez całe sześć tygodni nosić rządową odzież, przeto nie mógł o swojej prywatnej pamiętać.

Dodał przytem z niemałem oburzeniem, że nowy sposób odkażania odzieży w zakładach karnych urąga wszelkim zasadom konstytucji jako że wypala dziury w ubraniu... Tę uwagę można było także zastosować do nowowprowadzonego sposobu strzyżenia włosów.

Chitling zakończył swoje zwierzenia zapewnieniem, iż przez całe czterdzieści dwa dni, niewymownie długich i przykrych, nie skosztował ani kropelki niczego wzmacniającego; prosił tedy o cokolwiek do przepłukania gardła, które mu wyschło, jak pergamin.

— Jak sądzisz, Oliwerze, skąd on wraca? — zapytał Żyd z szyderczym uśmiechem, podczas gdy chłopcy przynieśli flaszkę z wódką.

— Ja... ja... ja nie wiem, panie! — odpowiedział Oliwer.

— Kto to jest? — zapytał Tomasz Chitling, rzuciwszy pogardliwe spojrzenie na Oliwera.

— Mój nowy przyjaciel! — odparł Żyd.

— Jeżeli tak, to jest na dobrej drodze! — zadecydował Tomasz Chitling, porozumiawszy się wzrokiem z Faginem. — Niech cię to jednak nie obchodzi, mój przyjacielu, skąd powracam — bądź pe-

wien, że znajdziesz niebawem drogę do tego miejsca. Mogę się o to założyć!

Ten dowcip ubawił chłopców, którzy, pożartowawszy jeszcze na ten temat, poszeptali z Faginem przez chwilkę i wkrótce opuścili izbę.

Po odejściu młodzieńców, Fagin wziął Tomasza Chitling na stronę i zamienił z nim kilka słów; poczem przysunęli obaj krzesła bliżej do ognia, a Żyd, zawoławszy Oliwera, kazał mu obok usiąść i zwrócił rozmowę na bardziej zajmujące tematy.

Prawił tedy o wielkich korzyściach ich rzemiosła, o przebiegłości Smyka, o bystrości Karolka Bates, nakoniec o swojej własnej wspaniałomyślności.

Wkońcu rozmowa zaczęła zdradzać oznaki wyczerpania tematu zarówno ze strony Żyda jak i Chitlinga; tygodniowy pobyt w Domu poprawy bardzo wyczerpuje... — Betsy pożegnała się i odeszła, aby im w wypoczynku nie przeszkadzać.

Odtąd rzadko kiedy zostawiono Oliwera samego, natomiast starano się, aby jak najczęściej obcował z dwoma młodzieńcami, którzy codziennie bawili się z Żydem w starą grę — czy zaś czynili to dla własnego ćwiczenia, czy też dla nauki Oliwera, o tem Fagin jedynie wiedział.

Czasami Żyd opowiadał Oliwerowi rozmaite zdarzenia z własnego swego życia, historje złodziejstw, których sam w młodszych latach dokonywał, urozmaicając wszystko tak ciekawie i zabawnie, że Oliwer nie mógł wstrzymać się od śmiechu. Słowem, stary łotr złowił chłopca w swoje sidła; trzymając go naprzód samotnie w ponurej, brudnej izbie, doprowadził sierotę do tego, że zaczął on garnąć się do najgorszego towarzystwa; jednocześnie zaś wsączał w duszę kropla po kropli jad, który, według jego oczekiwania, musiał ją zbrukać i raz na zawsze inną nadać barwę.

Rozdział dziewiętnasty,

w którym dobry pomysł omówiony i zdecydowany.

Była noc zimna, mglista i wietrzna, kiedy Żyd wymknął się ze swego mieszkania, otuliwszy swą wyschłą postać szerokim surdutem, którego kołnierz podniósł aż po uszy, chcąc widocznie zasłonić dolną część twarzy. Zatrzymał się chwilkę na progu, dopóki drzwi za nim nie zamknięto i nie zatarasowano; dopiero, gdy się przekonał, że chłopcy wszystko zabezpieczyli i oddalili się tak, że stąpania ich po schodach ucichły zupełnie — dopiero wtedy puścił się ulicą i mknął jak tylko mógł najspieszniej.

Dom, w którym więziono Oliwera, znajdował się w sąsiedztwie Whitechapel. Żyd, doszedłszy do rogu ulicy, zatrzymał się chwilę, rozejrzał bacznie na wszystkie strony, przebiegł na drugą stronę i skierował się ku Spitalfields.

Gruba warstwa grząskiego błota zalegała ulice, a sina mgła unosiła się nad domami. Rosił deszczyk drobny, przejmując wszystko zimnem i wilgocią.

Była to noc, sprzyjająca wycieczkom ludzi tej kategorji, do której Żyd należał.

Stary łotr, przebiegający ulice, przekradający się ostrożnie tuż przy domach i bramach, przypominał potwornego gada, wylęgłego wśród tego błota i ciemności i wypełzającego nocą z nory na żerowisko.

Długo biegł w ten sposób i minął wiele krętych i wąskich ulic, zanim doszedł do Bethnal-Green; zwróciwszy się potem na lewo, zapuścił się w labirynt jeszcze bardziej plugawych zaułków, w jakie obfituje ta gęsto zaludniona część miasta.

Żyd snać doskonale był obeznany z terenem, przez który przechodził, bo kroczył pewnie i śmiało, mimo ciemności nocy i gmatwaniny ulic. Nakoniec znalazł się w zupełnie ciemnym zaułku, oświetlonym gdzieś na przeciwległym końcu jedną tylko latarnią.

Tu zatrzymał się przy drzwiach zrujnowanego domu i zapukał; poczem, zamieniwszy kilka słów z osobą, która drzwi otworzyła, wszedł na schody.

Pies zawarczał w izbie, gdy Żyd dotknął klamki od pokoju, a męski głos zapytał z wewnątrz mieszkania:

— Kto tam?

— To ja, Billu, to ja! — odparł Żyd, wsunąwszy głowę przez drzwi.

— Wsuńże i twoje cielsko — zawołał Sikes. — A będziesz ty cicho, głupie zwierzę! — Czy nie poznajesz djabła dlatego, że ma na sobie inny surdut?

Widocznie zmiana w powierzchowności Fagina musiała psa w błąd wprowadzić, gdyż skoro Żyd zdjął surdut i zawiesił go na poręczy krzesła, pies natychmiast wrócił do swego kąta, machając ogonem, jakby chcąc przez to okazać, że jest z poznania gościa o tyle zadowolony, o ile to się zgadza z jego naturą.

— Jak się masz, stary djable? — rzekł Sikes.

— Dobrze, mój drogi — odparł Żyd. — A!... Nancy!...

Ostatnie powitanie było wypowiedziane z pewnem zmieszaniem, okazującem wątpliwość, czy dobrze zostanie przyjęte; Fagin bowiem nie widział się z Nancy od czasu, kiedy ona tak gorąco ujęła się za Oliwerem.

Lecz zachowanie się dziewczyny rozproszyło odrazu wszelkie wątpliwości. Zaledwie ujrzała Żyda, wskazała mu zaraz miejsce przy kominku, prosząc, aby usiadł i ogrzał się, bo noc była zimna.

— Rzeczywiście, bardzo zimna, droga Nancy — potwierdził Żyd, grzejąc chude i skostniałe ręce przy ogniu — aż człowieka przeszywa naskroś — dodał, przykładając dłoń do boku.

— Musiałaby być jednak o wiele ostrzejsza, żeby mogła przeszyć twoje serce — zauważył Sikes. — Daj mu się czego napić, Nancy. Tylko prędko! Człowiekowi robi się mdło, gdy patrzy, jak ten starzec drży na całem ciele, niby duch, co dopiero ze swego zimnego grobu wylazł.

Nancy przyniosła butelkę z szafki, która zawierała w sobie znaczną ilość butelek różnego kształtu a więc prawdopodobnie i różnorakiej zawartości. Sikes, nalawszy pełny kieliszek, podał go Żydowi, zapraszając, aby się pokrzepił.

— Dosyć, dosyć, kochany Billu! Dziękuję ci, dziękuję! — odparł Żyd, odsuwając kieliszek, którego zaledwie dotknął ustami.

— Cóż to, czy się obawiasz, żebyśmy z ciebie czegoś nie wyłudzili? — zawołał Sikes, wlepiwszy w niego swoje oczy. — Uf!

I mruknąwszy coś z pogardą, chwycił kieliszek, wylał resztę zeń w popiół, poczem napełnił go dla siebie samego.

Gdy Sikes łykał już wódkę po raz drugi, Żyd rozglądał się po izbie, a czynił to wcale nie z ciekawości, bo nieraz już ją widział, ale powodowany wrodzoną podejrzliwością.

Była to izba nędznie umeblowana, wyglądająca na mieszkanie robotnika. Jedynie kilka żelaznych drążków, stojących w kącie i t. zw. zabezpieczyciel życia, leżący na murku kominka, mogły budzić pewne podejrzenia co do rodzaju zajęcia jej mieszkańców.

— Teraz — odezwał się Sikes, mlasnąwszy ustami — jestem gotów.

— Do pogadanki o naszych sprawach, co? — zapytał Żyd.

— Tak jest. Mów, co mi przynosisz.

— O sprawie w Chertsey, Billu, co? — zagadnął znów Żyd, przysuwając się z krzesłem i mówiąc cichym głosem.

— Tak, o tej sprawie — badał Sikes.

— Przecież wiesz, co ja o niej myślę — mówił Żyd.

— On wie, co ja myślę, nieprawdaż, droga Nancy?

— Nic nie wie! — podchwycił Sikes szyderczo — albo nie chce wiedzieć, co na jedno wychodzi. Mów otwarcie, nazywaj rzeczy po imieniu, a nie rozprawiaj ze mną na migi, mrugi i jakieś tam znaki. — Nie pierwszy to raz mówisz ze mną o rabunkach... Co ty sobie wogóle myślisz?

— Cicho Billu, cicho! — upomniał go Żyd, usiłując naprożno opanować wybuch bandyty; — mógłby nas kto podsłuchać, mój drogi!

— A niech sobie słucha! — odparł Sikes — ja niewiele dbam o to.

Prawdopodobnie jednak Sikes bardzo dbał o to, bo zaraz ochłonął i ostatnie słowa wypowiedział już znacznie ciszej.

— Widzę, że wziąłeś moją przestrogę do serca, mój drogi — odezwał się Żyd z przymileniem. — Uczyniłem ją jedynie z przezorności... A teraz, mój drogi, pomówmy o rabunku w Chertsey. Kiedyż się do niego zabierzesz, Billu, co?... Kiedyż zostanie wykonany? Tyle srebra, mój drogi, tyle srebra!

Żyd mówił to i, zacierając ręce, podnosił gęste brwi do góry, smakując już naprzód całą sprawę.

— Z tego nic nie będzie — odpowiedział Sikes zimno.

— Jakto... z tego nic nie będzie? — powtórzył Żyd, przechylając się na krześle.

— A tak, nic! — rzekł Sikes. — Nie mogliśmy znaleść wspólnika w domu, tak jakeśmy się spodziewali.

— Musieliście się chyba bardzo niezręcznie brać do rzeczy — mruknął Żyd, blady ze złości. — Więcej o tem nie chcę słyszeć!

— A ja chcę, żebyś słyszał! — zawołał Sikes. — Kto ty jesteś, że nie możesz słuchać? Mówię ci, że Tobiasz Crackit snuł się koło domu przez całe dwa tygodnie a jednak nie mógł złowić nikogo ze służby.

— Chcesz we mnie wmówić, Billu — rzekł Żyd, stając się tem łagodniejszy, im bardziej wzmagało się uniesienie jego towarzysza — chcesz wmówić, że żaden z owych dwuch służących nie dał się przekupić.

— Tak jest... to właśnie chciałem ci powiedzieć — odparł Sikes. — Oni już dwadzieścia lat służą u swej starej pani i żaden się jej nie sprzeniewierzy, choćby mu pięćset funtów dawano.

— A, mój Billu drogi, czyście myśleli o kobietach? — zapytał Żyd — czy i kobiet przekupić nie można?

— Ani marzyć o tem — odparł Sikes.

— Nawet i przez naszego dzielnego Tobiasza Crackit? — nalegał Żyd niedowierzająco. — Pamiętaj Billu, czem są wogóle kobiety!

— Nawet i przez Tobiasza Crackit — odpowiedział Sikes. — Mówił, że, myszkując tam, miał nawet przyprawione faworyty i kanarkową kamizelkę, ale i to nic nie pomogło.

— Powinien był sobie przyprawić wąsy i przywdziać żołnierskie spodnie — rzekł Żyd.

— On próbował i tego, ale i ten sposób nie okazał się skuteczniejszy.

Wiadomość ta zmartwiła Żyda; opuścił brodę na piersi i żuł przez chwilę dolną szczękę; wreszcie podniósł głowę, westchnął głęboko i oświadczył, że trzeba sobie tę sprawę zupełnie z głowy wybić, skoro taki zuch, jak Tobiasz Crackit, wątpi w jej powodzenie.

— A jednak — dodał, oparłszy ręce na kolanach — smutna to rzecz wyrzekać się tego, do czego nasze serca już tak mocno przylgnęły.

— To prawda — odpowiedział Sikes — to bardzo przykro.

Po tej rozmowie nastąpiła chwila długiego milczenia.

Żyd zamyślił się głęboko, a twarz jego przybrała wyraz prawdziwie szatański. Sikes spoglądał na niego ukradkiem. Nancy, lękając się widocznie rozgniewać bandytę, siedziała przy kominku z oczyma wlepionemi w ogień, tak jakby była zupełnie głucha na wszystko, co się koło niej działo.

— Faginie! — odezwał się wkońcu Sikes — czy zarobię pięćdziesiąt papierków extra, jeżeli się to bezpiecznie da przeprowadzić?

— Tak! — zawołał Żyd, zerwawszy się nagle.

— Zatem zgoda?

— Zgoda, zgoda!... Mój drogi! — potaknął Żyd, chwytając towarzysza za rękę.

Oczy jego błyszczały, przyczem każdy muskuł twarzy drżał ze świeżego wzruszenia.

— Skoro tak — rzekł Sikes, odsuwając z pewną pogardą rękę Żyda — to możemy się do tego zabrać, kiedy tylko zechcesz; im prędzej, tem lepiej! Ja i Tobiasz zwiedziliśmy ogród przedwczoraj w nocy, zbadaliśmy dokładnie ściany, drzwi i okiennice. Dom wprawdzie jest zatarasowany na noc, jak więzienie, ale ja odkryłem miejsce, przez które można będzie się dostać bezpiecznie i bez hałasu.

— Którędy? — zapytał Żyd skwapliwie.

— Którędy? Kiedy przejdziesz przez trawnik — szepnął z cicha Sikes.

— Przez trawnik? — pytał Żyd, wyciągając głowę naprzód i wytrzeszczając oczy tak mocno, że się zdawało, iż mu na wierzch wyskoczą.

— Hm! — mruknął Sikes i przerwał nagle, gdy dziewczyna poruszyła głowę i, rozglądając się dokoła, utkwiła na chwilę wzrok w twarzy Żyda. — Nie troszcz się o to. I tak beze mnie nic nie zrobisz, a zawsze mieć się lepiej na baczności, gdy się ma z tobą do czynienia.

— Jak ci się podoba, mój przyjacielu — odpowiedział Żyd. — Czy do tej roboty, prócz ciebie i Tobiasza, nikogo więcej nie potrzeba?

— Nie — odpowiedział Sikes — prócz okrągłej piłki i małego chłopca. Pierwszą mamy, a o drugiego ty musisz się wystarać.

— Chłopca? — zawołał Żyd. — A zatem tam muszą być drzwi szklane, nieprawdaż?

— Niech będzie, co chce — odparł Sikes; — potrzeba nam chłopca i koniec, ale ten musi być mały i szczupły... Do pioruna! — dodał z zamyśleniem — gdybym miał teraz owego chłopca od kominiarza, Edwarda, który dbał umyślnie o jego szczupłość, aby móc go nam wynajmować! Ale cóż, kiedy starego schwytano i wsadzono, a Towarzystwo Opieki nad nieletniemi zbrodniarzami zabrało chłopca, pozbawiło go tak korzystnego zarobku, zaczęło go uczyć czytać i pisać, i oddało go do rzemiosła. Tak się to teraz dzieje — oburzał się Sikes na wspomnienie tak wielkiej dla niego krzywdy — tak to się dzieje... gdyby mieli dosyć pieniędzy (wielkie dla nas szczęście, że ich nie mają) tobyśmy wkrótce nie zdobyli dla naszego rzemiosła marnego nawet pół tuzina chłopców.

— Z pewnością takby było! — potwierdził Żyd, który uchwycił tylko ostatnie słowa Sikesa, a cały czas pogrążony był w głębokich myślach. — Słuchajno, Billu!

— Co takiego?

Żyd wskazał skinieniem głowy na Nancy, siedzącą spokojnie przy kominku i dał na migi do zrozumienia, iż życzy sobie, aby Sikes kazał jej wyjść z izby. Sikes wzruszył niecierpliwie ramionami na ten zbytek ostrożności, pomimo to jednak ustąpił i kazał Nancy, aby przyniosła mu kubek piwa.

— Ty nie chcesz piwa! — odpowiedziała Nancy, założywszy ręce i nie ruszając się z miejsca.

— Ja ci powiadam, że chcę — rzekł Sikes.

— Nieprawda! — zaprzeczyła dziewczyna zimno. — Mów tylko dalej, Faginie! Ja wiem bardzo dobrze, Billu, co on chce powiedzieć; niech nie zwraca na mnie uwagi.

Żyd wahał się ciągle. Sikes spoglądał ze zdziwieniem to na jedno, to na drugie.

— Cóż to, chyba nie obawiasz się tej dziewczyny, twojej dawnej znajomej, Faginie? — odezwał się nakoniec. — Przecież znasz ją od dawna i wiesz, że można jej zaufać? A możeś ty już kiedy zdradziła, Nancy?

— Sądzę, że ani razu — odpowiedziała Nancy, poczem przysunęła krzesło do stołu i oparła się na nim łokciami.

— Nie, nie, moja kochana, ja wiem, że nie! — przyznał Żyd — ale...

— Ale co? — zagrzmiał Sikes.

— Ale obawiam się, czy znowu nie zacznie tak szaleć, jak owego wieczoru... przypominasz sobie, mój drogi — odpowiedział Żyd.

Nancy roześmiała się na całe gardło, wychyliła kieliszek wódki, skinęła głową wyzywająco i, chcąc Żyda ośmielić, powiedziała kilka gminnych dowcipów. Ostatecznie Żyd uspokoił się zupełnie, potrząsnął głową i siadł z powrotem na krześle; Sikes poszedł za jego przykładem.

— A teraz, Faginie — rzekła Nancy, śmiejąc się jeszcze — mów śmiało z Billem o Oliwerze.

— Z ciebie bardzo przenikliwa dziewczyna, moja droga; jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak przebiegłej osoby — odpowiedział Żyd, klepiąc ją po plecach. — Chciałem właśnie pomówić z tobą o Oliwerze, Billu.

— O nim? — zapytał Sikes.

— To jest chłopiec dla ciebie — rzekł Żyd ochrypłym szeptem, potem przyłożył koniec palca do nosa i roześmiał się szatańsko.

— On? — powtórzył Sikes.

— Weź go, Billu! — namawiała Nancy. — Uczyniłabym to na twojem miejscu. Może on nie jest tak przebiegły, jak inni; ale wy tego nie potrzebujecie, bo przecież chodzi tylko o to, żeby wam drzwi otworzył. A na to, Billu, on się zdobędzie.

— Zapewne, że się zdobędzie — potwierdził Fagin — był on w dobrej szkole przez ostatnie dwa tygodnie i czas już, aby się wziął do pracy i na chleb zarabiał. Zresztą wszyscy inni są dla ciebie za grubi!

— Dobrze! Właśnie potrzeba mi chłopca tej tuszy — zgodził się Sikes.

— On zrobi wszystko, mój drogi, co mu każesz — zapewniał Żyd — jeżeli go tylko należycie nastraszysz.

— Nastraszyć go? — zawołał Sikes. — Nie miej co do tego żadnych obaw. Jeżeli spłata mi najmniejszego figla, gdy weźmiemy się już do roboty, to bądź pewnym, Faginie, że go więcej nie zobaczysz... Zapamiętaj sobie dobrze moje słowa.

Mówiąc to, bandyta ważył w ręku ciężki, żelazny drąg, który wyciągnął z pod łóżka.

— Rozważyłem wszystko dobrze — odpowiedział Żyd stanowczo. — Miałem go ciągle na oku, badałem go zbliska, bardzo zbliska... Niech tylko raz uczuje,

że należy do nas, niech raz tylko przejmie się myślą, że jest złodziejem, a będzie naszym... naszym na całe życie! Zaiste! nie mogło się wszystko lepiej złożyć!

Stary łotr skrzyżował ręce na piersiach, podniósł ramiona, schylił głowę i robił wrażenie, że samego siebie ściska z radości.

— Naszym? — powtórzył Sikes. — Twoim chyba.

— Być może, mój drogi, — odpowiedział Żyd z dzikim uśmiechem. — Może moim, jeżeli ci się to lepiej podoba, Billu!

— Powiedz mi jednak — odezwał się Sikes, spoglądając podejrzliwie na swego miłego przyjaciela — dlaczego troszczysz się tak o to mizerne koźlątko, a wiesz przecież dobrze o tem, że z pięćdziesięciu przynajmniej chłopców przepędza noce w Commont-Garden i że z pomiędzy nich wybrać mógłbyś sobie i wyłowić niejednego?

— Wszyscy tamci chłopcy są do niczego, mój drogi — odparł Żyd z zakłopotaniem — niewarto zadawać sobie pracy nad nimi. Jeżeli którego schwytają, to samą miną zdradzi siebie i innych. Jeżeli zaś uda mi się urobić Oliwera, to zdołam uczynić z nim tyle, ile nie zrobiłbym z dwudziestoma innymi chłopcami. Zresztą — dodał, miarkując zapał, który go mimowoli uniósł — gdyby udało mu się uciec, miałby nas w ręku; musimy więc starać się o to, żeby pozostał razem z nami. Nikt nie wie, skąd przybył; do mojej zupełnej nad nim władzy potrzeba, aby raz już należał do jakiegoś rozboju: wtedy będzie nasz. W każdym razie lepsze to, niż wysłanie biednego chłopca na tamten świat, co mogłoby być dla nas rzeczą bardzo niebezpieczną.

— Kiedyż ta wyprawa ma nastąpić? — zapytała Nancy, przerywając tem pytaniem potok gróźb

i przekleństw, któremi odpowiedział Sikes na udaną litość Fagina.

— Prawda — potwierdził Żyd — kiedyż termin wyprawy, Billu?

— Umówiłem się z Tobiaszem pojutrze na noc — odpowiedział Sikes mrukliwie — jeżeli nic nie przeszkodzi.

— Doskonale — pochwalił Żyd — noce teraz mamy ciemne, bez księżyca.

— Właśnie — odpowiedział Sikes.

— Czyście się już umówili, co do bezpiecznego ukrycia łupu? — zapytał Żyd.

Sikes głową kiwnął na znak potwierdzenia.

— A względem...

— Już wszystko dokładnie obmyślone — przerwał Sikes — niech cię głowa nie boli o szczegóły, lepiej zrobisz, gdy przyprowadzisz do mnie chłopca jutro przed wieczorem. Na godzinę przed wschodem słońca będę musiał wybrać się w drogę. Zresztą milcz i miej twój tygiel w pogotowiu, oto wszystko, czego od ciebie żądam.

W dalszym ciągu postanowiono, że nazajutrz wieczorem Nancy uda się po Oliwera do kryjówki Żyda, Fagin bowiem zauważył słusznie, że Oliwer, chętniej niż kogokolwiek innego, usłucha dziewczyny, która niedawno stawała w jego obronie. Umówiono się nadto, że Oliwer podczas zamierzonej wyprawy ma pozostać w zupełnem i nieograniczonem rozporządzeniu Billa Sikes; oraz, że Bill Sikes może z chłopcem podług swojej woli postąpić, nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności, gdyby jaki nieszczęśliwy wypadek Oliwera spotkał, ani też nie będzie zdawał sprawy z rozmiarów kary, gdyby tejże zaszła potrzeba.

Chcąc zaś nadać umowie większą wagę i zabezpieczyć się od wszelkich pretensyj oraz wątpliwości,

postanowiono także, iż sprawozdanie Sikesa z wyprawy, zwłaszcza wszelkie ważniejsze jej szczegóły, mają być poświadczone przez Tobjasza Crackit.

Gdy skończono układy, Sikes zaczął pochłaniać wódkę w wielkiej ilości i wywijając żelaznym drągiem w sposób nadzwyczaj niepokojący, nucąc przytem piosneczki, przeplatane dzikiemi przekleństwami. Doszedłszy do najwyższego stopnia zawodowego zapału, uparł się wyciągnąć skrzynię z narzędziami, potrzebnemi do włamania; zaledwie jednak ją otworzył, aby wyliczyć zalety tych narzędzi, i wyjaśnić właściwy ich użytek, gdy potoczył się, runął na ziemię i zasnął natychmiast.

— Dobranoc, Nancy! — rzekł Żyd, otulając się do wyjścia.

— Dobranoc! — odparła dziewczyna.

Przy pożegnaniu Żyd zatopił swój przenikliwy wzrok w oczach Nancy, lecz nie znalazł w nich zdrady. Po chwili raz jeszcze powiedział jej dobranoc, poczem, trąciwszy nogą leżące na ziemi cielsko bandyty, wyszedł z izby.

— Zawsze to samo — mruczał pod nosem, wracając do domu. — Najgorszą rzeczą kobiet jest to, iż najmniejsza drobnostka może obudzić w nich na nowo dawno zapomniane uczucia; najlepszą zaś fakt, że takie obudzenie nigdy długo nie trwa. Ha, ha, ha! Tego człowieka za tego chłopca i za worek złota!

Tak rozmyślając, Fagin brnął po błocie w powrotnej drodze do swego ponurego mieszkania, w którem Smyk czuwał jeszcze i z niecierpliwością oczekiwał jego powrotu.

— Czy Oliwer już śpi? Chciałem z nim pomówić — zapytał Żyd, wszedłszy do izby.

— Już od kilku godzin — odpowiedział Smyk.

Chłopczyna leżał na ziemi na twardem posłaniu, w głębokim śnie pogrążony. Był tak blady z trosk

i zgryzoty, długiego zamknięcia, że wyglądał prawie jak trup, jak ciało, z którego dopiero co uszedł duch piękny i młodociany i w niebo uleciał, a ziemska atmosfera nie zdążyła jeszcze zmienić powłoki cielesnej w zakrzepłe, lodowate zwłoki.

— Nie teraz — mruknął Żyd cofając się pocichu. — Jutro. Jutro.

Rozdział dwudziesty.

Oliwer zostaje dostawiony do Wilhelma Sikesa.

Gdy Oliwer obudził się nazajutrz rano, zdziwił się mocno, widząc, że zabrano mu stare trzewiki, a na ich miejsce postawiono parę zupełnie nowych, o mocnej i grubej podeszwie.

Zrazu to spostrzeżenie sprawiło mu wielką radość, sądził bowiem, że jest ono wróżbą uwolnienia; ale te błogie myśli rozproszył wkrótce Żyd, oświadczając przy śniadaniu, do którego obaj tylko zasiedli, iż tej nocy jeszcze uda się do mieszkania Billa Sikesa, Ton surowy, jakim Fagin to oznajmił, zwiększył jeszcze bardziej trwogę biednego chłopca.

— Mam u niego pozostać na zawsze? — zapytał Oliwer strwożony.

— Nie, nie, mój drogi, nie na zawsze, nie! — odpowiedział Żyd. — Nie mam wcale zamiaru rozstawać się z tobą. Nie obawiaj się, Oliwerze, wkrótce tu powrócisz... Nie jestem tak okrutny, żebym cię miał wypędzać, mój drogi!....

Stary łotr, stojąc przy ogniu, piekł grzanki z chleba i parsknął przy tych słowach głośnym śmiechem chcąc jakby dać Oliwerowi do zrozumienia, że bardzo dobrze wie o tem, iż chłopiec marzy stale o ucieczce, jako o największem szczęściu.

— Myślę — ciągnął Żyd dalej, wlepiwszy swój wzrok w Oliwera — że chciałbyś dowiedzieć się, poco masz iść do Billa... nieprawdaż, mój drogi?

Oliwer zapłonił się mimowoli, widząc, że ten herszt złodziei tak dobrze odgadł jego myśli. Opamiętał się jednak i rzekł śmiało:

— Tak jest, chciałbym się dowiedzieć.

— Jak ci się zdaje, poco? — spytał Żyd, unikając jasnej odpowiedzi.

— Doprawdy — nie wiem! — szepnął Oliwer.

— Jeżeli nie wiesz, to poczekaj, aż ci Bill sam powie! — mruknął Żyd i odwrócił się do chłopca tyłem, jak gdyby rozczarowany.

Właściwie Fagin był niezadowolony, że Oliwer nie okazuje większej ciekawości, chłopiec zaś był tak zmieszany świdrującym wzrokiem Fagina, że nie śmiał się dopytywać. I więcej nie nadarzyła się ku temu sposobność; Żyd siedział milczący, ponury, aż do wieczora. Dopiero, gdy za nadejściem nocy zabierał się do wyjścia, rzekł do Oliwera, kładąc świecę na stole:

— Możesz światło palić tak długo, jak ci się podoba; a tu masz książkę, którą sobie możesz czytać, dopóki po ciebie nie przyjdą. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział Oliwer szeptem.

Fagin postąpił ku drzwiom, spojrzał przez ramię na chłopca i zatrzymał się nagle, wołając nań po imieniu.

Oliwer zwrócił na niego oczy. Żyd, wskazawszy świecę, kazał mu ją zapalić. Oliwer spełnił polecenie, gdy zaś lichtarz z zapaloną świecą stawiał na stole, spostrzegł, że z ciemnego końca izby patrzą na niego badawczo oczy Żyda, ściągającego chmurnie brwi.

— Strzeż się, Oliwerze, strzeż! — odezwał się stary łotr, grożąc chłopcu ręką. — Sikes to gbur, nie liczący się z cudzą krwią, o ile jego własna się burzy. Cokolwiek się stanie, nie mów ani słowa i czyń wszystko, co on ci każe, pamiętaj!

Ostatnie słowa powiedział z uroczystym naciskiem, poczem znikła powoli surowość jego twarzy, ustępując miejsca odrażającemu uśmiechowi; nakoniec skinął głową i wyszedł z izby.

Pozostawszy sam, Oliwer pochylił głowę, wsparł ją na rękach i z niepokojem począł rozważać słowa, które przed chwilą usłyszał. Im więcej się nad niemi zastanawiał, tem mniej rozumiał ich właściwe znaczenie. Pomiędzy innemi rzeczami przypuszczał i to, że może niekoniecznie w złym celu odsyłają go do Billa Sikesa, że może będzie mu tam lepiej, niż u Fagina. Ostatecznie doszedł do wniosku, że Bill będzie go zapewne używał do najpospolitszych usług, dopóki jakiego innego, zdolniejszego i zręczniejszego chłopca nie znajdzie.

Zbyt był przyzwyczajony do cierpienia, zbyt wiele zaznał go w życiu, aby zmiana mieszkania miała go zasmucić.

Zaniechawszy przeto rozmyślań, objaśnił świecę i, wziąwszy do ręki książkę, którą mu Żyd zostawił, zaczął ją czytać.

Z początku przewracał kartki od niechcenia, natrafiwszy jednak na miejsce, które zajęło jego uwagę, zatopił się cały w czytaniu.

Był to opis życia i przygód znakomitych zbrodniarzy, a kartki książki były zbrukane i podarte od częstego widocznie użycia. Czytał o zbrodniach tak okropnych, że aż krew ścinała się w żyłach; o zabójstwach, popełnionych skrycie na samotnych drogach, o trupach, ukrytych przed okiem ludzkiem w ciemnych piwnicach i studniach, w których jednak nie pozostawały na zawsze, ale po wielu latach wypływały na wierzch i widokiem swoim doprowadzały morderców do szaleństwa, tak że ci wyznawali wkońcu swoją winę i błagali o szubienicę, jako o wybawienie z śmiertelnej męki.

To znów czytał o człowieku, który, leżąc śród ciszy nocnej na łóżku, zbrodniczemi myślami został skuszony do popełnienia okropnego morderstwa, od którego cierpła skóra i drżały wszystkie członki.

Powieści te były pisane z taką prawdą, i tak żywemi barwami, że Oliwerowi zdawało się, iż zatłuszczone karty książki są zbroczone krwią; a drukowane słowa brzmiały w jego uszach, jakby je duchy zmarłych grobowym głosem szeptały.

W przystępie przerażenia chłopiec zamknął książkę i odrzucił ją od siebie. Potem padł na kolana i prosił Boga, by zachował go od złych uczynków i raczej śmierć na niego zesłał, niż dopuścił do popełnienia tak strasznych zbrodni.

Powoli uspakajał się, ale wciąż przerywanym głosem błagał Boga, aby raczył wybawić go od grożącego niebezpieczeństwa. Mówił, że jeśli może istnieć na świecie pomoc dla biednego sieroty, który nie znał nigdy miłości przyjaciół lub krewnych, to niech Bóg zechce mu teraz jej udzielić, kiedy czuje się opuszczony i samotny, rzucony w odmęt zepsucia. i zbrodni.

Oliwer skończył swoją modlitwę, ale chwilkę jeszcze klęczał z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy szelest jakiś zwrócił jego uwagę.

— Kto tu jest? — zawołał, zrywając się na nogi i spostrzegając we drzwiach jakąś postać.

— To ja! — odpowiedział mu drżący głos.

Oliwer wzniósł świecę ponad głowę i spojrzał ku drzwiom.

Była to Nancy.

— Postaw świecę na stole — rzekła dziewczyna, odwracając głowę — bo razi mię w oczy.

Oliwer zauważył, że była bardzo blada, zapytał więc, czy nie jest chora. Dziewczyna osunęła się na

krzesło, odwrócona plecami do niego, załamała ręce i nie odpowiedziała na pytanie.

— Boże, zlituj się nade mną! — zawołała po chwili. — Nigdy nie myślałam o tem.

— Czy się co stało? — zapytał Oliwer. — Czy mogę ci pomóc?... Jeżeli mogę, to powiedz, a chętnie wszystko uczynię... bardzo chętnie.

Dziewczyna rzuciła się na krześle, chwyciła za gardło i wydała głuchy jęk, nie mogąc tchu zaczerpnąć.

— Nancy! — zawołał Oliwer — co ci jest, Nancy?

Dziewczyna opuściła ręce na kolana; opamiętała się, otuliła w szal i drgnęła, jak gdyby wstrząśnięta dreszczem.

Oliwer dołożył węgli do ognia — ona zaś, przysunąwszy krzesło bliżej do kominka, siedziała przez kilka chwil w milczeniu; nareszcie podniosła głowę i spojrzała dokoła.

— Nie wiem, co się czasem ze mną dzieje — odezwała się nakoniec, udając, że poprawia suknię; — musi to być zapewne z wilgoci i zaduchu w tej izbie... No i cóż, kochany Oliwerze, czy jesteś już gotów?

— Więc ja mam z tobą iść, Nancy? — zapytał Oliwer.

— Tak jest... Przychodzę właśnie od Billa po ciebie — odpowiedziała dziewczyna. — Pójdziesz ze mną.

— Dokąd i poco? — zapytał Oliwer, odskakując od niej.

— Poco? — powtórzyła dziewczyna, podnosząc oczy i odwracając je natychmiast, gdy się spotkały z jego wzrokiem. — Zapewne, że po nic złego!

— Nie wierzę w to — rzekł Oliwer, który patrzał na nią badawczo.

— Niechże tak będzie, jak sam chcesz, mój kochany — odparła dziewczyna, zmuszając się do śmiechu. — A zatem po nic dobrego!

Oliwer spostrzegł, że posiada pewien wpływ na dobre uczucia dziewczyny, zamierzał przeto błagać ją, aby wyzwoliła go z okropnego położenia. Zamiar ten jednak odrzucił, gdy sobie przypomniał, że nie wybiła jeszcze jedenasta, że o tej porze dużo ludzi będzie znajdować się na ulicy, którzy mu uwierzą, jeżeli zwróci się do nich z prośbą o pomoc. Ubrał się tedy natychmiast i oświadczył, że jest gotów.

Dziewczyna jednak miała bystry umysł; przypatrując mu się uważnie, odgadła jego zamysły i wzrokiem dała mu to nawet do zrozumienia.

— Cicho! — szepnęła, nachyliwszy się do niego, oglądając się z największą ostrożnością dokoła i wskazując drzwi. — Ty sobie sam pomóc nie możesz. Walczyłam długo o ciebie, ale wszystko nie zdało się na nic. Jesteś osaczony ze wszystkich stron. Choćbyś kiedyś mógł się uwolnić, to wierzaj mi, że dziś nie pora po temu.

Oliwer spojrzał na nią ze zdumieniem, uderzony szczerością i stanowczością jej mowy. Doznał wrażenia, że mówiła prawdę. Twarz miała bardzo bladą, ożywioną, ruchy gorączkowe.

— Wybawiłam cię już od poniewierki, wiedz też, że zawsze cię będę broniła, o ile będę mogła — mówiła spiesznie. — Czynię to nawet teraz. Gdybym się nie uparła, przyszedłby po ciebie kto inny, a ten obszedłby się z tobą inaczej. Musiałam im przyrzec, że się będziesz zachowywał spokojnie. Uprzedzam cię, że w przeciwnym razie zgubisz siebie i mnie, a nawet możesz mię na śmierć narazić. Patrz! To wszystko dla ciebie niedawno wycierpiałam, jak mi Bóg miły!

Pokazała mu sińce na szyi i rękach, poczem upominała jeszcze spiesznie:

— Pamiętaj o tem i nie powiększaj moich cierpień. Gdybym ci mogła pomóc, uczyniłabym to z największą chęcią; ale teraz nie mogę dla ciebie nic zrobić. Oni obecnie nie mają względem ciebie złych zamiarów, a za to wszystko, co ci każą robić, na nich spada cała odpowiedzialność. Teraz cicho! Ani słowa! Każde niepotrzebne twoje słowo odbije się na mnie boleśnie. Podaj mi rękę!... Żywo!

Chwyciła go za rękę i, zgasiwszy świecę, wyciągnęła z izby. Jakaś postać, osłonięta ciemnością, otworzyła im drzwi spiesznie i natychmiast je zamknęła, gdy wyszli na ulicę. Czekała na nich dorożka. Nancy gwałtownie usadowiła w niej Oliwera i spuściła zasłony na szyby. Dorożkarz, nie pytając o kierunek drogi, zaciął niezwłocznie konie i popędził galopem.

Nancy wciąż trzymała chłopca mocno za rękę, nie przestając szeptać mu do ucha przestróg i upomnień.

Wszystko odbyło się tak szybko i nagle, że zanim Oliwer zdołał przyjść do siebie, dorożka zatrzymała się przed domem, który Fagin wczoraj odwiedzał przez jednę chwilę. Oliwer, rozejrzawszy się po ulicy, już chciał wołać o ratunek, ale w uszach brzmiał mu jeszcze głos Nancy, która go przecież błagała, żeby tego nie czynił. Zawahał się. Sposobność tymczasem minęła: wciągnięto go do sieni domu i natychmiast drzwi zatrzasnęły się za nimi.

— Tędy! — odezwała się Nancy, puszczając rękę Oliwera. — Hola! Billu!

— Co takiego? — zagrzmiał Sikes, zjawiając się ze świecą na piętrze. — Właśnie w porę przybywasz. Chodźcie!

Powitanie brzmiało uprzejmie, zwłaszcza w ustach człowieka takiego, jak Sikes. Nancy zdawała się być mocno z tego zadowolona i przywitała go serdecznie.

— Wołowiak poszedł z Tomaszem — rzekł Sikes, przyświecając im na schodach. — Dobrze się stało, bo zawadzałby nam tylko.

— Istotnie dobrze — potaknęła Nancy.

— Masz nareszcie twoje koźlątko? — odezwał się Sikes, gdy weszli do izby.

— Jak widzisz — odparła Nancy.

— Czy poszedł chętnie?

— Jak jagnię.

— To mnie cieszy! — mruknął Sikes i spojrzał srogo na Oliwera, — inaczej jego młode ciało ucierpiałoby djabelnie. Zbliż się do mnie, mały drabie, i posłuchaj, co mam ci powiedzieć; lepiej odrazu się z tem załatwić.

To rzekłszy, Sikes zerwał czapkę z głowy Oliwera i rzucił ją w kąt, poczem, chwyciwszy go za ramię, usiadł sam przy stole i postawił chłopca tuż przed sobą.

— Naprzód, czy wiesz, co to jest? — zapytał, biorąc w rękę pistolet, leżący na stole.

Oliwer odpowiedział, że wie.

— Patrz i uważaj! — mówił dalej Sikes. — Oto jest proch... to kula... a to kawałek starego kapelusza.

Oliwer potakiwał za każdym wyrazem na znak, że rozumie, a Sikes z wielką zręcznością i namysłem zabrał się do nabicia pistoletu.

— Nabity! — rzekł Sikes, skończywszy tę czynność.

— Widzę panie — szepnął Oliwer.

— Bardzo dobrze — rzekł bandyta i, ścisnąwszy Oliwera mocno za rękę, przyłożył mu lufę pistoletu do czoła i dodał z naciskiem:

— Jeżeli piśniesz, bez zapytania z mej strony, choć jedno słówko, idąc ze mną, to ten cały nabój wpakuję ci natychmiast w głowę. Rozumiesz? Jeżeli więc zachce ci się mówić bez pozwolenia, to zmów pierwej przedśmiertną modlitwę! Pamiętaj!

Dla powiększenia wrażenia Sikes dodał przekleństwo, poczem ciągnął dalej:

— O ile wiem, to nie masz nikogo, ktoby się o ciebie dopytywał, choćby cię to nieszczęście rzeczywiście spotkało; mógłbym sobie zatem oszczędzić tego zachodu i pracy, aby ci to wszystko wykładać... Czynię to jednak dla twego własnego dobra. Czy rozumiesz?

— Krótko mówiąc, to znaczy — odezwała się Nancy z powagą, spoglądając na Oliwera — że gdyby mu kiedykolwiek przyszło na myśl pokrzyżować twoje zamysły, to ty, Billu, postarasz się o to, aby już ani słowa więcej w swojem życiu nie wymówił. W tym celu strzelisz mu w łeb i narazisz się na niebezpieczeństwo szubienicy, która grozi ci i tak za wiele innych rzeczy, będących treścią twego rzemiosła.

— To samo chciałem właśnie powiedzieć — potwierdził Sikes z uznaniem; — kobiety umieją wszystko wyrazić w krótkich słowach, wyjąwszy wtedy, kiedy się kłócą, gdyż wówczas wydłużają znowu rzecz każdą. A teraz dość już tych rozpraw, zjedzmy co na wieczerzę i prześpijmy się trochę, zanim wybierzemy się w drogę.

Stosownie do życzenia Sikesa, Nancy nakryła stół, a zniknąwszy na chwilę, powróciła wnet z butelką piwa i pieczoną głową owczą, co Sikesowi dało sposobność do wielu zabawnych bardzo żarcików

i dowcipów, opierających się głównie na szczególnem podobieństwie wyrazu, oznaczającego tę potrawę, z wyrazem, którym nazywali zwykle narzędzie, używane w ich rzemiośle.

Wogóle zacny mąż był w bardzo wesołem usposobieniu, zapewne dlatego, że nadarzała mu się sposobność obfitego połowu, zakrapiał też gęsto jadło kuflami piwa i klął siarczyście, dobierając wyszukanych zwrotów.

Po skończeniu wieczerzy — łatwo się domyśleć, że Oliwer niewielką miał do niej ochotę — Sikes wlał jeszcze kilka szklanek grogu w siebie i rzucił się wkońcu na łóżko, rozkazując Nancy, wśród tysiącznych przekleństw, aby obudziła go o godzinie piątej rano.

Oliwer nie rozbierał się zupełnie: w ubraniu wyciągnął się na sienniku, leżącym na ziemi, a Nancy przyłożyła parę kawałków węgla do ognia na kominku, usiadła przy nim i czuwała, aby zbudzić ich o oznaczonej godzinie.

Biedny chłopiec długo nie zasypiał, sądząc, że Nancy znajdzie sposobność zbliżenia się do niego i udzielenia jakichś rad i przestróg; lecz dziewczyna siedziała nieruchomo przy ogniu i poruszała się jedynie w tym celu, aby świecę objaśnić. Nakoniec Oliwer, znużony długiem czuwaniem, zasnął głęboko.

Gdy się obudził, spostrzegł stół zastawiony już do herbaty i Billa, który chował rozmaite narzędzia do kieszeni swego surduta, przewieszonego przez poręcz krzesła. Nancy zajęta była przyrządzaniem śniadania.

Nie dniało jeszcze, i świeca paliła się w izbie. Drobny, gęsty deszczyk uderzał o szyby okien, a niebo pokryte było ciężkiemi, czarnemi chmurami.

— Nareszcie ruszyłeś się — zawołał Sikes mrukliwie, spostrzegłszy, że Oliwer wstaje — już mi-

nęło pół do piątej. Zbieraj się żywo, inaczej nie dostaniesz śniadania, bo późno.

Oliwer załatwił się prędko ze swojem ubraniem i, spożywszy cokolwiek na śniadanie, odpowiedział pytającemu się go ponuro Billowi, że jest gotów.

Nancy rzuciła zaledwie okiem na chłopca, podała mu jednak chustkę, aby owiązał sobie nią szyję, Sikes zaś zarzucił mu na plecy szeroką pelerynę. Oliwer, tak przybrany, podał bandycie rękę: Sikes groźnym ruchem wskazał mu raz jeszcze na pistolet w bocznej kieszeni swego surduta, poczem chwycił silnie jego rękę, pożegnał się z dziewczyną i powiódł go ze sobą.

Oliwer, wychodząc, odwrócił we drzwiach głowę w nadziei, że spotka się z wejrzeniem dziewczyny. Ale ona usiadła na swojem dawnem miejscu przy ogniu i siedziała tak nieruchomo, jak przedtem w nocy.

Rozdział dwudziesty pierwszy.

Wyprawa.

Był posępny ranek, kiedy wyszli na ulicę. Wiał silny wicher i padał deszcz. Czarne chmury przewalały się po niebie.

Deszcz musiał padać całą noc, gdyż na ulicach potworzyły się wielkie kałuże błota, a ścieki były przepełnione wodą.

Na wschodzie brzask dzienny rozjaśnił wprawdzie cokolwiek niebo, ale to blade światło nie łagodziło posępności otoczenia, lecz, przeciwnie, podkreślało ją niejako; tłumiło ono wprawdzie czerwonawy blask nocnych latarni, nie okryło przecież żywszym, jaśniejszym promieniem ani mokrych dachów, ani ponurych ulic.

Zdawało się, że wszyscy spali jeszcze w tej części miasta, bo wszystkie okiennice były pozamykane

i żywa dusza nie ukazała się na ulicach, przez które przechodzili.

Gdy znaleźli się na gościńcu, wiodącym do Bethnal-Green, dniało już na dobre. Pogaszono wiele latarni; ciężarowe wozy sunęły powoli ku Londynowi; czasami przesunął się wóz pocztowy, zbryzgany błotem, i pocztyljon karał batem woźniców za to, że, jadąc środkiem gościńca, a nie bokiem, opóźniali o ćwierć minuty przybycie jego do Londynu.

Domy zajezdne, oświecone gazem, stały już wszędzie otworem. Pomału otwierano sklepy, i tu i owdzie ludzie zaczęli zjawiać się na ulicy. Niebawem ukazały się gromady robotników, dążących do pracy; mężczyźni i kobiety z koszami ryb na głowie. Wozy, zaprzężone w osły, jechały z jarzyną na targowisko, inne znów z żywem bydłem i ćwierciami wielkiemi świeżego mięsa. Dalej szły mleczarki ze swemi konwiami, wreszcie nieskończony szereg ludzi, spieszących do miasta z wszelkiego rodzaju żywnością.

Im więcej zbliżali się do stolicy, tem bardziej wzgamał się zgiełk i hałas, który urósł do niebywałych rozmiarów, gdy zapuścili się w ulice między Shoreditch i Smithfield.

Rozwidniło się na tyle, o ile pozwalała na to dżdżysta pora i pochmurne niebo, a wymagała praca, której okres rozpoczął się już dla połowy mieszkańców Londynu.

Puściwszy się przez Sunstreet i Crownstreet, minęli Finsburysquare, potem Sikes zwrócił przez Chiswellstreet do Barbican, wreszcie do Longlane i Smithfield. Z ostatniego miejsca zdaleka już dochodziły wrzawa i zgiełk nieopisany.

Był to dzień targowy.

Ziemię pokrywało błoto po kostki; ciężki, gęsty tuman wyziewów powstawał nieustannie z parują-

cych ciał bydła i, zmieszany z dymem kominów, unosił się ciężko w powietrzu.

Wszystkie ogrodzenia, zajmujące środek obszernej targowicy, oraz wiele innych utworzonych naprędce, w takiej ilości, ile ich tylko na wolnym jeszcze placu zmieścić się mogło, zapełnione było owcami; po bokach stały długie szeregi wołów i krów, poprzywiązywanych do pali.

Wieśniacy, rzeźnicy, parobcy, owczarze, wolarze, chłopcy, złodzieje, próżniacy, żebracy — wszystko to tworzyło jedną zbitą gromadę. Świstanie parobków, szczekanie psów, ryk bydła, beczenie owiec, kwiczenia świń i wieprzów, wrzask rzeźników, kłótnie i przekleństwa, odgłos dzwonków, wrzawa nagromadzonego po karczmach ludu, ścisk, trącanie, popychanie, gniecenie w natłoku... jednem słowem zgiełk nieznośny, idący z każdego kąta targowicy. Brudne, nieumyte, nieogolone twarze, nieustannie ruszające się to w tę, to w ową stronę, tłumy to rozstępujące się, to znów zbijające do gromady wszystko razem tworzyło widowisko dzikie i oszałamiające.

Sikes, ciągnąc Oliwera za sobą i używając swych łokci, torował sobie drogę wśród najciaśniejszego tłumu, nie zwracając najmniejszej uwagi na niesłychaną wrzawę, która Oliwera wprawiała w zdumienie. Skinieniem głowy jedynie powitał paru swoich przyjaciół, odrzucił kilka zaprosin na łyk wódki i przebijał się ciągle dalej, dopóki nie wydobył się z ciasnego tłumu; poczem zwrócił się przez Hosier-lane do Holborn.

— Dalej, prędko, chłopcze! — zawołał, spoglądając na zegarek na wieży Ś-go Andrzeja — już blisko siódma! Musisz nogi lepiej zbierać. Ruszaj, ruszaj, nie wlecz się tak leniwie, ty darmozjadzie.

Szli tak spiesznie, dopóki nie minęli Hyde-Parku i nie dostali się na drogę do Kensington. Wtedy Sikes zatrzymał się i czekał, aż nadjedzie pusty wóz, który zbliżył się powoli do nich. Wyczytawszy na wozie nazwę Hunslow, zapytał jak tylko mógł najgrzeczniej woźnicy, czyby ich obu nie mógł wziąć ze sobą do Isleworth.

— Siadajcie! — odparł woźnica. — Czy to wasz chłopiec?

— Tak jest, mój — potwierdził Sikes, spoglądając surowo na Oliwera i wsuwając nieznacznie rękę do kieszeni surduta, w której był ukryty pistolet.

— Twój ojciec chodzi zanadto szybko na twoje siły, nieprawdaż mały? — zapytał Oliwera woźnica, widząc, że chłopiec jest mocno zdyszany.

— To nic, to nic! — odparł Sikes. — On do tego przyzwyczajony. — No, chwyć się mojej ręki, Oliwerze i siadaj.

To rzekłszy, pomógł Oliwerowi wsiąść na wóz, a woźnica wskazał mu kupę worów, zachęcając, żeby się na nich położył i cokolwiek wypoczął.

Gdy minęli już znaczną ilość milowych słupków, Oliwer zaczął się zastanawiać coraz bardziej nad tem, dokąd Sikes myśli go zawieźć. Minęli Kensington, Hammersmith, Chiswick, Kew-Brigde i Brentford, a jednak jechali ciągle szybko.

Nakoniec dojechali do zajezdnego domu z godłem „Pod Woźnicą"; w niejakiej odległości od tego domu, gdzie droga dzieliła się i prowadziła w dwie przeciwne strony.

Wóz zatrzymał się.

Sikes zeskoczył spiesznie i, trzymając ciągle Oliwera za rękę, zsadził go również na ziemię, spojrzał przytem groźnie i znaczącym ruchem uderzył ręką o kieszeń z pistoletem.

— Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze! — rzekł woźnica.

— To krnąbrny chłopiec — mruknął Sikes, uderzywszy Oliwera kułakiem w plecy — krnąbrny, jak pies!... Nie można mu ufać.

— No, no!... — rzekł woźnica, gramoląc się na wóz. — Ładna pogoda, niema co mówić.

I pojechał dalej.

Sikes czekał na miejscu tak długo, dopóki ów wóz nie znikł im z oczu, i dopiero potem puścił się w dalszą drogę.

Gdy minęli karczmę, zwrócili się naprzód na lewo, potem weszli na drogę, prowadzącą w prawo i szli nią bardzo długo; była to raczej ulica, mająca z obu stron liczne, obszerne, piękne ogrody i letnie pałacyki. Idąc przez nią, zatrzymali się raz tylko, aby się pokrzepić szklanką piwa, potem zaś zatrzymali się dopiero w miasteczku, gdzie Oliwer na ścianie jednego domu zauważył nazwę „Hampton“, wypisaną wielkiemi głoskami.

Tutaj przez kilka godzin błąkali się po polach za miastem. Nakoniec wrócili znów do miasteczka i wstąpili do lichej karczmy, z zatartym szyldem, gdzie w kuchni kazali sobie podać obiad.

Kuchnia była obszerna, niska, z grubą belką, biegnącą przez środek powały. Ławy z wysokiemi poręczami i oparciem stały dokoła ogniska, a na nich siedziało kilku wieśniaków, którzy ćmili fajki i pili.

Ludzie ci nie zwracali uwagi na Oliwera i bardzo mało interesowali się Billem. I Sikes niebardzo na nich zważał; usiadł ze swoim młodym towarzyszem w kącie, nie wchodząc w żadną styczność z otoczeniem.

Dano im zimnego mięsiwa, poczem tak długo siedzieli na miejscu, że Sikes zdążył wypalić kilka fajek, a Oliwer wkońcu pomyślał, iż dalej nie pójdą.

Ranne wstanie, zmęczenie drogą, wreszcie dym tytoniowy tak go rozmarzyły, że usnął przy stole.

Już się dobrze zmierzchło, kiedy go Sikes przebudził kułakiem.

Oliwer zerwał się, przetarł oczy, rozejrzał dokoła i spostrzegł swego zacnego towarzysza, zajętego żywą rozmową z jakimś wieśniakiem przy szklance piwa.

— Jedziecie zatem do Lower Halliford? — pytał Sikes.

— Tak jest — odpowiedział wieśniak, po którym widać było, że sobie już na dobre — a może na złe, jak się komu podoba — podpił. — Jadę tam i bądźcie pewni, że nie będę jechał powoli. Mój koń nie ma już wieczorem ciężaru, jaki dziś rano musiał ciągnąć, i będzie się przytem spieszył do żłobu. Za jego zdrowie!... Dalibóg, poczciwe to konisko!

— Czybyście nie mogli wziąć mię ze sobą wraz z chłopcem? — zaproponował Sikes, przysuwając swojemu nowemu przyjacielowi kufel z piwem.

— Chętnie, jeżeli natychmiast możecie się ze mną zabrać! — odpowiedział wieśniak, podniósłszy na chwilę oczy od kufla. — Czy chcecie jechać do Halliford?

— Tylko do Shepperton — odparł Sikes.

— Możecie ze mną jechać tak daleko, jak sam pojadę — rzekł na to wieśniak. — Czy już wszystko zapłacone, Betty?

— Wszystko!... Ten pan wszystko zapłacił — odpowiedziała dziewczyna.

— Czy tak? — zawołał wieśniak z pijacką powagą. — Nie, na to nie pozwolę...

— Dlaczego nie? — tłumaczył Sikes. — Wy chcecie wyświadczyć nam grzeczność, dlaczegóżbym ja wzamian nie miał za was zapłacić?

Wieśniak zamyślił się nad tem bardzo głęboko, a przystając wkońcu na wszystko, chwycił Billa za rękę i oświadczył, że z niego rzeczywiście jest wielki poczciwiec; Sikes podziękował mu za to, mówiąc, że zapewne żartuje, co oczywiście z wielu względów byłoby słuszne, gdyby wieśniak był oświadczył to na trzeźwo.

Nagadawszy sobie wzajem wiele jeszcze rozmaitych grzeczności, pożegnali resztę towarzystwa i wyszli z izby; dziewczyna, sprzątnąwszy po nich ze stołu kufle i talerze, wyszła na próg, aby zobaczyć, jak będą wyjeżdżali.

Koń, za którego zdrowie pito przed chwilą, stał już na podwórzu zaprzężony do wozu. Oliwer i Sikes wsiedli na wóz bez dalszych ceremonij, a właściciel, zatrzymawszy się jeszcze na chwilę, aby pogłaskać konia i zapewnić parobka oraz cały świat o nieporównanej wartości swego rumaka, poszedł za ich przykładem i na wóz się wgramolił.

Parobek, widząc, że już wszyscy siedzą na wozie, puścił konia, którego dotąd trzymał za uzdę; koń, czując się wolnym, podrzucił z pogardą łbem do góry i wybił kilka szyb w oknie; dokonawszy tego bohaterskiego czynu, czas niejaki boczył się, szarpał, wierzgał i wspinał, wreszcie ruszył galopem.

Noc była bardzo ciemna. Gęsta mgła unosiła się z nad rzeki i moczarów, ciągnących się po obu stronach drogi, i otulała puste pola. Zimno było przenikliwie — ponuro i czarno dokoła.

Przez całą drogę nikt słowa nie przemówił; właściciel wozu usnął szczęśliwie, a Sikes nie miał wcale chęci do rozmowy. Oliwer, miotany trwogą i niepokojem, siedział przytulony w kącie wozu. Zdawało mu się, że widzi jakieś dziwne postacie na drzewach, które to drzewa trzęsły konarami jakby w tańcu, dostosowanym do grozy otoczenia.

Gdy mijali kościołek w Sunbury, zegar na wieży wydzwonił właśnie godzinę siódmą.

W karczmie dla przewoźników nad brzegiem rzeki widać było światło, które rzucało promienie aż na drogę i ciemniejszym jeszcze czyniło cień starego, rozłożystego dębu, pod którym znajdowały się groby.

W niejakiej odległości od drogi słychać było stłumiony szmer płynącej wody i ponury szelest liści starego dębu, co wszystko razem sprawiało wrażenie łagodnej muzyki, przygrywającej spoczynkowi zmarłych.

Minąwszy Sunbury, wydostali się znów na samotny gościniec. Po ujechaniu kilku mil, wóz zatrzymał się. Sikes wysiadł i, chwyciwszy Oliwera za rękę, puścił się z nim w dalszą drogę.

W Shepperton nie wstąpili do żadnego domu, jak tego pragnął znużony chłopczyna; szli ciągle dalej wśród ciemności i błota przez rozległe, zimne pustkowia i zatrzymali się dopiero wtedy, gdy zauważyli światło jakiegoś miasta, leżącego w pobliżu. Oliwer, natężywszy wzrok, zobaczył płynącą rzekę i most, wiodący na drugą stronę.

Sikes posuwał się wciąż naprzód, przy moście zaś zwrócił się w bok, schodząc tuż nad rzekę.

— Woda! — pomyślał Oliwer, i mróz przeszedł mu ze strachu po kościach — zapewne umyślnie przyprowadził mię tutaj, aby zamordować.

Już chciał rzucić się na ziemię i z rozpaczą walczyć o swoje młode życie, gdy spostrzegł, że znajdują się koło samotnego, zupełnie zrujnowanego domku. Po obu stronach zawalonego wejścia były okna, a wyżej pięterko.

Rudera była ciemna, ponura, sprawiała wrażenie zupełnie niezamieszkanej.

Sikes, trzymając ciągle Oliwera za rękę, zbliżył się z nim pocichu, ostrożnie do niskich drzwi i pociągnął za klamkę. Drzwi otworzyły się, a oni weszli do wnętrza.

Rozdział dwudziesty drugi.

Rabunek.

— Halo! Kto tam? — odezwał się gruby, rubaszny głos męski, skoro stanęli w sieni.

— Tylko bez hałasu — rzekł Sikes, zamykając drzwi za sobą. — Przynieś lepiej światła, Tobjaszu!

— A, to ty? — odezwał się ten sam głos. — Barney, światła, światła! Poświeć temu panu, Barney... No, rusz się z łóżka, jeżeli łaska!

Mówiący musiał rzucić butem lub czemś podobnem na tego, do kogo się zwracał, aby go ze snu przebudzić, dał się bowiem słyszeć odgłos czegoś twardego, padającego z siłą na ziemię, poczem mruczenie jakby człowieka, walczącego na jawie ze snem.

— Czy słyszysz? — powtórzył ten sam głos. — Bill Sikes czeka w sieni, a ty śpisz, jak zabity, jakby ci kto opjum zadał lub coś podobnego. Czyś się już ocknął? A może czekasz, żebym cię tym żelaznym lichtarzem obudził!

Teraz dał się słyszeć tupot nóg, suwających po podłodze pantoflami, i niebawem w drzwiach naprawo ukazała się naprzód świeca, a potem postać człowieka, któregośmy już dawniej poznali, jako posługacza w gospodzie koło Saffron-Hill w Londynie; wiemy tedy, że był on dotknięty wadą mówienia przez nos i że się nazywa Barney.

— A, pan Sikes! — zawołał z udaną czy też szczerą radością — proszę do izby, proszę!

— Chłopcze, ruszaj naprzód! — zawołał Sikes, popychając Oliwera. — Ruszaj prędzej, albo ci nogi poprzetrącam.

Wypowiedziawszy jeszcze kilka przekleństw na powolność Oliwera, Sikes wszedł z nim do niskiej, ciemnej izby z kominkiem, na którym dymił się ogień. Umeblowanie stanowiło kilka połamanych stołków, stół i bardzo stare łóżko, na którem leżał wyciągnięty mężczyzna, mając nogi wyżej niż głowę i paląc długą fajkę.

Miał na sobie tabaczkowy surdut modnego kroju, o wielkich, żółtych guzikach, żółtą chustkę na szyi, grubą, różnobarwną kamizelkę i szare spodnie.

Crackit (gdyż on to był) nie miał wiele włosów na głowie, a te, co mu pozostały, były rude i zawinięte w długie kędziory, nakształt korkociągu; poprawiał je też często swemi brudnemi palcami ozdobionemi w wielkie, tanie pierścionki.

Był on cokolwiek wyższy od ludzi średniego wzrostu i widocznie bardzo słaby w nogach; ta okoliczność jednak nie osłabiała wcale uczucia, z jakiem podziwiał swe palone buty, których oglądanie ułatwiała mu nadzwyczaj zajęta pozycja.

— Ach Billu! Kochany Billu! — zawołał, zwróciwszy głowę ku drzwiom. — Jakże się cieszę, że cię widzę. Jużem się obawiał, żeś zapomniał o naszej wyprawie, i ja musiałbym wtedy podjąć się jej na własną rękę. A to co?...

Ostatnie słowa powiedział z wielkiem zdziwieniem, zerwał się z łóżka, usiadł na niem i zapytał raz jeszcze:

— A to co?

— Chłopiec, nic więcej, tylko chłopiec. — odparł Sikes, przysuwając sobie stołek do ognia.

— Jeden z uczniów Fagina — dodał Barney, z ohydnym uśmiechem.

— Fagina? — mruknął Crackit, przypatrując się Oliwerowi. — Chłopiec, jak widzę, byłby nieocenio-

ny do operowania w kieszeniach starych pań w kościele. Żyd zrobi na nim z pewnością majątek.

— Dosyć! — przerwał Sikes zniecierpliwiony, poczem nachylił się do swego przyjaciela, który położył się z powrotem na łóżku i szepnął mu coś do ucha, z czego Crackit roześmiał się serdecznie i obdarzył Oliwera nowem zdziwionem spojrzeniem.

— A teraz — rzekł Sikes, usiadłszy znów na krześle — czy dacie nam co zjeść i pić, zanim zabierzemy się do roboty?... Toby nam trochę dodało odwagi. Siadaj przy ogniu, chłopcze, i wypocznij sobie; musisz tej nocy raz jeszcze puścić się z nami w drogę, lecz tym razem niedaleko.

Oliwer spojrzał na Billa z niemem przerażeniem i, przysunąwszy niski stołeczek do kominka, usiadł na nim, wsparł bolącą głowę na rękach, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dokoła niego dzieje i gdzie się właśnie znajduje.

— Otóż jadło i napitek — rzekł Crackit, gdy Barney postawił na stole zimne mięsiwo i dużą butelkę wódki. — Za pomyślność naszej wyprawy!

Wstał z łóżka, postawił fajkę w kącie, przystąpił do stołu, nalał sobie kieliszek wódki i wychylił go odrazu.

Sikes poszedł ze jego przykładem.

— Odrobinę dla chłopca — rzekł Tobjasz, napełniwszy duży kielich do połowy. — Łyknij śmiało, niewiniątko!

— Ja nie mogę, panie... — wymawiał się Oliwer, patrząc na niego błagalnie — naprawdę, panie, nie mogę.

— Łykaj! — zgromił go Tobjasz. — Cóż to, myślisz, że ja nie wiem, czego ci potrzeba? Pij, pij!... Billu, każ mu wypić!

— On prędzej tego usłucha! — odpowiedział Sikes, uderzywszy ręką o kieszeń z pistoletem. —

Niech mię jasny piorun trzaśnie, jeżeli ten chłopiec nie zawadza nam więcej, niż cała czereda Smyków! Pijże, pij, ty niedołęgo! Pij natychmiast!

Oliwer, przestraszony groźbami obydwuch mężczyzn, wypił spiesznie kielich i natychmiast zaczął gwałtownie kasłać. Ten wypadek zrobił wielką przyjemność Tobjaszowi i Barneyowi; nawet wywołał lekki uśmiech na usta ponurego pana Sikesa.

Po tej przygodzie, gdy Sikes dostatecznie głód zaspokoił — (Oliwer nie jadł nic więcej, prócz małego kawałeczka chleba, do czego też go zmuszono) obaj mężczyźni wyciągnęli się na stołkach. Oliwer znów usiadł przy kominku, a Barney, otulony w prześcieradło, położył się na ziemi.

Wszyscy spali, przynajmniej zdawało się, że śpią, gdyż żaden z nich się nie ruszał; tylko Barney wstawał czasami, aby dołożyć węgla na ogień.

Oliwer zasnął głęboko; ponure obrazy ubiegłego dnia przesuwały się przed okiem jego duszy: to błąkał się po pustych polach, po samotnych drożynach; to znów po ciemnym cmentarzu, — gdy Tobjasz Crackit obudził go z tego niemiłego snu, wołając że jest już pół do drugiej?

W mgnieniu oka pozostali dwaj złoczyńcy zerwali się na równe nogi i wszyscy zaczęli spiesznie przygotowywać się do podróży.

Sikes i Tobjasz otulili szyje długiemi, ciemnobarwnemi szalami, przywdziali kożuchy, a Barney otworzył szafę, wyjął z niej różne narzędzia, które oni natychmiast ukryli w swoich kieszeniach.

— Podaj mi hałaśniki, Barney! — zawołał Tobjasz Crackit.

— Oto są — rzekł Barney, podając mu parę pistoletów. — Sam je nabiłeś.

— Dobrze — mruknął Crackit, chowając je do kieszeni. — Gdzież przekonywacze?

— Już je mam! — odpowiedział Sikes.

— A teraz klucze, świdry, piłki, wytrychy, latarka... Czyście czego nie zapomnieli? — zapytał Tobjasz, chowając żelazny drążek pod połę kożucha.

— Jest wszystko — zapewnił Sikes. — Barney! Przynieś mi mój kostur... to najpewniejszy przyjaciel.

Barney wydostał z kąta dwie grube pałki, jedną dał Tobjaszowi, drugą wziął Sikes, który, zarzuciwszy Oliwerowi płaszcz na plecy, zawołał:

— W drogę!

Oliwer, oszołomiony długim marszem i świeżem powietrzem, odurzony wódką, którą przemocą w niego wlano, podał machinalnie Billowi rękę, który ją natychmiast uchwycił i rzekł do Crackita:

— Weź go za drugą rękę, Tobjaszu. A ty, Barneyu, wyjrzyj na świat.

Barney wyszedł i powrócił niebawem, zapewniając, że jest spokojnie.

Dwaj bandyci tedy wyszli z domu, mając Oliwera pomiędzy sobą; Barney zamknął drzwi za nimi, otulił się napowrót w kołdrę i zasnął głęboko.

Noc była zupełnie ciemna, mgła większa i cięższa niż przed północą, a powietrze tak wilgotne, że brwi i włosy Oliwera stężały w kilka minut od mroźnego powiewu i pokryły się szronem.

Bandyci przeszli przez most i zwrócili się ku owym światełkom, które Oliwer widział już przedtem. Odległość nie była wielka, a że szli krokiem przyspieszonym, przybyli też wkrótce do Chertsey.

— Idźmy przez miasto — szepnął Sikes — nie spotkamy po drodze nikogo, ktoby nas mógł widzieć.

Tobjasz przystał na to.

Puścili się zatem główną ulicą miasteczka, która o tej porze była zupełnie pusta.

Czasem słaby blask nocnej lampy przedzierał się przez szpary okiennic na ulicę, a szczekanie psów tu i owdzie przerywało ciszę nocną, lecz nie było na ulicy żywej duszy i bandyci przeszli przez miasto bezpiecznie. Wydostali się na otwarte pole, gdy na wieży wybiła druga.

Przyspieszając kroku, zwrócili się boczną drożyną na lewo.

W kwadrans potem zatrzymali się koło samotnego domu, otoczonego dość wysokim murem, na który Tobjasz Crackit, po zaczerpnięciu oddechu, wdrapał się z pośpiechem.

— Podaj mi teraz chłopca — szepnął. — Podnieś go do góry, a ja go już sam wciągnę.

Zanim Oliwer zdążył się obejrzeć, już Sikes chwycił go za ramiona i Tobjasz w mgnieniu oka stoczył się z nim na trawnik, leżący po przeciwnej stronie muru.

Sikes przybył za nimi, poczem wszyscy trzej zaczęli ostrożnie skradać się ku domowi.

I teraz dopiero Oliwer po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że celem wyprawy był rozbój, rabunek, a może i nawet morderstwo.

Załamał ręce z rozpaczy i jęknął mimowoli ze zgrozy i przerażenia. W oczach mu się zaćmiło, w głowie uczuł zamęt, zimny pot wystąpił mu na czoło, nogi zachwiały się pod nim i padł na kolana.

— A wstaniesz ty! — zawołał Sikes po cichu, drżąc z wściekłości i dobywając z kieszeni pistolet. — Wstań, jeżeli nie chcesz, żebym ci łeb natychmiast rozstrzaskał.

— Błagam was na miłość Boga! Puście mię, puście! — żebrał Oliwer — pozwólcie mi uciec i umrzeć w polu! Nigdy nie wrócę do Londynu... nigdy! Przenigdy! O błagam was! Miejcie litość nade mną!

Nie każcie mi kraść! Zaklinam was na wszystkich aniołów w niebie, miejcie litość nade mną!

Człowiek, do którego chłopczyna zwrócił się z tą prośbą, wyrzekł okropne przekleństwo, i odciągnął kurek od pistoletu, lecz Tobjasz wstrzymał jego rękę, odtrąciwszy zaś Sikesa, zasłonił Oliwerowi dłonią usta i powlókł go ku domowi.

— Cicho! — szepnął — ani piśnij. Jeżeli choć słówko z ust wypuścisz, to ci po swojemu łeb rozwalę. A mój sposób jest pewny i nie robiący hałasu. A teraz, Billu, wyważ okiennice. On już będzie spokojny, założę się z tobą. Widziałem starszych drabów od niego, którzy tak samo zachowywali się przez kilka minut w czasie zimnej nocy.

Sikes, przeklinając Fagina za to, że wysłał z nimi na tak ważną wyprawę Oliwera, podsadził silnie drążek, nie czyniąc przy tem najmniejszego hałasu. Przy pomocy Tobjasza, okiennica wkońcu otworzyła się i zawisła na hakach.

Okienko poza nią było bardzo małe, na wysokości sześciu stóp od ziemi; umieszczone w tyle domu, prowadziło do małej śpiżarni, czy też domowej piwiarni, leżącej na końcu sionki. Otwór tak był wąski, że właściciel domu nie uważał za potrzebne lepiej go zabezpieczyć; był jednak dość obszerny na to, aby taki mały chłopczyna, jak Oliwer, mógł się łatwo przez niego przecisnąć.

Sikes, bez wielkiego natężenia, otworzył to okienko również.

— A teraz słuchaj, mały drabie! — szepnął, wyjmując z kieszeni małą latarenkę, którą zapalił i światło jej skierował wprost na twarz Oliwera. — Ja przesunę cię przez to okienko. Weź z sobą latarnię, wejdź pocichu po schodkach, które tam znajdziesz, przejdź przez sień aż do drzwi od ulicy:

drzwi te otworzysz i wpuścisz nas przez nie do środka.

— U drzwi jest zasuwka tak wysoko, że jej nie dostaniesz — dodał Tobjasz — przystaw więc sobie jedno z krzeseł w przedpokoju. Jest ich tam trzy, Billu, każde z ładnym niebieskim jednorożcem i złotemi widełkami. Jest to herb starej pani.

— Spraw się cicho — przestrzegał Sikes Oliwera, spoglądając na niego groźnie. — A czy drzwi od izdebki są otwarte?

— I to naoścież — odpowiedział Tobjasz, zajrzawszy ostrożnie przez okienko — oni je zawsze na noc zostawiają otwarte, żeby pies, mający tutaj swoje posłanie, mógł wyjść do sieni w razie gdyby zwęszył coś podejrzanego... Ha, ha, ha! Ale Barney dziś bardzo zręcznie go wywabił.

Chociaż Crackit szeptał tylko, i również cicho się smiał tak, że go już o parę kroków słyszeć nie było można, Sikes jednak kazał mu milczeć i zabierać się do roboty.

Tobjasz usłuchał natychmiast. Wyjął latarnię, postawił ją na ziemi, a potem zgiął się we dwoje, osadził mocno na nogach, głowę wsparł o mur tuż pod okienkiem tak, że grzbiet jego stanowił niejako stopień od schodków. Sikes wdrapał się nań natychmiast, przecisnął Oliwera zwolna nogami naprzód przez okno, trzymając go wciąż za kołnierz, opuścił wewnątrz na podłogę.

— Weź tę latarnię — szepnął. — Czy widzisz schodki przed sobą?

Oliwer, napół umarły, odpowiedział, że widzi, a Sikes, wskazawszy mu pistoletem drzwi od ulicy, napomniał krótko, że go natychmiast trupem położy, jeżeli będzie się ociągał i nie zechce wykonać jego rozkazu.

— Na to wszystko potrzebna zaledwie minuta czasu — dodał. — Idź i rób to, co ci nakazano. Żywo!

— Ha! Co to jest! — zawołał nagle pocichu Tobjasz. Obaj zaczęli pilnie nasłuchiwać.

— Nic... — mruknął Sikes, puszczając Oliwera. — Dalej!

W czasie tej krótkiej przerwy, Oliwer odzyskał przytomność i postanowił stanowczo użyć wszystkich sposobów, aby rozbudzić mieszkańców domu, choćby go za to śmierć spotkać miała. Z tą myślą postąpił ku drzwiom.

— Wróć się! Wróć natychmiast! — zawołał nagle Sikes. — Czy słyszysz?!

Oliwer przestraszony tem nagłem wezwaniem, które rozbrzmiało dziko wśród grobowej ciszy, a więcej jeszcze głośnym krzykiem, który jednocześnie dał się słyszeć wewnątrz domu, upuścił z ręki latarnię i nie wiedział co ma robić: iść dalej, czy też uciekać?

Krzyk powtórzył się, ukazało się światło, a wraz z niem dwuch przestraszonych, napół ubranych ludzi zjawiło się na schodach....

Potem Oliwer spostrzegł jakby błyskawicę, uczuł dym, usłyszał huk, łoskot... zachwiał się, potoczył wtył i upadł, nie wiedząc co się dzieje...

Sikes zniknął na chwilę, wkrótce jednak chwycił go za kołnierz zanim dym się rozszedł, potem wypalił z pistoletu do owych dwuch ludzi, którzy się przezornie cofnęli i uniósł chłopca do góry.

— Przytul ramiona do ciała! — wołał ciągnąc Oliwera przez okienko. — Podaj mi szal, Crackit! Prędko! Jak ten chłopiec broczy krwią...

Niebawem w domu dał się słyszeć odgłos dzwonków, szczęk broni, krzyk i hałas gromadzących się ludzi, a jednocześnie Oliwer doznawał wrażenia, że ktoś spiesznie unosi go na rękach... Stopniowo hałas

stawał się coraz bardziej nieokreślony; śmiertelny chłód ogarnął serce chłopca; wkońcu już nic nie widział i nic nie słyszał.

Rozdział dwudziesty trzeci,

który zawiera treść zabawnej rozmowy pomiędzy panem Bumble a pewną niewiastą i który wykazuje jednocześnie, że nawet woźny może być na niektórych punktach wrażliwy.

Noc była nadzwyczaj zimna.

Śnieg, pokrywający ziemię, utworzył grubą i gładką skorupę; jedynie warstwy, nawiane przy drogach i na zakrętach, poddawały się porywom gwałtownego wichru, który też nacierał na nie z wściekłością, zamieniał w wirujące tumany i rozsiewał wkońcu na wszystkie strony.

Była to jedna z tych burzliwych, ponurych, dokuczliwych nocy, w czasie których ludzie, dobrze i wygodnie mieszkający, gromadzą się zwykle koło ognia i dziękują Bogu za to, że siedzą w domu, a ludzie ubodzy, bez przytułku i środków do życia, kładą się na ziemi i umierają.

Podczas takich ciemnych i mroźnych nocy, na pustych ulicach, nędzarze zamykają oczy — nędzarze, których bez względu na popełnione przez nich zbrodnie sądzić trudno, — jako że cierpią i męczą się bez miary.

W taki to czas pani Corney, gospodyni Domu Roboczego, z którym zaznajomiliśmy czytelnika jako z miejscem urodzenia Oliwera Twista, usiadła sobie w swoim pokoiku, przy kominku, i spojrzała z zadowoleniem na okrągły stolik, na którym leżała tacka odpowiedniej wielkości, a na niej wszystko, co jest potrzebne do przyrządzenia ulubionego dla kobiet napoju.

Pani Corney chciała właśnie uraczyć się kubkiem ciepłej herbaty, a gdy przeniosła wzrok ze stołu na ogień, na którym maluteńki kociołek wyśpiewywał cieniutkim głosem jednostajną piosenkę, błogość jej wewnętrzna widocznie wzrosła do tego stopnia, że wywołała nawet uśmiech na twarzy.

— Miły Boże! — myślała sobie, opierając się łokciami na stoliku i spoglądając na ogień — wszyscy mamy obowiązek wdzięczności względem Boga... Tak, zaiste, wielki obowiązek. Ale nie wszyscy poczuwają się do tego obowiązku...

I pani Corney wstrząsnęła głową, jakby ubolewając nad zaślepieniem biedaków, którzy nie poczuwają się do tego obowiązku, wziąwszy zaś do ręki srebrną łyżeczkę (własność osobista) i zatopiwszy ją w najtajniejszej kryjówce puszki, zabrała się do przyrządzenia herbaty.

Jak mała drobnostka wystarczy, aby w mgnieniu oka zmącić pogodę naszego umysłu!

Czarny kociołeczek był tak mały i tak niewiele mieściło się w nim wody, że wkrótce zaczęła ona kipieć i oparzyła cokolwiek rękę pani Corney, która właśnie zajęta była owemi głębokiemi myślami natury moralnej.

— Przeklęty kociołek! — zawołała zacna niewiasta, stawiając go na brzegu kominka — głupie naczynie, mieszczące w sobie tylko parę kubków wody!... Nacóż może się ono komu przydać?... Chyba — dodała po chwili — chyba tylko takiej biednej, opuszczonej kobiecie, jak ja?... Miły Boże!

To rzekłszy, opadła na krzesło, położyła znów łokcie na stole i zadumała się nad swą samotną dolą.

Mały kociołeczek i jedyna filiżanka na stole wzbudziły w jej duszy smutne wspomnienie o nieboszczyku panu Corney, (który od dwudziestu pięciu lat zaledwie leżał w grobie) i rozrzewniły ją do reszty.

— Już nigdy nie będę miała drugiego takiego — westchnęła żałośnie — ach... nigdy takiego, jak on!

Czy ta uwaga dotyczyła męża, czy kociołka — tego z wszelką pewnością powiedzieć nie można. Musiała jednak raczej dotyczyć tego ostatniego, gdyż pani Corney, mówiąc, spoglądała na niego i nawet wzięła go do ręki.

Zaledwie wypiła pierwszy kubek herbaty, gdy dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi.

— Kto tam?... — zawołała pani Corney opryskliwie. — Zapewne ktoś od umierającej kobiety. Te przeklęte baby zawsze wtedy umierają, kiedy zabieram się do jedzenia. Nie stój w drzwiach i nie wpuszczaj mi zimna do pokoju. O co chodzi?

— O nic, pani Corney! — odpowiedział męski głos.

— Wielki Boże! — zawołała niewiasta o wiele łagodniejszym tonem — pan Bumble!

— Do usług, pani Corney! — odpowiedział Bumble, który zatrzymał się chwilkę przed drzwiami, aby wytrzeć buty i śnieg z odzieży strząsnąć, a teraz wsuwał się do pokoju, trzymając w jednej ręce swój trójgraniasty kapelusz, a w drugiej zawiniątko. — Czy mam zamknąć drzwi, pani Corney?

Niewiasta zwlekała wstydliwie z odpowiedzią, obawiając się, czy takie sam na sam z panem Bumble przy drzwiach zamkniętych nie rzuci cienia na jej dobrą opinję. Lecz pan Bumble skorzystał z tego wahania i zamknął drzwi bez pozwolenia, gdyż przemarzł bardzo.

— Zimno na dworze — rzekła pani Corney.

— Bardzo zimno, pani Corney — odpowiedział woźny. — Szkaradne powietrze, działające na szkodę gminy!... Musieliśmy wydać na miasto, moja pani Corney... musieliśmy wydać tego popołudnia blisko

dwadzieścia bochenków chleba i półtora sera, a ubodzy jeszcze nie są zadowoleni.

— Zwykła to rzecz... Kiedyż oni są zadowoleni, panie Bumble? — zauważyła niewiasta, popijając herbatę.

— To prawda, kiedy? — potwierdził Bumble. — Oto mamy właśnie pewnego człowieka, któremu, ze względu na żonę i liczną rodzinę, dano cały bochenek chleba i funt sera... cały funt, dobrej wagi! Czy pani myślisz, że on za to podziękował? Co?... Ani za grosz wdzięczności! Zamiast tego, moja pani Corney, przychodzi po węgle, choćby tylko garstkę, choćby tyle, co się zmieści do chustki, powiada!... Węgli!... Na cóż tobie węgle? — Aby ser na nich usmażyć, a potem przyjść po więcej!... Tak to jest zawsze z tymi ludźmi, moja pani Corney!... — Dzisiaj da się im pełny fartuch węgli, a oni najdalej na trzeci dzień przychodzą po więcej!

Niewiasta przyznała słuszność tym słowom, i woźny ciągnął dalej:

— Ta bezczelność doszła w tych dniach do takiego stopnia, jak jeszcze nigdy. Przedwczoraj przyszedł człowiek, — pani jest zamężna, mogę zatem powiedzieć — który zaledwie miał kilka gałganków na sobie (pani Corney spuściła wstydliwie oczy) — zapukał do drzwi dozorcy wtedy właśnie, kiedy ten siedział w towarzystwie przy obiedzie, i zażądał, aby mu koniecznie przyjść z pomocą, proszę pani. Ponieważ nie chciał się oddalić, a widok jego raził gości, więc nasz dozorca kazał mu dać funt ziemniaków i kwaterkę owsianej mąki... — Mój Boże! — zawołał wtedy ten niewdzięcznik — nacóż mi się to przyda? To tak samo, jakbyście chcieli dać mi parę żelaznych okularów! — Dobrze więc! — odpowiedział nasz dozorca, odebrawszy swoje dary z powrotem — zatem nic nie dostaniesz, gdyż ja nic innego dać ci nie

mogę. — To ja umrę z głodu na ulicy! — rzekł ten włóczęga. — Jak ci się podoba, mój człowieku! — odpowiedział nasz dozorca.

— Ha, ha, ha!... Bardzo dobrze!... To przypomina pana Grannet, nieprawdaż? — wtrąciła pani Corney. — Cóż się potem stało, panie Bumble?

— Co się potem stało, moja pani? — odpowiedział Bumble. — Ten człowiek sobie poszedł i umarł na ulicy!... To uparty człowiek!

— Nie wiem, czy kiedy w mojem życie słyszałam o czemś podobnem! — zawołała pani Corney uroczyście. — Ale czy nie myśli pan, panie Bumble, że pomoc, dawana poza Domem Roboczym, jest rzeczą bardzo szkodliwą. Jako człowiek, posiadający tak wielkie doświadczenie w tej mierze, powinieneś mieć o tem swoje zdanie, panie Bumble.

— Pani Corney! — zawołał woźny, uśmiechnąwszy się tak, jak zwykle uśmiecha się człowiek, który jest przekonany o swej wyższości. — Moja pani Corney... pomoc pozadomowa... oględnie użyta... jest dla gminy ucieczką. Główną zasadą takiej pomocy poza Domem Roboczym jest to, aby ludziom potrzebującym, dawać te rzeczy, których właśnie nie potrzebują; co ich tak zraża, że drugi raz z prośbą nie przychodzą.

— Drogi panie! — zawołała pani Corney — to bardzo dobry sposób!

— Prawda? Niech to jednak pozostanie między nami, moja pani... — upomniał pan Bumble. — To jest nasza wielki zasada i dzięki wprowadzeniu jej w życie, czytamy często w naszych bezczelnych dziennikach, iż ubogie rodziny obdarzamy serem jedynie. A przecież to się stało teraz ogólną zasadą w całem państwie, pani Corney. Proszę jednak o tem nie zapominać — dodał woźny, rozwijając zawiniątko — że to są tajemnice urzędowe, o których

tylko tacy urzędnicy gminy, jak my oboje, moja pani Corney, pomiędzy sobą mówić możemy... Tu jest portwein, który zbór przeznaczył dla chorych... świeży, prawdziwy, dzisiaj popołudniu dopiero ściągnięty na flaszki; jasny, jak krynica, bez żadnego osadu.

Pan Bumble wziął jedną butelkę do ręki, potrzymał ją pod światło, potrząsnął na dowód, że w istocie jest bardzo dobra, i postawił potem obie na komodzie. To uczyniwszy, złożył chustkę, w której przyniósł butelki, schował ją troskliwie do kieszeni i wziął kapelusz do ręki, jakby się już zabierał do odejścia.

— Będziesz miał bardzo przykrą drogę, panie Bumble — odezwała się zacna kobieta.

— Mróz taki, moja droga pani Corney — odpowiedział Bumble, podnosząc kołnierz od swego płaszcza — że człowiekowi uszy omal nie odmarzną.

Pani Corney spoglądała to na czajnik, to na woźnego, który posuwał się ku drzwiom, a gdy Bumble chrząknął z zamiarem powiedzenia jej dobranoc, ona spytała go wstydliwie, czy nie zechciałby wypić filiżanki herbaty?

Bumble odwinął natychmiast kołnierz od swego płaszcza, położył kapelusz i laskę na krześle i krzesło do stolika przysunął.

Gdy się na niem poważnie usadowił, rzucił okiem na panią Corney. Zacna niewiasta wlepiła oczy w czajnik. Pan Bumble powtórnie chrząknął i lekko się uśmiechnął.

Pani Corney wstała i poszła do szafki po drugą filiżankę i drugą tackę.

Gdy znów usiadła, oczy jej spotkały powtórnie wejrzenie zalotnego woźnego; rumieniec wystąpił na jej twarz, i zabrała się do przyrządzenia mu herbaty.

Pan Bumble jeszcze raz chrząknął, lecz tym razem daleko głośniej.

— Czy słodka, panie Bumble? — zapytała niewiasta, otworzywszy cukierniczkę.

— Ach słodka, słodka, droga pani Corney! — odpowiedział Bumble i, mówiąc to, utkwił swoje oczy w panią Corney...

Jeśli kiedykolwiek jaki woźny spoglądał czule na kobietę, to pan Bumble był w tej chwili takim właśnie woźnym.

Pani Corney przyrządziła herbatę i podała mu ją, nie rzekłszy ani słowa.

Pan Bumble, osłoniwszy kolana chustką od nosa aby nie splamić sobie nieposzlakowanego ubrania, zabrał się do jedzenia i do picia, nadając tej czynności pewną rozmaitość przez głębokie westchnienia, które jednak nie psuły mu apetytu, lecz przeciwnie, działały podniecająco w dziedzinie ciastek i herbaty.

— Jak widzę, chowasz u siebie kota, droga pani — odezwał się nakoniec Bumble, spoglądając na kotkę, która w otoczeniu kociąt grzała się przy ogniu. — I kotki małe także? — dodał po chwili.

— Ach, ja je tak lubię panie Bumble! — odpowiedziała niewiasta. — To są tak ładne, tak wesołe, tak miłe zwierzątka, że ich towarzystwo sprawia mi wielką uciechę.

— Ładne zwierzątka — potwierdził Bumble — i takie łaskawe!

— To prawda! — zawołała niewiasta z uniesieniem — są tak przywiązane do mnie i do domu, że jest to prawdziwa przyjemność, zaręczam panu.

— Pani Corney... — rzekł pan Bumble powoli, wybijając takt łyżeczką od herbaty — mnie się zdaje, że ten kot lub kotka, którą trzymasz u siebie w domu, byłaby osłem chyba, gdyby się do ciebie nie przywiązała.

— Ach, panie Bumble! — odparła z wyrzutem niewiasta.

— Jest to rzecz jasna, proszę pani — potwierdził Bumble, wywijając łyżeczką od herbaty z romantyczną godnością, która czyniła go bardzo pociągającym — takiego niewdzięcznego kota utopiłbym własnoręcznie z przyjemnością.

— Ach, okrutniku! — zawołała pani Corney z żywością i sięgnęła po filiżankę woźnego — o kamiennem sercu.

— O kamiennem sercu, droga pani — rzekł Bumble — kamiennem?

Pan Bumble podał jej swoją filiżankę, nie dodawszy ani słowa więcej, uścisnął paluszek pani Corney, gdy ona ją odbierała, poklepał się dłonią parę razy po swej ugalowanej kamizelce, westchnął głęboko, i odsunął swoje krzesło cokolwiek od kominka.

Stolik był okrągły; a że pani Corney i Bumble siedzieli naprzeciw siebie w niewielkiej odległości, twarzami zwróceni do ognia, przeto mogłoby się zdawać, że woźny, odsuwając się od ognia, chciał zwiększyć przestrzeń, istniejącą pomiędzy nim a panią Corney.

Rozsądni czytelnicy będą zapewne podziwiali to postępowanie woźnego i uznają je za czyn bohaterski z jego strony biorąc pod uwagę, że pora, miejsce i okoliczności sprzyjały prowadzeniu miłej rozmowy, która przystoi może ludziom młodym, lekkomyślnym, lecz poniża godność wysokich sędziów, członków parlamentu, ministrów, lordów i innych wysokich urzędników, szczególnie zaś godność woźnego, który, jak wiadomo, powinien być z nich wszystkich najsurowszym i najbardziej nieugiętym.

Jakiekolwiek jednak były zamiary pana Bumble — a nie wątpimy wcale, że były one bardzo dobre... — stolik, na nieszczęście, był okrągły, i pan Bumble

posuwając się coraz dalej, zmniejszał przestrzeń pomiędzy sobą a niewiastą; i wkońcu krzesło swoje przysunął do krzesła, na którem siedziała matrona.

Gdy pan Bumble ten cel osiągnął, przestał natychmiast posuwać się dalej.

Pani Corney żadną miarą nie mogła ruszyć się z miejsca; jeżeli bowiem usunęłaby się na prawo, zbliżyłaby się zanadto do ognia i naraziła na niebezpieczeństwo oparzenia, gdyby zaś uczyniła to na lewo, to wpadłaby wprost w objęcia pana Bumble.

Lecz była to uczciwa kobieta; objąwszy przeto jednym rzutem oka sytuację, pozostała na miejscu i nalała woźnemu drugą filiżankę herbaty.

— Kamienne serce, pani Corney? — powtórzył Bumble, mieszając herbatę i patrząc niewieście prosto w oczy. — Czy i pani posiada kamienne serce, pani Corney?

— Wielki Boże! — zawołała matrona — jakie dziwne pytanie ze strony nieżonatego mężczyzny... Co to pana może obchodzić, panie Bumble?

Woźny wypił herbatę co do kropli, skończył ciasteczko, zmiótł okruszyny z kolan, otarł chustką usta i wycisnął pocałunek na licu niewiasty.

— Panie Bumble! — szepnęła tylko wstydliwa kobieta, albowiem przelękła się tak mocno, iż głos z przestrachu straciła. — Panie Bumble, będę krzyczeć...

Pan Bumble nic na to nie odpowiedział, lecz zwolna i poważnie objął ręką jej kibić. Ponieważ niewiasta oświadczyła, że będzie krzyczeć, byłaby uczyniła to z pewnością po świeżym dowodzie śmiałości woźnego, lecz ostatecznie podobny wysiłek stał się zupełnie niepotrzebny, gdyż w tej chwili właśnie zapukano do drzwi.

Usłyszawszy to pukanie, pan Bumble zerwał się z krzesła i podskoczył ku butelkom z portweinem,

które zaczął gwałtownie obcierać z kurzu, pani Corney zaś spytała opryskliwie: Kto tam?

Warto zanotować, jako namacalny przykład, do jakiego stopnia niespodziewane wrażenie może wpłynąć na opanowanie przestrachu, — że pani Corney odzyskała natychmiast całą ostrość swego urzędowego głosu.

— Przepraszam panią! — rzekła stara, pomarszczona, odrażająco brzydka kobieta z Domu Roboczego, wsunąwszy głowę przez drzwi — stara Sally kona...

— A mnie co to obchodzi? — burknęła pani Corney. — Czy ja mogę utrzymać ją przy życiu?

— Wiem, wiem dobrze, że nie, proszę pani — odpowiedziała staruszka — nikt tego już uczynić nie może. Widziałam niemało ludzi konających, drobne dzieci, wielkich, silnych mężczyzn, i poznaję natychmiast, kiedy śmierć przychodzi na człowieka. Ale ona już traci przytomność... gdy zaś na chwilę przychodzi do siebie, wtedy woła, że musi z panią koniecznie pomówić przed śmiercią. Nie umrze spokojnie, dopóki pani nie wysłucha!

Na tę wiadomość, zacna pani Corney zaczęła w sposób bardzo urozmaicony wyzywać stare baby, które nie mogą nawet umrzeć bez nudzenia swych dobroczyńców; wreszcie, otuliwszy się w ciepłą chustkę, poprosiła pana Bumble, aby zatrzymał się do jej powrotu, który wkrótce nastąpi, o ile nie zajdzie coś nadzwyczajnego.

Rozkazawszy potem staruszce iść prędko i nie wlec się tak wolno, gdyż nie ma zamiaru spędzić całej nocy na schodach, wyszła za nią z pokoju w bardzo złym humorze i gderała całą drogę.

Zachowanie się pana Bumble, gdy został sam w pokoju, było raczej niepojęte. Otworzył bowiem szafkę, policzył wszystkie łyżeczki, zważył w ręce

cukierniczkę i szczypczyki do cukru, obejrzał dokładnie garnuszek srebrny na śmietankę, aby się przekonać, czy jest z czystego srebra, a zaspokoiwszy należycie swoją ciekawość, włożył trójgraniasty kapelusz na bakier na głowę i czas jakiś z wielką powagą tańczył koło stolika.

Po ukończeniu tego nadzwyczajnego widowiska, zdjął kapelusz z głowy, rozsiadł się szeroko koło ognia i, odwrócony do niego plecami, pogrążył się w dokładne ocenianie umeblowania całego pokoju.

Rozdział dwudziesty czwarty.

Mówi o niewiele znaczących szczegółach, jest jednak krótki i może być uznany za ważny w odniesieniu do całego opowiadania.

Kobieta, która przerwała spokój pani Corney, była jakby umyślnie wybrana na zwiastunkę śmierci. Wiek przygarbił jej postać, paraliż powykrzywiał członki, a pomarszczona twarz zdawała się być raczej karykaturalnym szkicem jakiegoś dzikiego pędzla, niż dziełem twórczej przyrody.

Niestety! Jak mało mamy twarzy, które zachowują piękność daną im od przyrody.

Troski, zgryzoty, najrozmaitsze dolegliwości zmieniają je wkrótce, podobnie jak nasze serca; i dopiero wtedy, gdy namiętności zasypiają i tracą swoją władzę nad człowiekiem, dopiero wtedy rozpraszają się posępne chmury i ukazuje się błękit nieba.

Jest to zresztą fakt dobrze znany, że oblicza zmarłych nabierają tego samego wyrazu, który zdobił je jeszcze w oczach marzycielskiego dzieciństwa i który mówi o najistotniejszej prawdzie młodości. Są one tak spokojne i ciche, że ci, którzy znali w dzieciństwie tych, co teraz spoczywają martwi,

klękają koło trumny ze czcią i widzą w niej nadziemskiego Anioła.

Stara kobiecina dreptała przez korytarze i wspinała się po schodach, mrucząc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa w odpowiedzi na zrzędzenie swej towarzyszki; zmęczywszy się prędko, musiała zatrzymać się na chwilę dla nabrania tchu; oddała więc świecę dozorczyni i pozostała za nią wtyle. Tymczasem bardziej żwawa przełożona podążyła do pokoju, gdzie leżała konająca.

Było to poddasze, oświetlone lichą lampą, majaczącą w kącie.

Koło łóżka siedziała druga staruszka, a młody pomocnik lekarza gminy stał przy kominku, przyrządzając sobie piórko do zębów.

— Noc bardzo zimna, pani Corney! — rzekł, gdy dozorczyni weszła do izby.

— Rzeczywiście, bardzo zimna! — odparła pani Corney jak najgrzeczniej, kłaniając się jednocześnie.

— Powinniście postarać się o lepszy węgiel — zauważył kandydat na lekarza, rozbijając zardzewiałym pogrzebaczem węgiel w kominku — to są kamienie wprost, a nie węgle.

— Węgiel nie należy do mnie — odparła dozorczyni — zarząd gminy sam go wybiera. Prawdę mówiąc, powinienby pamiętać przynajmniej o tem, żeby nam było ciepło. Nasza posada jest bardzo ciężka.

Jęk konającej przerwał rozmowę.

— A! — zawołał młodzieniec, obracając się do łóżka, jakby teraz dopiero przypomniał sobie nieszczęśliwą kobietę. — Już dogorywa, pani Corney.

— Doprawdy? — spytała matrona.

— Zdziwiłoby mię mocno, gdyby pożyła jeszcze kilka godzin — zaopinjował młodzieniec, kończąc piórko do zębów. — Wszystko w niej już zamiera. A może ona zasnęła? Zobaczno stara?

Siedząca przy łóżku staruszka nachyliła się nad chorą i kiwnęła głową na znak potwierdzenia.

— Może zatem w tym stanie na tamten świat się przeniesie, jeżeli jej nie będziecie niepokoili. Postawcie światło na podłodze, żeby nie raziło jej w oczy.

Stara pielęgniarka spełniła polecenie, lecz wstrząsnęła głową, jakby chcąc dać do zrozumienia, że chora nie umrze tak prędko; poczem usiadła na dawnem miejscu, obok drugiej pielęgniarki, która tymczasem nadeszła.

Pani Corney otuliła się w swoją chustkę i z wyrazem zniecierpliwienia zajęła miejsce w nogach łóżka.

Kandydat na lekarza, wystrugawszy sobie wykałaczkę, stanął przed ogniem i przez jakie dziesięć minut doświadczał na własnych zębach praktyczności swego wyrobu; potem mu się zapewne spać zachciało, gdyż pożegnał panią Corney, życząc jej przyjemnej zabawy i dobrej nocy, i na palcach wyniósł się z izby.

Obie stare pielęgniarki, przesiedziawszy czas niejaki w milczeniu przy łóżku, wstały, zbliżyły się do kominka, przyklękły koło ognia i zaczęły grzać przy nim swe pomarszczone ręce. W niebieskawym płomieniu zapadnięte ich twarze wyglądały okropnie, niby oblicza widm nocnych; w tej postawie rozpoczęły między sobą pocichu rozmowę:

— No i cóż, Hanno, czy nie powiedziała nic więcej w tym czasie, kiedy chodziłam po panią Corney? — zapytała towarzyszki ta, która wzywała gospodynią Domu Roboczego.

— Ani słówka — odparła druga. — Zaczęła tylko drapać się i skubać po rękach i piersi... ale chwyciłam ją za dłonie, i uspokoiła się prędko. Już niewiele sił ma w sobie, mogłam jej łatwo dać radę. Nie jestem jeszcze tak słaba na moje stare lata, choć pozostaję na utrzymaniu gminy!

— A czy wypiła grzane wino, które przepisał jej lekarz? — pytała pierwsza.

— Chciałam jej wlać do ust, ale miała zęby tak mocno zaciśnięte, że niepodobna było przecedzić przez nie ani kropelki. Wypiłam je zatem sama i zrobiło mi ono bardzo dobrze.

Obie czarownice obejrzały się ostrożnie, chcąc się upewnić, czy ich nikt nie słyszy, przysunęły się bliżej do ognia i roześmiały się serdecznie.

— Myślę, że w swoim czasie — rzekła pierwsza — ona byłaby uczyniła to samo i śmiałaby się potem ze swego dowcipu.

— To prawda!... To prawda — przytaknęła druga — ona bardzo lubiła podobne figle, a niejedną towarzyszkę na tamten świat wyprawiła; były pomiędzy niemi ładne i młode. Wiem dobrze, bo nieraz te stare ręce pomagały jej w pracy.

Mówiąc to, stara wiedźma wyciągnęła przed siebie drżące ręce, podniosła je ku twarzy, poczem dobyła z kieszeni staroświecką, wytartą tabakierkę, sama zażyła tabaki i uraczyła nią swą towarzyszkę.

Tymczasem pani Corney, zniecierpliwiona długiem czekaniem na ocknięcie się umierającej kobiety z przedzgonnego odrętwienia, zbliżyła się do rozmawiających i zapytała opryskliwie: jak długo jeszcze będzie musiała czekać?

— Niedługo, moja pani, niedługo! — odpowiedziała druga baba, patrząc jej w oczy. — My wszyscy niedługo będziemy na śmierć czekali. Cierpliwości tylko, cierpliwości! Ona się nie spóźni i w swoim czasie wszystkich nas dosięgnie!

— Schowaj dla siebie niewczesne żarty, głupia babo! — zawołała pani Corney surowo. — A ty, Marto, powiedz, czy była ona przedtem w takim stanie?...

— Była! — odpowiedziała zagadnięta.

— Ale więcej nie będzie — wtrąciła druga — raz tylko jeden jeszcze ocknie się z tego odrętwienia... lecz to nie potrwa długo.

— Długo, niedługo — rzekła pani Corney porywczo — ona mię tutaj nie zobaczy, gdy się obudzi, a wy nie ważcie się niepokoić mię więcej. To nie należy wcale do moich obowiązków być świadkiem śmierci wszystkich starych bab Domu Roboczego. Wreszcie ja tego nie chcę... Zapiszcie to sobie raz na zawsze w pamięci, głupie, idjotyczne kwoki! Jeżeli kiedykolwiek narazicie mię znów na taką nieprzyjemność, to prędko was z tego wyleczę — możecie być pewne.

Zabierała się do wyjścia, gdy wstrzymał ją krzyk obu pielęgniarek, zwróconych twarzami do łóżka konającej. Chora usiadła o własnych siłach i wyciągnęła do nich ręce.

— Kto tu jest? — zawołała grobowym głosem.

— Cicho, cicho! — szepnęła jedna z pielęgniarek, zbliżywszy się do niej — połóżcie się, połóżcie!

— Nie położę się! — przerwała umierająca z wysiłkiem — muszę z nią pomówić!... Zbliż się do mnie, pani Corney... bliżej ...Daj mi ucho...

Chwyciwszy panią Corney za ramię i zmusiwszy ją, aby usiadła przy niej na krześle, zabierała się do mówienia, gdy spostrzegła, że obie stare pielęgniarki z wyciągniętemi szyjami czekają również na jej zwierzenie.

— Niech idą precz! — zawołała wtedy. — Niech idą precz, natychmiast!

Stare czarownice, widząc, że je wypędzano, zaczęły rozwodzić swe żale nad tem, że biedna ich towarzyszka tak jest chora, iż nie poznaje nawet najlepszych przyjaciółek; oświadczyły też, że serce nie pozwala im opuszczać jej w ostatniej godzinie życia; lecz pani Corney wyrzuciła obie za drzwi, zam-

knęła je potem za niemi i usiadła napowrót przy łóżku.

Wiedźmy, wypędzone z izby, zmieniły nagle postępowanie: zaczęły głośno wrzeszczeć przez dziurkę od klucza, że stara Sally upiła się, co nie było w istocie tak nieprawdopodobne, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że umierająca zażyła nietylko znaczną ilość opjum, przepisanego jej przez lekarza, ale wychyliła także dużą szklankę wódki z wodą, którą uraczyły ją ze szczerego serca owe dwie pielęgniarki.

— A teraz chciej mię wysłuchać, pani Corney — rzekła Sally, dobywając z wysiłkiem resztki energji. — Słuchaj mię!... W tej samej izbie... na tem samem łóżku... dawałam jeść młodemu, ładnemu stworzeniu, które zostało przyniesione do Domu Roboczego z poranionemi wskutek długiej podróży nogami, pokrytemi krwią i kurzem. Kobieta porodziła chłopca i umarła... Może sobie... rok jeszcze przypomnę... zaraz!...

— Mniejsza o rok — przerwała niecierpliwie pani Corney — co wiesz o niej?

— O niej? — szepnęła kobieta, walcząc ze śmiercią i wpadając znów w odrętwienie. — O niej? O niej? Wiem... wiem!... — krzyknęła, zrywając się gwałtownie; rumieniec wystąpił na jej twarz, oczy wyskakiwały niejako z orbit. — Okradłam ją! Tak, okradłam! Zrabowałam!... Jeszcze nie zastygła, powiadam pani, kiedym jej skradła... zrabowała...

— Co takiego? Powiedz, na miłość Boga! — zawołała pani Corney z takim ruchem, jakby chciała wzywać pomocy.

— To — szepnęła konająca — to jedyne, co posiadała. Nie miała odzieży, żeby się ciepło otulić, nie miała co do ust włożyć... a jednak przechowała

to troskliwie i nosiła ukryte w zanadrzu. To było złoto!... Szczere złoto, które mogło było uratować jej życie.

— Złoto?! — powtórzyła pani Corney, nachyliwszy się szybko nad umierającą kobietą, która upadła na poduszki. — Mówże... mów dalej, Sally... Na miłość Boga, mów!.. Co się dalej stało?... Co ona była za jedna?... Skąd była?... Kiedy się to stało?

— Kazała mi to troskliwie przechować — zaczęła znów szeptać Sally — i zwierzyła się przede mną gdyż ja jedna tylko znajdowałam się przy niej. A ja okradłam ją myślą wtedy jeszcze, kiedym spostrzegła po raz pierwszy ten przedmiot zawieszony na jej szyi. I chłopca mam także na sumieniu!... Byliby się pewnie lepiej z nim obchodzili, gdyby o tem wszystkiem byli wiedzieli?

— O czem? — dopytywała pani Corney. — Mówże!

— Chłopiec robił się tak podobny do matki — mówiła Sally, tracąc przytomność i nie zważając na pytanie — że zawsze ona stawała mi przed oczyma, gdym spojrzała na niego... Biedna dziewczyna!... Taka jeszcze młoda!... Takie to łagodne, miłe!... Ha!... Jeszcze coś więcej mam powiedzieć! A może już wszystko powiedziałam... Co?

— Nie, nie, Sally, mów dalej — zachęcała pani Corney, pochyliwszy głowę, aby uchwycić słowa, które brzmiały coraz słabiej. — Spiesz się, mów prędzej, bo może być zapóźno.

— Matka — bełkotała konająca z wysiłkiem — szepnęła mi do ucha, gdy występowały na nią śmiertelne poty, że skoro jej dziecko wyrośnie, to przyjdzie chwila, że nie będzie potrzebowało się wstydzić nazwiska swej matki.... Wielki Boże!... — dodała, złożywszy swe wychudłe ręce — czy to będzie

chłopiec, czy dziewczyna, zaopiekuj się dzieciną, znajdź dla niej przyjaciół na tym smutnym świecie, ulituj się nad opuszczoną sierotą, pozostawioną jedynie samej sobie.

— Jak było temu chłopcu na imię? — zapytała pani Corney.

— Nazwali go O...li...wer... — wyszeptała konająca zaledwie dosłyszalnie. — A złoto, które ukradłam.... było to....

— Co takiego? — krzyknęła pani Corney. Pochyliła się bardziej nad umierającą, aby nie stracić ostatniego szeptu, lecz cofnęła się mimowoli, gdy ta podniosła się raz jeszcze i zwolna, sztywno usiadła; po chwili Sally chwyciła kołdrę obiema rękoma, wybełkotała kilka niezrozumiałych słów i padła bez duszy na poduszki.

— — — — — — — — —

— Umarła! — zawołała jedna ze starych pielęgniarek, wpadłszy do izby, skoro tylko pani Corney otworzyła drzwi.

— Tak, umarła... i właściwie, nie miała nic do powiedzenia! — rzekła pani Corney, wychodząc z obojętną miną z pokoju.

Stare wiedźmy były widocznie zbyt zajęte przystępowaniem do swych smutnych obowiązków, bo na objaśnienie pani Corney nie zwróciły uwagi i zajęły się stygnącemi zwłokami umarłej.

Rozdział dwudziesty piąty,

w którym opowiadanie wraca do Fagina i jego towarzyszy.

Kiedy te rzeczy działy się na prowincji w Domu Roboczym, Fagin siedział w swojej kryjówce, z której Nancy zabrała Oliwera na wyprawę. Siedział

zamyślony przy kominku, na którym płonął leniwie ogień, dający kłęby dymu.

Na kolanach trzymał mieszek, który prawdopodobnie podjął z kąta w tym celu, aby nim ogień ożywić, ale zamyślił się tymczasem, ręce założył na mieszku, brodę wsparł na wielkich palcach i wlepił nieruchomo oczy w żelazne, zardzewiałe podpory kominka.

Przy stoliku za nim siedzieli Smyk, Karolek Bates i pan Chitling, zajęci grą w wista. Smyk grał właśnie z „dziadkiem“ przeciwko Batesowi i Chitlingowi.

Twarz Smyka, zawsze bystra i przebiegła, nabierała jeszcze więcej wyrazu w czasie gry, gdyż umysł jego pracował wtedy z nadzwyczajnem natężeniem. Nie zadawalał się bowiem grą z własnych kart, lecz starał się zręcznie podglądać karty przeciwników, a to zmuszało go do bardziej złożonych kombinacyj.

Ponieważ noc była zimna, Smyk siedział w kapeluszu na głowie, co zresztą czynił w domu bardzo często. W zębach trzymał glinianą fajkę, którą wtedy jedynie z ust wyjmował, gdy uznał za rzecz potrzebną sięgnąć po dzbanek, stojący na stole, a napełniony wódką — ku wygodzie i pokrzepieniu towarzystwa.

I Karolek Bates zwracał na grę wielką uwagę; będąc jednak z natury nieco wrażliwszym od swego zrównoważonego przyjaciela, daleko częściej od niego ze dzbanka popijał, a wskutek tego pozwalał sobie na niedorzeczne żarciki i uwagi, nie licujące z osobą szanującego się złoczyńcy.

Smyk też, opierając się na zasadzie ścisłej przyjaźni, jaka ich łączyła, upominał go przy każdej sposobności, lecz Karolek Bates przyjmował wszystkie uwagi z jak najlepszą miną, prosząc usilnie przyja-

ciela, żeby lepiej pilnował siebie i nosa do cudzych spraw nie pakował. W żartach i dowcipach tego rodzaju był niewyczerpany, co wprowadzało Chitlinga w niebywały zachwyt.

Szczególną rzeczą było jednak, że zarówno ostatni jak i jego wspólnik stale przegrywali, ta okoliczność wszakże nie sprawiała Karolkowi Bates żadnej przykrości, przeciwnie, pobudzała go do coraz większej wesołości tak, że po każdym skończonym robrze śmiał się na całe gardło, oświadczając, że nigdy jeszcze tak zręcznej gry nie widział.

— Oto dwa duble i rober skończony! — zawołał Chitling, któremu mina się wydłużyła, gdy wyjmował z kamizelki kilka szylingów dla pokrycia przegranej. — Nie widziałem nigdy, żeby kto tak grał szczęśliwie jak ty, Kubusiu!... Zawsze wygrywasz. Chociaż my z Karolkiem mamy bardzo dobre karty, jednak nie możemy z nich nic osiągnąć.

Ta uwaga, a raczej sposób, w jaki wypowiedziana została, tak wydała się Karolkowi Bates zabawną, że natychmiast parsknął głośnym śmiechem, a ten wybuch przebudził nagle Żyda z zamyślenia i skłonił go do zapytania grających, o co właściwie chodzi?

— O co chodzi, Fagin? — odpowiedział Karolek. — Szkoda, że nie przypatrywałeś się naszej grze. Tomasz Chitling nie wygrał ani jednego punktu, a ja byłem jego wspólnikiem, przeciwko Smykowi z „dziadkiem".

— Czy tak? — zapytał Żyd z szyderczym uśmiechem, dowodzącym, że powód takiego obrotu rzeczy nie jest mu obcy. — Spróbuj z nim jeszcze raz, Tomaszu, jeszcze raz!

— Nie, nie... mam dość tej zabawy... dziękuję za więcej, panie Fagin — odpowiedział Chitling. —

Smyk ma takie szczęście, że niepodobna mu poradzić.

— Ha, ha, ha, mój kochany — rzekł Żyd — musisz wstać bardzo rano, jeżeli chcesz ze Smykiem wygrać.

— Rano? — podchwycił Karolek Bates. — Musisz chyba przez całą noc butów nie zdejmować, do każdego oka przywiązać lunetę a na szyi ustawić lustro, jeżeli chcesz go przewyższyć.

Dawkins przyjmował te wszystkie dowody uznania z filozoficznym spokojem i zaproponował wreszcie grę, polegającą na tem, że stawkę, wynoszącą całego szylinga, zabiera ten z graczy, kto wyciągnie figurę. Ponieważ jednak nikt nie kwapił się do tej gry, a Sam fajkę już wypalił, wynalazł sobie przeto inną zabawkę i zaczął bardzo zręcznie kreślić na stole kawałkiem kredy plan więzienia Newgate, świszcząc przytem z właściwem sobie mistrzostwem.

— Jaki z ciebie, Tomaszu, jest nieoceniony człowiek — odezwał się nakoniec, przerywając długie milczenie, które zapanowało w izbie. — Jak sądzisz, Faginie... o czem teraz nasz Tomasz rozmyśla?

— Skąd ja mogę wiedzieć, mój drogi? — odparł Żyd, dmąc mieszkiem w ogień i spoglądając dokoła. — Zapewne o swojej przegranej, albo też o usunięciu się na wieś, którą niedawno dopiero porzucił, co? Ha, ha, ha! Nieprawdaż, mój drogi?

— Ale gdzie tam, nie zgadłeś, Faginie! — wzruszył ramionami Smyk i zwrócił się do Karolka. — A ty, Karolku, co na to powiesz?

— Mnie się zdaje, że ja odgadnę — rzekł Karolek ze zjadliwym uśmiechem. — On myśli o Betsy, w której zakochał się po uszy... Patrzno, patrz, jakiego spiekł raka!... O, na moje oczy! Jaki to śmieszny chłopak!... Tomasz Chitling zakochany!... Ha, ha,

ha! Ach Faginie! Faginie! To nad moje siły!... Ha, ha, ha! To zabawa!

Zachwycony domysłem, że Chitling stał się ofiarą zalotnych oczu panny Betsy, Karolek Bates rzucił się w uniesieniu wesołości w tył na krześle z taką siłą, że stracił równowagę i runął na ziemię, gdzie (wypadek nie popsuł mu humoru) leżał dopóty, dopóki atak śmiechu nie przeszedł; potem dopiero podniósł się, siadł na dawnem miejscu i roześmiał się znów na całe gardło.

— Nie gniewaj się na niego, mój drogi! — odezwał się Żyd, mrugając na Smyka i uderzając karcąco Karolka końcem swego mieszka. — Betsy to dobra dziewczyna. Weź się do niej szczerze, Tomaszu, weź się do niej!

— Myślę, Fagin! — odpowiedział Chitling, czerwony, jak burak — że nikogo tutaj nic to nie obchodzi.

— Oczywiście — odpowiedział Żyd. — Karolek plecie trzy po trzy. Nie zważaj na niego wcale, mój drogi, nie zważaj! Betsy to zacna dziewczyna. Postępuj tak, jak ona sobie życzy a nie pożałujesz tego.

— To też postępuję zgodnie z jej życzeniem — rzekł Chitling. — Gdyby nie ona, nie byłbym dostał się do więzienia. Ale i to na dobre dla ciebie wyszło, nieprawdaż, Fagin? I co znaczy sześć tygodni... Zresztą, czy dziś, czy jutro, one nas nie miną; lepiej przeto odsiedzieć je zimową porą, kiedy niema tyle roboty i wy nie potrzebujecie nas tak bardzo, prawda Fagin?

— Oczywiście, mój drogi! — potwierdził Żyd.

— I serjo zrobiłbyś drugi raz to samo, gdyby Betsy tego zażądała? — zapytał Smyk, mrugnąwszy na Karolka i Żyda.

— Zdaje mi się, żem już raz powiedział — odparł Tomasz kwaśno. — I radbym wiedzieć, ktoby się na to zdobył, Faginie?

— Nikt... nikt, mój drogi! — zapewniał Żyd. — Jestem przekonany, nikt, z wyjątkiem ciebie, nie byłby tego dokazał, mój drogi.

— Mogłem był uwolnić się bardzo łatwo, gdybym był połowę winy przeniósł na nią, prawda Fagin? — ciągnął dalej Tomasz porywczo, domyślając się, że z niego zadrwiono. — Jedno słówko byłoby wystarczyło, prawda Fagin?

— Oczywiście, mój drogi — potwierdził Żyd.

— Ale czy ja wygadałem się z czem kiedy? — upierał się Chitling coraz uporczywiej. — Powiedz?

— Nie, nie, tego nikt zarzucić ci nie może — zapewniał Żyd — ty jesteś zanadto dumny, żebyś to miał uczynić... tak, tak, zanadto dumny, mój drogi!

— Może jestem dumny — rzekł Tomasz, spoglądając dokoła — a jeśli jestem dumny, czy to jest powód do niewczesnych drwinek? Hę, Fagin?

Żyd, miarkując, że Chitling jest podniecony, pospieszył z zapewnieniem, że nikt z niego drwić nie myślał, i chcąc dać dowód poważnego nastroju całego towarzystwa, zwrócił się do Karolka Batesa, jako do głównego winowajcy.

Na nieszczęście Karolek, otwierając właśnie usta z zamiarem oświadczenia, że nigdy w swojem życiu nie postępował z większą powagą jak dzisiaj, na nieszczęście Karolek nie zdołał stłumić silnego wybuchu śmiechu, co rozwściekliło Chitlinga do tego stopnia, że rzucił się na niego i chciał wymierzyć mu silny cios w głowę. Lecz ten, zwinny bardzo, odskoczył w samą porę i cios ugodził prosto w piersi Fagina, który, nie spodziewając się zaczepki, potoczył się aż pod ścianę i oparł o nią, sapiąc ciężko; Chitling zaś,

oszołomiony tak niespodzianym obrotem rzeczy, spoglądał na wszystkich ze zdumieniem.

— Cicho! — zawołał Smyk, nadstawiając ucha. — Zdaje mi się, że ktoś dzwonił...

Wziąwszy z sobą światło, wyszedł ostrożnie do sieni.

Dzwonek odezwał się powtórnie z większą gwałtownością, podczas gdy reszta towarzystwa siedziała w ciemnościach.

Smyk wrócił niebawem i szepnął Faginowi coś tajemniczo na ucho.

— Jakto! Sam? — zawołał Żyd.

Smyk skinął głową na znak potwierdzenia, i zasłoniwszy ręką płomień świecy, dał Karolkowi na migi do zrozumienia, że lepiej uczyni, jeżeli teraz swą wesołość poskromi. Oddawszy tę przyjacielską usługę, zwrócił oczy na Fagina i oczekiwał jego rozkazów.

Żyd gryzł swoje kościste palce i namyślał się przez parę sekund. Twarz jego wyrażała jakąś wewnętrzną walkę, tak jakby obawiał się czegoś i jeszcze gorszych rzeczy się spodziewał. Nakoniec podniósł głowę do góry.

— Gdzie on jest? — zapytał.

Smyk wskazał na piętro wyżej i uczynił ruch, jakby zamierzał wyjść z izby.

— Dobrze — rzekł Żyd, jakby w odpowiedzi na jego milczące pytanie — sprowadź go tutaj. Sza!... Cicho, Karolku!... Spokojnie, Tomaszu! Precz stąd, obaj precz!

Ten krótki rozkaz został natychmiast wykonany.

Gdy ucichł szmer ich kroków, Smyk zeszedł zgóry po schodach, niosąc świecę w ręku i prowadząc za sobą człowieka, ubranego w brudną bluzę. Człowiek ów rzucił naprzód bacznem okiem po izbie, potem

zdjął z szyi szeroki szal, ukazując twarz wynędzniałą, nieumytą i zarośniętą.

Był to Tobjasz Crackit.

— Jak się masz, Fagin? — rzekł szorstko. — Włóż mi ten szal do mego kastorowego kapelusza, Smyku, żebym długo nie potrzebował go szukać w razie potrzeby; to rzecz główna! Z ciebie jeszcze kiedyś tęgi zuch będzie, na pociechę i zaszczyt naszego rzemiosła, chłopcze.

To rzekłszy, zrzucił z siebie bluzę, zwinął ją w kłębek, przysunął stołek do ognia, usiadł na nim, a nogi oparł na krawędzi kominka.

— Przypatrz się tylko, Fagin! — odezwał się po chwili, pokazując z goryczą swoje buty — ani odrobinki czernidła nie widziały od czasu... ty już wiesz odkąd... Dlaczego patrzysz tak na mnie, człowieku? Na wszystko czas przyjdzie. Ja o ważnych sprawach dopóty nie mogę rozmawiać, dopóki nie najem się dobrze i nie napiję; tak przynajmniej wymaga roztropność; każ więc dać mi trochę jadła, pokrzepię się cokolwiek — trzy dni nie miałem prawie nic w ustach.

Żyd polecił natychmiast Smykowi, aby postawił na stole cały zapas żywności, jaki posiadali w domu, i usiadłszy sam naprzeciw bandyty, oczekiwał rozpoczęcia rozmowy.

Tobjasz jednak nie okazywał wcale chęci w tym kierunku i Żyd zadawalniał się tymczasem badaniem jego twarzy, jakby chcąc z niej wyczytać wiadomości, o które mu chodziło; lecz wysilał się daremnie.

Crackit był widocznie znużony, wycieńczony, ale twarz miał pewną siebie jak zwykle; a z pod warstwy brudu i zapuszczonego zarostu przebijał właściwy mu, szyderczy uśmiech.

Wkońcu Żyd, szarpany niecierpliwością, to liczył wszystkie kęsy, które bandyta kładł w usta, to wstawał, przechadzał się po izbie, to znowu siadał.

Tobjasz, nie zważając wcale na jego niepokój, jadł w dalszym ciągu z niezachwianą obojętnością, wreszcie, skończywszy jedzenie, kazał Smykowi odejść, zamknął za nim drzwi, przyrządził sobie szklankę wódki i zabrał się do opowiadania.

— Naprzód i przedewszystkiem, Fagin... — rzekł Tobjasz.

— Nareszcie! — mruknął Żyd, przysuwając do niego swój stołek.

Crackit uciął, aby połknąć łyk wody z wódką, i oświadczył, że grog jest pyszny, poczem nogi założył na kapę kominka w ten sposób, że buty znalazły się na jednym poziomie z jego oczyma, i zapytał spokojnie:

— Naprzód i przedewszystkiem, Fagin, gdzie jest Bill?

— Co? — wrzasnął Żyd, zerwawszy się z krzesła. Tobjasz również zbladł okropnie.

— Spodziewam się, że nie chcesz przez to powiedzieć...

— Powiedzieć?... — przerwał Żyd, tupnąwszy z wściekłością nogą o ziemię. — Gdzie oni są?... Gdzie jest Sikes i chłopiec?... Gadaj gdzie?... Gdzie dotąd byli?... Gdzie się ukrywają?... Dlaczego jeszcze tutaj nie wrócili?

— Sztuczka się nie udała! — odparł Tobjasz drżącym głosem.

— Wiem o tem — podchwycił Żyd, wydobywając z kieszeni gazetę i wskazując na nią. — Cóż więcej?

— Strzelili do nas i ranili chłopca... Uciekaliśmy przez pola, wlokąc go pomiędzy sobą... Pędziliśmy lotem strzały... przez płoty, rowy. Puścili się w pogoń za nami... Do tysiąca piorunów!... Cała okolica

zerwała się ze snu, aby gonić za nami... Psy puszczono na nas.

— A chłopiec?

— Bill zarzucił go sobie na plecy i biegł z nim szybko, jak wiatr. Zatrzymaliśmy się raz tylko, by wziąć go między siebie: głowa mu zwisła, był zimny. Oni zaś tuż-tuż za nami! Każdemu miła własna skóra... a niemiła szubienica... Rozłączyliśmy się zatem i zostawiliśmy omdlałego chłopca w rowie. Czy umarł, czy żyje — tego nie wiem.

Żyd już więcej nie słuchał — wrzasnął przeraźliwie, załamał ręce, chwycił się z rozpaczą za włosy, wypadł z izby, i dom opuścił.

Rozdział dwudziesty szósty,

w którym ukazuje się na widowni tajemnicza osobistość i dzieje się wiele rzeczy, związanych ściśle z całem opowiadaniem.

Stary łotr biegł pod wrażeniem słów Tobjasza i oprzytomniał dopiero na rogu ulicy. Nie przestał jednak biec dalej tak długo, aż najechał go wóz, jadący szybko ulicą.

Woźnica zatrzymał konie w samą porę, a przechodnie z krzykiem się rzucili na pomoc i odrzucili Żyda z powrotem na chodnik. Fagin podążył dalej, omijając ludniejsze ulice i mknąc wąskiemi zaułkami, wkońcu znalazł się w okolicy Snow-Hill. Tu przystanął, odetchnął, rozejrzał się dokoła i poszedł dalej wolnym krokiem, tak śmiało i pewnie, iż można było się domyśleć, że czuje się na właściwym sobie gruncie.

W tej dzielnicy, a mianowicie tam, gdzie schodzą się Snow-Hill i Halborn-Hill, widać na prawo, jeżeli idzie się od strony City, wąską, brudną uliczkę, która prowadzi prosto ku Saffran-Hill.

W uliczce owej znajduje się niezliczona ilość drobnych, tandeciarskich kramów, przepełnionych mnóstwem jedwabnych chustek najrozmaitszej barwy i wielkości. Właściciele tych kramów utrzymują ze złodziejami przyjacielskie stosunki, a przedewszystkiem kupują od nich kradzione przedmioty. Owe chustki, powiewające całemi setkami we drzwiach i oknach, zapełniające wnętrza kramów, półki i wieszadła, pudła i szuflady, pochodzą również z kradzieży.

Ulica ta, wraz z kilkoma innemi, do niej przyległemi, stanowi niejako osobną dzielnicę i posiada swego golarza, swoją kawiarnię, swoją gospodę, swój własny skład ryb i t. p.

Jest to zatem jakby oddzielne handlowe miasteczko, istniejące samo dla siebie, zbiorowisko wszelkiego rodzaju drobniejszego złodziejstwa, odwiedzane wczesnym ranem i późnym wieczorem przez milczących handlarzy, którzy zawierają umowy w ciemnych, tylnych izdebkach, a następnie wymykają się stamtąd chyłkiem. Tutaj handlarz odzieży, obuwia i gałganiarz wystawia swój towar na znak i hasło dla złodziei; tutaj znaczne zasoby rozmaitego „towaru": całe stosy starego żelastwa i kości, kawałków wełnianych i płóciennych materyj rdzewieją i butwieją po brudnych i wilgotnych piwnicach.

Do tej dzielnicy Żyd zwrócił swe kroki. Musiał on znać się dobrze z wszystkimi jej mieszkańcami, albowiem każdy z nich, co na kupca lub dostawcę czatował, witał go poufale, gdy mimo niego przechodził.

Fagin kłaniał się też na wszystkie strony, lecz zatrzymał się dopiero na końcu ulicy przy kramie, którego właściciel, człowiek niskiego wzrostu, siedząc na dziecinnem krzesełku przed drzwiami swego składu, palił z namaszczeniem fajkę. Tego jegomościa Żyd pozdrowił uprzejmie i zapytał o zdrowie.

— Dziękuję, panie Fagin! — odparł tandeciarz — nieźle. Zresztą sam wasz widok może człowieka natychmiast z choroby wyleczyć.

— W waszem sąsiedztwie było coś w tych dniach zanadto gorąco, Lively! — rzekł Fagin, podnosząc brwi i zakładając ręce w tyle.

— To prawda. Słyszałem parę razy, że się na to użalano — odpowiedział tandeciarz — ale teraz zaczyna się znowu robić chłodniej. Jak wam się zdaje?

Fagin skinął głową na znak potwierdzenia i, wskazując w kierunku Saffran-Hill, spytał, czy jest tam kto tej nocy.

— W szynkowni „Pod Kalekami"? — zapytał tandeciarz.

— Właśnie tam.

— Niechno sobie przypomnę... — odpowiedział tandeciarz, pocierając dłonią czoło. — Jest, jest; poszło ich kilkunastu. Ale zdaje się, że waszego przyjaciela nie było pomiędzy nimi.

— A Sikes? — zapytał Żyd, z zawiedzionym wyrazem twarzy.

— Non est ventus, jak mówią adwokaci — rzekł tandeciarz, potrząsając głową i uśmiechając się przebiegle. — A może macie co dla mnie tej nocy?

— Tej nocy nic — odparł Żyd, idąc dalej.

— Więc idziecie do szynkowni „Pod Kalekami", Fagin? — wołał za nim tandeciarz. — Poczekajcie, poczekajcie... zdaje się, że mam z wami do pomówienia...

Żyd odwrócił się i dał znak ręką, że towarzystwo jego nie jest w danym razie pożądane. Tandeciarz jednak zamierzał przyczepić się do Fagina, lecz zanim zdołał wydostać się ze swego dziecinnego krzesła, Fagin znikł mu z oczu. Chwilę jeszcze czekał, czy Fagin nie wróci; wkońcu, widząc, że ominęła go

sposobność wypicia kieliszka za cudze pieniądze, machnął ręką, wcisnął się napowrót w swoje malutkie krzesło, spojrzał porozumiewawczo na kobietę, siedzącą po przeciwnej stronie ulicy, w drzwiach swego kramu, wstrząsnął głową, wydął pogardliwie usta i znów wziął się z powagą do fajki.

Gospoda „Pod Trzema Kalekami“, lub wprost „Pod Kalekami“, był to ten sam szynk, gdzieśmy widzieli już raz Billa Sikesa, walczącego ze swoim psem. Fagin lekkiem skinieniem głowy powitał człowieka, który siedział w dolnej izbie za szynkwasem, potem udał się po schodach na górę, otworzył cicho drzwi do obszernej izby, wślizgnął się tam nieznacznie i rozejrzał dokoła z widocznym niepokojem, osłaniając oczy ręką.

Izbę oświecały dwa płomienie gazu, których światło nie przedostawało się nazewnątrz, gdyż okna były zaopatrzone w okiennice, a w dodatku zasłonięte firankami z czerwonej, grubej materji.

Sufit był pomalowany na czarno, aby zapobiec w ten sposób widocznym skutkom kopcenia lamp. Całą izbę napełniał tak gęsty dym fajek, że zrazu niepodobna było cośkolwiek w niej rozpoznać.

Stopniowo jednak dym, znalazłszy ujście przez drzwi, pozostawione chwilowo otworem, przerzedził się znacznie i odsłonił mnóstwo głów tak różnorodnych, jak różnorodnemi były głosy, powodujące wielką wrzawę.

Przy głównym, długim stole zgromadziło się liczne towarzystwo mężczyzn i kobiet. U honorowego końca stołu siedział otyły mężczyzna, trzymający w ręce urzędowy młotek starszego zgromadzenia. W odleglejszym kącie izby, przy niemiłosiernie brzęczącym klawikordzie, kiwał się jakiś jegomość z sinym nosem i twarzą obwiązaną chustką, co było prawdopodobnie skutkiem bólu zębów.

Kiedy Fagin wślizgnął się do izby, powstała właśnie niesłychana wrzawa, którą wywołał artysta, siedzący przy klawikordzie, uderzając w poobtłukiwane klawisze. Towarzystwo bowiem, usłyszawszy przygrywkę, zaczęło burzliwie domagać się śpiewu. Gdy zgiełk uciszył się nieco, jedna z kobiet podjęła się zabawienia towarzystwa piosenką o czterech zwrotkach. W przerwach między zwrotkami artysta wygrywał melodję z taką siłą, na jaką mógł się zdobyć.

Po skończeniu tego popisu, starszy zgromadzenia raczył okazać swoje zadowolenie i pozwolił wystąpić dwom innym członkom towarzystwa, siedzącym z obu jego stron, którzy też natychmiast odśpiewali duet nagrodzony hucznemi oklaskami.

Badacz typów znalazłby wśród tego towarzystwa obfity dla siebie materjał.

Już oblicze starszego zgromadzenia zwracało uwagę. Był to sam właściciel szynkowni, człowiek otyły, niezgrabny, przysadkowaty, który podczas produkcyj muzycznych przewracał oczyma i zdawał się ciałem i duszą oddawać zabawie, a który jednocześnie miał oko na wszystko, co się koło niego działo, i podawał ucho na każde wymówione słowo.

Tuż koło niego siedzieli dwaj śpiewacy; z zawodowym spokojem przyjmowali oni pochwały całego towarzystwa i odwzajemniali się wychylaniem licznych szklanek wódki, któremi ich raczyli hojniejsi wielbiciele.

Ci ostatni zaś posiadali twarze, na których malowały się występki wszelkiego rodzaju i stopnia, jak przebiegłość, zwierzęce rozpasanie, pijaństwo; wśród kobiet widziało się niektóre ze śladami dawnej świeżości; inne zaś, pozbawione już wszelkich cech kobiecych, przedstawiały ohydny widok poniżenia i zbrodni; młode jeszcze dziewczęta a już zupełnie

dojrzałe — stanowiły najsmutniejsze tło tego zgrozą przejmującego obrazu.

Fagin, którym miotał wciąż niepokój, spoglądał podczas przedstawienia po wszystkich twarzach, nie mogąc jednak znaleźć tej, której szukał.

Nakoniec, spotkawszy się wzrokiem z oczyma gospodarza, dał mu znak skinieniem głowy i wymknął się z izby tak cicho i nieznacznie, jak wszedł do niej.

— Czem mogę panu służyć, panie Fagin? — zapytał gospodarz, wyszedłszy za nim do sieni. — Dlaczego nie chcecie z nami pozostać? Zrobilibyście wszystkim swoją obecnością wielką przyjemność.

Żyd wstrząsnął głową niecierpliwie i zapytał szeptem:

— Czy on jest tutaj?

— Nie — odpowiedział gospodarz.

— A o Barneyu nic nie słychać?

— Nic — odpowiedział właściciel szynkowni. — Barney nie ruszy się z miejsca, dopóki nie uspokoi się wszystko do tego stopnia, żeby on mógł bezpiecznie wrócić. Bądźcie pewni, że są dobrze ukryci. Nie musi być z nimi tak źle, gdyż w przeciwnym razie wiedziałbym już coś o tem. Ręczę głową, że Barney ze wszystkiem sprawi się jak najlepiej. Spuśćcie się tylko na niego.

— Czy on będzie tutaj tej nocy? — zapytał Żyd, podkreślając wyraz „on“.

— Kto, Monks? — mruknął gospodarz z niejakiem wahaniem.

— Sza! — przestrzegał Żyd. — Będzie czy nie?

— Niezawodnie — rzekł gospodarz, dobywając z kieszonki złoty zegarek — już od kilku chwil oczekuję go właśnie teraz; niebawem musi przyjść; jeżelibyście zatem chcieli poczekać dziesięć minut, to...

— Nie, nie! — przerwał Żyd z pośpiechem, jakby chcąc odwlec widzenie się z osobą, o której była

mowa. — Powiedz mu tylko, że byłem tutaj, żeby z nim pomówić, i poleć mu przyjść do mnie dzisiaj w nocy. Albo nie... lepiej będzie jutro, ponieważ niema go tutaj, więc do jutra jest dosyć czasu.

— Dobrze — rzekł gospodarz. — Nic więcej?

— Ani słowa więcej — odparł Żyd, schodząc nadół.

— Zdaje mi się — odezwał się jeszcze gospodarz, przechylony przez poręcz — że dzisiaj byłby bardzo pomyślny czas do sprzedaży... Mam tutaj Phila Barkera. Taki pijany, że mały chłopiec dałby mu radę.

— Czy tak?... Ale na Phila Barkera nie przyszedł jeszcze czas — odparł Żyd, spoglądając do góry. — Phil musi jeszcze wiele dla nas zdziałać, zanim będziemy mogli go się pozbyć. A teraz wróć do swego towarzystwa, mój drogi, i powiedz im, niech się bawią, dopóki pora im sprzyja. Ha, ha, ha!

Gospodarz roześmiał się także i wrócił do swoich gości.

Zaledwie Żyd pozostał sam, twarz jego przybrała znów wyraz niepokoju i trwogi. Po kilku chwilach namysłu przywołał doróżkę i kazał się zawieźć do Bethal-Green. W niejakiej odległości od mieszkania Billa Sikesa wysiadł z dorożki i resztę drogi odbył piechotą.

— No! — mruczał pod nosem, pukając do drzwi — jeżeli się w tem cokolwiek ukrywa, to ja z ciebie to wyciągnę, choćbyś sto razy jeszcze była przebieglejsza, niż jesteś.

Nancy była w domu, co oznajmiła mu kobieta na dole; pocichutku Fagin wdrapał się na strome schody i wszedł śmiało do mieszkania Billa.

Dziewczynę zastał samą. Siedziała z głową wspartą na stole, a rozpuszczone w nieładzie włosy okrywały jej ramiona i plecy.

— Musiała się upić — pomyślał Żyd — a może jest naprawdę zrozpaczona.

Czyniąc te uwagi, obrócił się, aby drzwi za sobą przymknąć, hałas ten wyrwał dziewczynę z odrętwienia.

Spostrzegłszy Żyda, wlepiła w niego swój przenikliwy wzrok i zapytała, czy nie przynosi jakich nowin, potem zaś słuchała z uwagą, gdy powtarzał jej wiadomości, których dostarczył mu Tobjasz Crackit.

Gdy Fagin przestał mówić, popadła w poprzedni stan odrętwienia, nie rzekłszy ani słowa; po chwili odsunęła ze zniecierpliwieniem świecę od siebie i, zmieniając gorączkowo pozycję, tupnęła kilka razy nogą o podłogę.

Fagin tymczasem rozglądał się bacznie po izbie, jakby chcąc upewnić się, czy nie nosi ona śladów tajemnego powrotu Sikesa do domu. Badania widocznie uspokoiły go dostatecznie, gdyż chrząknął kilka razy i dołożył wszelkich starań, aby znowu nawiązać rozmowę; lecz Nancy milczała w dalszym ciągu, zamieniona jakby w posąg.

Wkońcu spróbował innego środka. Zacierając ręce, zapytał z największą uprzejmością:

— Jak sądzisz, moja droga, gdzie teraz Bill może się znajdować?... Co?

Dziewczyna mruknęła ledwie zrozumiale, że tego powiedzieć nie umie, a ze drżenia jej stłumionego głosu można było wnosić, że płacze.

— Jestem też mocno zaniepokojony o chłopca... — dopytywał się Żyd, starając się wszelkiemi sposobami zajrzeć jej w oczy. — Biedny chłopczyna!... Porzucony w rowie, Nancy.... tylko pomyśl...

— Chłopcu — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc głowę — daleko lepiej jest tam, gdzie się teraz znajduje, niż pomiędzy nami; a byleby tylko dla

Billa nie wynikło stąd nic złego, tobym szczerze pragnęła, aby chłopczyna pozostał w owym rowie na wieki i aby zgniły tam jego kości.

— Co? — zawołał Żyd ze zdumieniem.

— Tak jest, pragnę tego — powtórzyła dziewczyna, zatapiając w starym łotrze swe bystre oczy. — Będę szczęśliwa, jeżeli nie zobaczę go więcej i dowiem się, że minęło już wszystko najgorsze. Nie mogłam spokojnie na niego patrzeć. Jego widok doprowadzał mię do tego, że uczuwałam nienawiść do siebie i do was wszystkich!

— Ba! — mruknął Żyd z pogardą. — Jesteś pijana.

— Pijana? — powtórzyła Nancy z goryczą. — Tyś mię nigdy inną nie chciał widzieć! Dzisiejszego dnia robisz wyjątek. Nie podoba ci się mój nastrój?

— Nie! — mruknął Żyd z wściekłością — nie podoba.

— A więc zmień go! — rzekła dziewczyna ze śmiechem.

— Co? — wrzasnął Fagin, doprowadzony do ostateczności niespodziewaną krnąbrnością dziewczyny i wiadomościami ostatniej nocy. — Dobrze... Zmienię go! Posłuchaj więc, ty obmierzła dziewko! Tylko uważnie! Niech tylko słówko pisnę, a Bill zginie z wszelką pewnością. Jeżeli powróci, a nie przyprowadzi chłopca ze sobą, jeżeli jest wolny, a ja chłopca, żywego, czy umarłego, nie będę mieć z powrotem: to go zamorduj sama, jeżeli nie chcesz oddać go w ręce kata, i zamorduj natychmiast, skoro tylko nogę w tej izbie postawi... Jeżeli tego nie uczynisz, pamiętaj, że może być zapóźno!

— Co to wszystko ma znaczyć? — zawołała dziewczyna.

— Co znaczy? — powtórzył Fagin, unosząc się coraz bardziej. — Znaczy, że ten chłopiec przedsta-

wia dla mnie wartość stu funtów. Mamże więc utracić z winy bandy pijaków, których życie trzymam w mojem ręku — mamże utracić to, co mi los ofiarował dla mego własnego bezpieczeństwa, i w dodatku mam być przykuty do wcielonego szatana, który może...

Zakrztusił się z braku tchu i niemożności znalezienia odpowiedniego wyrazu. Potok wściekłości urwał się nagle, co wpłynęło na zmianę jego zachowania. Chwilę przedtem jeszcze ręce jego chwytały powietrze, twarz była szara z uniesienia, oczy rozszerzone; teraz padł wyczerpany na krzesło, zgarbił się i drżał na myśl, ze zdradził się ze swą wewnętrzną, podłą istotą, którą dotąd zawsze starannie ukrywał.

Po chwili ośmielił się spojrzeć na dziewczynę: widząc, że znów zapadła w stan odrętwienia, z którego wyrwał ją był chwilowo, uspokoił się cokolwiek.

— Droga Nancy! — odezwał się zwykłym głosem. — Czy słyszałaś mię?

— Nie męcz mię teraz, Fagin! — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc powoli głowę ociężale. — Jeżeli Bill teraz źle się sprawił, to wynagrodzi to innym razem. Wszak już dostarczył ci wiele korzyści i dostarczy jeszcze więcej, jeżeli tylko będzie mógł; nie mówmy już o tem.

— A chłopiec, droga Nancy? — zapytał Żyd, zacierając nerwowo ręce.

— Chłopiec musi dzielić los z innymi — odpowiedziała Nancy z goryczą. — Powtarzam raz jeszcze, że ucieszyłabym się, gdyby umarł i tą drogą uwolnił się od wszelkich cierpień i od ciebie — byle tylko Bill przez to nie ucierpiał. Ale jeżeli Tobjasz uciekł, to i Bill musi także być już w bezpiecznem miejscu. Bill w każdym razie wart jest dwuch Tobjaszów.

— A co do tego, o czem mówiłem przed chwilą, droga Nancy? — zapytał Żyd, wlepiwszy w nią swoje przenikliwe oczy.

— Jeżeli to jest coś tak ważnego, że muszę o tem dzisiaj wiedzieć, to powtórz mi raz jeszcze wszystko od początku do końca — odpowiedziała Nancy; — jeżeli zaś nie jest pilne, to poczekaj lepiej do jutra. Wyrwałeś mię na chwilę z niemocy ale teraz znów jestem do niczego.

Fagin zadał jej parę innych pytań, a wszystkie w celu przekonania się dokładnie, czy dziewczyna istotnie nie zmiarkowała tego, z czem zdradził się w przystępie uniesienia. Ale ona odpowiadała na wszystko tak chętnie i z taką obojętnością przyjmowała jego badawcze spojrzenia, że utwierdziło się w nim powzięte przedtem przekonanie, że Nancy istotnie musiała zaglądać do kieliszka.

Trzeba przyznać, że Nancy nie była wolna od tej wady, która z biegiem czasu u wszystkich wychowanic Żyda przechodziła w nałóg, — wady, której nietylko nie tłumiono, ale którą, o ile możności rozwijano i utrwalano.

Nieład w ubiorze, silny zapach wódki, napełniający całą izbę, cierpliwość, z jaką zniosła jego gwałtowny wybuch, ospałość poprzedzająca nadzwyczajne rozrzewnienie, łzy wylewane przez kilka minut, wkońcu zaś okrzyki w rodzaju: — Niech mi nikt nie mówi o śmierci! — wszystko razem złożyło się na to, że Fagin, posiadający znaczne doświadczenie w tej mierze, stwierdził z wielkiem zadowoleniem, iż rzeczywiście Nancy była pijana.

Doszedłszy do tego przekonania i dopełniwszy swego zamiaru, który polegał na zawiadomieniu Nancy o tem, czego dowiedział się tej nocy, oraz na przekonaniu się naocznie, czy Sikes nie wrócił jeszcze do domu, Fagin zostawił swoją młodą przy-

jaciółkę śpiącą z głową opartą na stole, a sam ruszył z powrotem.

Było już po północy; ciemno było i mroźno. Fagin tedy dążył spiesznie, nie mając wcale chęci pozostawać długo na dworze.

Ostry wiatr rozhulał się na dobre po ulicach, osuszając i zamiatając je, oraz usuwając z nich jakby nielicznych już zresztą o tej porze maruderów. Jak na złość, wiatr dął Żydowi prosto w oczy, przejmując go dreszczem i zmuszając do przyspieszenia kroku.

Fagin dotarł do ulicy, gdzie mieszkał, i sięgnął nawet po klucz od drzwi domu, gdy jakaś postać wyłoniła się z ciemności, przebiegła przez ulicę i podeszła niepostrzeżenie do Fagina.

— Nareszcie jesteś! — zaszeptał mu głos tuż nad uchem.

— Ha! — zawołał Żyd, cofając się prędko — czy to...

— Nie mylisz się! — przerwał mu nieznajomy. — Czekałem tutaj na ciebie więcej niż dwie godziny. A gdzieżeś, u djabła, tak długo siedział?

— W twojej sprawie, mój drogi — odpowiedział Żyd, spoglądając niespokojnie na nieznajomego i zwalniając kroku — w twojej sprawie, jak zawsze.

— Czy tak? — zapytał nieznajomy ironicznie — To bardzo ładnie z twojej strony. Cóż słychać?

— Nic dobrego — odparł Żyd.

— Lecz myślę, że również nic złego — podchwycił nieznajomy, zatrzymując się i spoglądając z niepokojem na towarzysza.

Fagin wstrząsnął głową i chciał coś odpowiedzieć, lecz nieznajomy przerwał mu, wskazując na drzwi domu, przed któremi zatrzymali się właśnie. Zauważył przytem, że lepiej będzie rozmawiać pod

dachem, tem bardziej, że krew mu w żyłach zastygła od długiego czekania i wiatr przenikał do kości.

Fagin robił wrażenie, jak gdyby chciał się wykręcić od tej niepożądanej, ze względu na spóźnioną porę, wizyty, bąknął nawet pod nosem, że niema w domu ognia; ale gdy nieznajomy powtórzył żądanie tonem rozkazującym, Fagin otworzył drzwi, prosząc go, aby zamknął je pocichu, a on tymczasem pójdzie po światło.

— Ciemno, jak w grobie — mruknął nieznajomy, robiąc w sieni kilka kroków naprzód. — Spiesz się.

— Zamknij drzwi za sobą! — szepnął Fagin z drugiego końca sieni.

Lecz drzwi tymczasem zamknęły się same z wielkim hukiem.

— To nie moja wina — rzekł nieznajomy, usiłując wśród ciemności znaleźć schody. — Musiał je wiatr zatrzasnąć, albo też one same się zamknęły. Przynieś światło jak najprędzej, inaczej sobie jeszcze łeb rozbiję, albo kark skręcę w tej przeklętej dziurze.

Fagin pobiegł spiesznie po schodach i wrócił niebawem ze świecą oraz z wiadomością, że Tobjasz Crackit położył się spać w izbie od tyłu, obaj chłopcy zaś śpią w pokoju środkowym. Potem skinął na nieznajomego i poprowadził go na górę.

— To, co mamy sobie powiedzieć, możemy powiedzieć tutaj, mój drogi — odezwał się, otwierając drzwi do pokoju na pierwszem piętrze — ale ponieważ w okiennicach są szpary, i sąsiadom nie pokazujemy światła, więc postawię świecę na schodach.

To mówiąc, Fagin zostawił światło naprzeciw drzwi pokoju, do którego wprowadził nieznajomego. W pokoju owym nie było żadnego innego sprzę-

tu prócz połamanego krzesła i starej kanapy bez obicia, stojącej tuż koło drzwi.

Nieznajomy rzucił się natychmiast na kanapę, jak człowiek bardzo znużony, Fagin zaś, przysunąwszy sobie krzesło, usiadł na niem naprzeciw swego gościa. W pokoju nie było zupełnie ciemno, gdyż drzwi zostały do połowy otwarte i świeca rzucała przez nie słaby odblask na przeciwległą ścianę.

Jakiś czas rozmawiali ze sobą szeptem. Choć kilka tylko oderwanych wyrazów można było z tej rozmowy uchwycić, uważny słuchacz jednak mógłby był łatwo zrozumieć, że Fagin uniewinniał się z zarzutów, czynionych mu przez nieznajomego.

Rozmawiali w ten sposób kwadrans, a może i więcej, gdy Monks — tak Żyd w ciągu rozmowy nazwał nieznajomego kilkakrotnie — odezwał się nieco głośniej:

— Powtarzam ci raz jeszcze, że cały plan był jak najgorzej ułożony. Trzeba go było u siebie dłużej zatrzymać, znieprawić, zepsuć i wykierować raz na zawsze na złodzieja!

— Łatwo to mówić! — przerwał Żyd, wzruszywszy ramionami.

Ale Monks mówił dalej z gniewem:

— Może chcesz we mnie wmówić, że nie potrafiłbyś tego uczynić? Dawałeś sobie przecież radę z wieloma chłopcami, trudniejszymi do opanowania. Gdybyś był chciał zadać sobie pracy przez jeden rok przynajmiej, łatwo mógłbyś był nim tak pokierować, żeby móc nakoniec wysłać go z kraju i to na całe życie.

— Komużby się to wszystko na co przydało, mój przyjacielu? — zapytał Żyd pokornie.

— Mnie — odpowiedział Monks.

— Ale nie mnie — rzekł Żyd. — On mógł być dla mnie bardzo użyteczne. Jeżeli dwie strony za-

wierają jakikolwiek układ, to korzyść obydwuch musi być brana w rachubę — nieprawdaż, mój drogi?

— Więc co? — zapytał Monks.

— Wiedziałem odrazu, że nie tak łatwo będzie można skłonić go do naszego rzemiosła — odpowiedział Żyd — on nie był podobny do innych chłopców, których dostawaliśmy nieraz w podobnych okolicznościach.

— To prawda, do djaska — mruknął Monks — inaczej już dawno byłby został złodziejem.

— Nie miałem nad nim dosyć władzy, aby móc go zepsuć! — mówił dalej Żyd, badając uważnie twarz swego towarzysza. — Ręka jego ani razu jeszcze nie sięgnęła do obcej kieszeni. Nie zdołałem nastraszyć go niczem, co w początkach jest konieczne, jeżeli nie chcemy, aby praca nasza była daremna. Cóż miałem czynić? Wysłać go jeszcze raz na miasto ze Smykiem i Karolkiem? Już po pierwszej próbie straciłem do tego wszelką ochotę. Drżałem wtedy o nas wszystkich!

— To nie była moja sprawa — zauważył Monks.

— Wiem o tem, mój drogi — odparł Fagin. — Ja również niebardzo żałuję, że mi się ta próba nie udała, gdyż w przeciwnym razie nigdybyś może tego chłopca nie zauważył i nie poznał w nim tego, którego właśnie szukasz. Przecież z wielką trudnością sprowadziłem go do siebie przy pomocy znanej ci dziewczyny, ale ona potem zaczęła się za nim ujmować.

— A więc sprzątnąć dziewczynę! — zawołał Monks niecierpliwie.

— Tego tymczasem żadną miarą nie możemy uczynić, mój drogi — odparł Żyd z uśmiechem; — zresztą podobne rzeczy nie należą do nas, w przeciwnym razie byłbym w tych dniach zrobił coś po-

dobnego. Ale ja znam te dziewczęta bardzo dobrze, mój drogi, bardzo dobrze. Gdy tylko chłopiec weźmie się do rzemiosła, to dziewczyna będzie troszczyć się o niego tyle, co kawałek drzewa. Ty chcesz koniecznie, żeby został złodziejem; jeżeli tylko nie umarł, to zrobię z niego złodzieja. Ale... jeżeli... jeżeli... — dodał Żyd, przysuwając się bliżej do Monksa — jeżeli spotkało go coś najgorszego... jeżeli w istocie umarł...

— To nie będzie moja wina! — zawołał Monks, spoglądając na Żyda ze zgrozą i chwytając go za ramię drżącemi rękoma. — Pamiętaj o tem, Faginie, że nie przyczyniłem się do tego... Uprzedziłem cię odrazu. Wszystko, tylko nie śmierć! Nie chcę krwi przelewać; to się zawsze wyda, a człowiek przytem nie ma ani chwili spokoju. Jeżli go zabito, to nie moja w tem wina, czy słyszysz?... Niech ogień pochłonie tę piekielną norę. A to co?

— Co takiego? — wrzasnął Żyd, chwytając obiema rękoma Monksa, gdy ten zerwał się z kanapy — gdzie?

— Tam... tam! — mówił Monks z oczyma utkwionemi w przeciwległą ścianę. — Cień jakiś... Widziałem wyraźnie cień kobiety w płaszczu i kapeluszu, przesuwający się po ścianie, jak widmo...

Żyd puścił go i wypadł wraz z nim do sieni.

Świeca, która się już trochę wypaliła, stała na tem samem miejscu, na którem ją postawiono; w świetle jej widzieli puste schody i swoje pobladłe twarze. Nasłuchiwali bacznie, lecz w domu i poza domem panowało głębokie milczenie.

— Musiało ci się coś przywidzieć, mój drogi! — rzekł Żyd, biorąc świecę i zwracając się do towarzysza.

— Mogę przysiąc, że widziałem — odpowiedział Monks, drżąc na całem ciele. — Gdy pierwszy raz

ów cień spostrzegłem, to stał on pochylony ku nam; gdym krzyknął, cofnął się i znikł natychmiast.

Żyd spojrzał z pogardą na pobladłą z przerażenia twarz Monksa i wraz z nim udał się na górę.

Przejrzeli wszystkie pokoje; były zimne, puste, bez śladu jakiejkolwiek żywej istoty.

Zeszli do sieni, a nawet do piwnicy.

Zielona pleśń pokrywała niskie ściany, skorupy ślimaków połyskiwały w blasku świecy, lecz wszędzie było tak spokojnie i cicho, jak w grobie.

— I co ty o tem myślisz? — rzekł Fagin do Monksa, gdy wrócili do sieni na pierwszem piętrze — z wyjątkiem nas dwuch, żywej duszy niema w całej tej ruderze. Co do Tobjasza i chłopców, ci są pewni. Patrz!

Na potwierdzenie swoich słów Żyd pokazał dwa klucze, które wyjął z kieszeni, i nadmienił, że drzwi wtedy jeszcze pozamykał, gdy chodził po świecę, a to dlatego, aby bez wszelkiej przeszkody mogli ze sobą rozmawiać.

Dowody były tak niezbite, że Monks zaczął się wahać. Uspokoił się też powoli i wkońcu śmiał się ze siebie, doszedłszy do przekonania. że musiał ulec przywidzeniom własnej wyobraźni.

Mimo to jednak nie chciał podjąć rozmowy, przypomniawszy sobie nagle, że już jest godzina pierwsza po północy. Wobec tego nastąpiło rozstanie tej miłej pary.

Rozdział dwudziesty siódmy

naprawia niegrzeczność, popełnianą w poprzednim rozdziale, a polegającą na bezceremonjalnem porzuceniu damy.

Jeżeli skromny autor może pozwolić sobie na to, żeby osobistości tak poważnej, jaką jest woźny gmi-

ny, dać czekać przed kominkiem, tyłem do ognia i przytrzymywać w ręku obie poły surduta tak długo, jak mu to sprawia przyjemność; jeżeli może tak dalece posunąć brak rycerskości wobec dam, żeby zaniedbać jednocześnie niewiastę, na którą woźny spoglądał rozczulonem okiem i do której ucha szeptał słodziutkie słówka, — przejmujące drżeniem pierś każdej dziewicy i kobiety — to przecież dziejopis, kreślący te słowa, pochlebia sobie, że zna obowiązki swego stanowiska i rozumie jak wielki szacunek należy się tym, którzy piastują wysoką władzę na ziemi, i dlatego też pospiesza złożyć u nóg władców to uszanowanie, jakiego wymaga ich dostojeństwo, i odnosić się do nich z ceremonjałem, winnym ich wysokiemu stanowisku, a co za tem idzie, i ich wielkim cnotom.

W tym celu postanowił nawet wpleść do powieści w tem miejscu rozprawę o świętości prawa woźnych i wyjaśnić zasadę, że woźny nigdy nie może zbłądzić, co z pewnością prawomyślnemu czytelnikowi sprawiłoby nietylko wielką przyjemność, ale przyniosłoby również nadzwyczajną korzyść. Na nieszczęście szczupłość miejsca zmusza autora odłożyć ten zamiar do chwili pomyślniejszej; gdy ta nadejdzie, autor dołoży wszelkich sił, aby dowieść, iż woźny należycie wyposażony — to jest: woźny gminy, przydzielony do Domu Roboczego gminy i należący do urzędowych osób parafji — na mocy prawa i urzędu, posiada wszystkie najwznioślejsze zalety i cnoty człowieka, oraz, że prosty woźny lichej gminy wiejskiej, lub woźny jednej tylko instancji, lub nakoniec woźny filji parafjalnej — nie może rościć pretensyj do cnót i przymiotów w takim stopniu, w jakim posiadają je wyżej wymienione.

Pan Bumble przeliczył raz jeszcze łyżeczki, zważył cukierniczkę i szczypczyki do cukru, jeszcze raz

obejrzał uważnie garnuszek do śmietanki i całe umeblowanie pokoju; zbadał krzesła, kanapę i t. p., dociekając w ten sposób, czy owe meble są wysłane końskim włosem, czy trawą morską, i cały ten szczegółowy przegląd powtórzył z dziesięć razy, gdy wreszcie przyszła mu myśl do głowy, że pani Corney powinnaby już być z powrotem.

Myśl rodzi myśl: ponieważ pani Corney nie wracała, pan Bumble zdecydował, że czas oczekiwania można spędzić w sposób bardzo niewinny, a pożyteczny, przetrząsając zawartość komody i szafki pani Corney.

Przytknąwszy ucho do dziurki od klucza i upewniwszy się dokładnie, że nikogo niema wpobliżu, pan Bumble rozpoczął lustrację od dołu, to jest od trzech długich szuflad, zapełnionych rozmaitą odzieżą z ciężkich materyj, przechowywanych starannie pomiędzy pokładami starych dzienników i wysuszonych liści lawendy. Przegląd zadowolił go bardzo. Przeszedłszy z kolei inne szuflady, zatrzymał się przy skrytce komody, w której spostrzegł szkatułkę zamkniętą na kłódeczkę. Szkatułka przy potrząsaniu, wydawała głos bardzo miły, niby dźwięk kruszcu. Wreszcie pan Bumble wrócił uroczystym krokiem na dawne miejsce przy kominku i, przybierając poprzednią postawę, rzekł do siebie z miną poważną i zdecydowaną.

— Uczynię to.

Powziąwszy powyższą decyzję, zaczął kiwać głową w sposób wielce znaczący, jakby sobie samemu robił żartobliwe wyrzuty, poczem z nadzwyczajnem upodobaniem obejrzał swoje łydki.

Zajęty był jeszcze temi oględzinami, gdy pani Corney, wpadłszy do pokoju, rzuciła się bez tchu na krzesło przy kominku i, zakrywając oczy jedną ręką, drugą położyła na sercu.

— Pani Corney... droga pani Corney! — zawołał pan Bumble, pochylając się nad matroną — co to jest... co się stało? Proszę mi powiedzieć... Stoję... jak... jak...

W przystępie niepokoju pan Bumble nie mógł sobie przypomnieć narazie słów: „jak na szpilkach“ czy: „jak na rozżarżonych węglach“, — powiedział zatem: „jak... jak... na... stłuczonych butelkach“.

— Ach, panie Bumble! — zawołała pani Corney. — Nie mogę przyjść do siebie.

— Nie może pani przyjść do siebie, droga pani Corney! — wykrzyknął woźny. — Któż to odważył się, żeby... Ach wiem — dodał, miarkując się z wrodzoną godnością — zapewne któryś z tych ubogich zbrodniarzy.

— Okropność jest myśleć o tem! — mówiła pani Corney, wzdrygając się.

— A zatem niech pani nie myśli, droga pani — poradził Bumble. — Może dać kropeleczkę wina... co? — dodał pieszczotliwie.

— Za nic w świecie! — odparła pani Corney. — Nie, nie, — wina nie!... Nie mogłabym przełknąć!... Ale... tam... tam... na prawo... w szafce... ach!

Zacna niewiasta wskazała na szafkę, przyczem zdawała się słabnąć coraz bardziej.

Pan Bumble przypadł natychmiast do szafki, zdjął z półki ciemnozieloną butelkę, płynem z niej napełnił filiżankę od herbaty i przytknął do ust niewiasty.

— Teraz jest mi trochę lepiej! — rzekła pani Corney, odtrącając ręką filiżankę, po wypiciu połowy jej zawartości.

Pan Bumble wzniósł nabożnie oczy w górę, jakby dziękując niebu za uzdrowienie pani Corney, poczem spojrzał na filiżankę i zwolna zbliżył ją do swego nosa.

— Miętówka! — objaśniła pani Corney słabym głosem, uśmiechnąwszy się przytem ponętnie. — Proszę skosztować, jest w tem jeszcze odrobinka czegoś innego.

Pan Bumble skosztował lekarstwa z pewnem niedowierzaniem, lecz zaraz mlasnął ustami, sprobował raz jeszcze i wychylił filiżankę do kropli.

— To wzmacnia — rzekła pani Corney.

— Rzeczywiście... bardzo wzmacnia, droga pani! — potwierdził woźny i, mówiąc to, przysunął sobie krzesełko, usiadł tuż koło dozorczyni i zaczął czule dopytywać się jej, co się takiego stało, że wraca tak przerażona.

— Nic takiego, panie Bumble — odpowiedziała pani Corney. — Ach, jestem kobietą wrażliwą, delikatną, słabą...

— Doprawdy, pani Corney? — szepnął pan Bumble, przysuwając się do niej bliżej z krzesłem. — Więc jesteś w istocie słabą istotą, pani Corney?

— Ach, my wszystkie jesteśmy słabemi istotami! — odpowiedziała pani Corney, zasłaniając się ogólną zasadą.

— To prawda! To prawda! — potwierdził woźny.

Przez kilka minut panowało obopólne milczenie. Pan Bumble zilustrował niejako sytuację, zdjąwszy swoją lewą rękę z poręczy krzesła pani Corney, na której dotąd spoczywała i objąwszy dyskretnie kibić dozorczyni.

— Wszyscy jesteśmy słabemi istotami! — powtórzył.

Pani Corney westchnęła.

— Niech pani nie wzdycha — rzekł Bumble.

— Nie mogę się wstrzymać — odparła pani Corney i westchnęła po raz drugi.

— Jaki to ładny pokoik, proszę pani — rzekł pan Bumble, rozglądając się dokoła. — Jeszcze jeden taki pokój, a niczegoby już nie brakowało.

— Toby było za wiele dla jednej osoby — szepnęła niewiasta.

— Ale nie dla dwuch — szepnął pan Bumble najsłodszym głosem. — Co, pani Corney?

Pani Corney na te słowa pochyliła głowę, i pan Bumble również swoją pochylił, aby spojrzeć w twarz pani Corney.

Pani Corney odwróciła się cokolwiek i chciała sięgnąć do kieszeni po chustkę od nosa, ale jej ręka spotkała się niechcący z ręką pana Bumble.

— Opał masz skarbowy, nieprawdaż, droga pani Corney? — pytał woźny, ściskając jej rękę z uczuciem.

— I światło także — odpowiedziała pani Corney, odpowiadając uściskiem na uścisk.

— Opał, światło i mieszkanie skarbowe — zawołał pan Bumble. — Ach, pani Corney, jesteś aniołem!

Takiemu wybuchowi czułości niewiasta żadną miarą nie mogła się oprzeć.

Padła w objęcia woźnego, i pan Bumble w przystępie uniesienia wycisnął ognisty pocałunek na jej skromnym nosie.

— O doskonałości naszej gminy! — zawołał z przejęciem. — Wszak wiadomo ci, moja czarodziejko, że panu Slout pogorszyło się znacznie dzisiaj w nocy?

— Wiem — odpowiedziała pani Corney wstydliwie.

— Lekarze mówią, że pożyje zaledwie tydzień — ciągnął Bumble. — On jest zawiadowcą tego zakładu... śmierć jego opróżni posadę... wypadnie dać ją komuś... Ach, pani Corney, jakie widoki na przy-

szłość... Co za pomyślna sposobność dla połączenia dwuch serc... dwuch gospodarstw.

Pani Corney szlochała.

— Jedno tylko słówko! — zawołał Bumble, nachylając się ku tej wstydliwej piękności — jedno tylko małe... maluteńkie słóweczko, najsłodsza Corney!

— Do... do... dobr... brze! — wyszepnęła cichutko matrona.

— Jeszcze jedno! — mówił dalej woźny — opanuj swoje uczucie, aby móc je powiedzieć... Kiedy to może nastąpić?... Kiedy?...

Pani Corney próbowała dwa razy coś powiedzieć i dwa razy wysiłek zawodził.

Nakoniec, zebrawszy całą odwagę, objęła obiema rękami woźnego za szyję i rzekła, że może to nastąpić, kiedy tylko sam zechce, gdyż jest człowiekiem, któremu oprzeć się niepodobna...

Załatwiwszy całą sprawę w sposób tak przyjacielski, zatwierdzono uroczyście zawartą ugodę drugim kubkiem miętówki, która okazała się bardzo potrzebna, biorąc pod uwagę wzruszenie i niepokój serca zacnej niewiasty.

Poczem, gdy się cokolwiek uspokoili, pani Corney powiadomiła woźnego o śmierci starej pielęgniarki Domu Roboczego.

— To dobrze — rzekł pan Bumble, pociągając znów miętówkę. — Jeszcze dzisiaj, wracając do siebie, wstąpię do pana Sowerberry i powiem mu, żeby jutro zakrzątnął się koło niej. Czy to cię tak mocno przestraszyło, kochanie?

— Nic szczególnego, mój drogi — odpowiedziała wymijająco.

— Jednak coś w tem musi być — nalegał Bumble. — Dlaczego nie chcesz tego powiedzieć twojemu Bumble, najdroższa?

— Jeszcze nie teraz — odparła pani Corney — gdy się pobierzemy, powiem ci wszystko, mój drogi.

— Gdy się pobierzemy? — zawołał pan Bumble. — Myślę, że to nie było jakieś bezczelne żądanie ze strony męskich mieszkańców tego domu?

— Nie, nie, drogi, nie! — zapewniła żywo pani Corney.

— Wiedz o tem, ukochana, że na samą myśl — mówił dalej pan Bumble — na samą myśl, że któryś z nich odważyłby się podnieść swoje gminne oczy na to lube oblicze...

— Skąd znowu! Żaden nie odważyłby się na coś podobnego — zapewniła niewiasta.

— Ich szczęście! — rzekł Bumble, grożąc pięścią. — Pokaż mi człowieka, czy to z naszej gminy, czy też skądinąd, któryby się ośmielił to uczynić, a ja powiem mu takie słóweczko, że już tego po raz drugi z pewnością nie zrobi.

Te słowa, wypowiedziane bez żywszej gestykulacji, nie mogłyby uchodzić za wystarczające uznanie wdzięków pani Corney; ponieważ jednak Bumble wypowiedział je z wojowniczemi ruchami, przeto Corney była mocno wzruszona tym dowodem miłości i oświadczyła z zachwytem, że jest w istocie „prawdziwym gołąbkiem".

Gołąbek, podniósłszy kołnierz od palta, włożył na głowę trójgraniasty kapelusz, zamienił parę długich i serdecznych uścisków ze swoją przyszłą małżonką i odszedł wreszcie, narażając się po raz drugi tego wieczoru na ataki mroźnego wiatru. Po drodze zatrzymał się na chwilę w oddziale dla mężczyzn Domu Roboczego, a to w tym celu, aby nacieszyć się nadzieją surowego spełniania obowiązków zarządzającego Domem Roboczym.

Pan Bumble opuścił zakład z lekkiem sercem i z najpiękniejszemi widokami na swoją przyszłą

godność. Myśli te zajmowały go przez drogę, dopóki nie doszedł do składu pogrzebowego przedsiębiorcy.

Sklep nie był jeszcze zamknięty, chociaż minęła już zwykła godzina, a to z tego powodu, że pani i pan Sowerberry wyszli z wizytą. Noe Claypole zaś oszczędzał bardzo swoje siły; poświęcał je coprawda chętnie na zaspakajanie głodu i pragnienia, natomiast usuwał się, o ile mógł, od wszelkich innych czynności, — nawet do zamykania sklepu zabierał sie bardzo niechętnie.

Pan Bumble uderzył kilka razy laską o ladę w sklepie, lecz to nie zwróciło niczyjej uwagi. Pan Bumble spostrzegłszy nikłe światło, sączące się przez okienko małej izdebki, położonej w tyle zakładu, postanowił zajrzeć, co się tam dzieje. Zobaczył też coś, co zdziwiło go mocno.

Stół był nakryty do wieczerzy; znajdowało się na nim masło, chleb, talerze, szklanki, dzbanek z piwem i butelka wina.

Na ostatniem miejscu siedział Noe Claypole, wygodnie rozparty w krześle, jedną nogą przewieszoną przez poręcz, z nożem w jednej, a kromką obficie nasmarowanego masłem chleba w drugiej ręce; tuż koło niego stała Karolina, wydobywając z małej beczułki ostrygi, które Noe Claypole raczył z nadzwyczajną chciwością pochłaniać.

Nieco większa niż zwykle czerwoność nosa tego młodego jegomościa oraz mgliste spojrzenie jego oczu wskazywały na to, że był on już do pewnego stopnia pijany. Przypuszczenie to potwierdzało skwapliwość, z jaką pochłaniał ostrygi jedną za drugą, którą to skwapliwość możnaby sobie jedynie wytłomaczyć chłodzącemi właściwościami ostryg i zastosowaniem ich wskutek tego do uśmierzenia wewnętrznej gorączki.

— Patrzaj Noe, jaka tłuściutka... — zachęcała Karolina. — Spróbuj tę jedną jeszcze, tylko tę ostatnią.

— Ostrygi są istotnie bardzo smaczne — zauważył Noe, połknąwszy jedną z nich z upodobaniem. — Jaka szkoda, że się człowiekowi robi niedobrze, gdy zje ich za wiele, nieprawdaż, Karolino?

— Okrutna szkoda — potwierdziła dziewczyna.

— Tak jest — zgodził się Noe Claypole. — A ty nie lubisz ostryg?

— Niebardzo! — odpowiedziała Karolina. — Wolę patrzeć, jak ty je połykasz, drogi Noe; to mi więcej sprawia przyjemności.

— Hm... to śmieszne! — zawołał Noe po namyśle.

— Oto jeszcze jedna — rzekła Karolina. — Patrzaj jaką ma ładną, delikatną bródkę!

— Już więcej nie mogę — odpowiedział Noe. — Żałuję bardzo, ale nie mogę! Karolino, chodź do mnie, niech cię pocałuję!

— Co? — zawołał Bumble, wpadając do izby. — Powtórz to jeszcze raz!

Karolina wrzasnęła i zakryła twarz fartuchem, Noe zaś, zmieniwszy o tyle tylko swoją pozycję, że nogę z poręczy krzesła zsunął na ziemię, spoglądał na woźnego z osłupieniem pijanego człowieka.

— Powtórz to jeszcze raz, niegodziwy, bezczelny chłopcze! — wołał Bumble. — Jak śmiesz coś podobnego mówić, co? A ty, jak śmiesz na takie rzeczy mu pozwalać, ty bezwstydna dziewczyno? Całować ją!... Całować! — powtarzał pan Bumble z najwyższem uniesieniem. — Pfuj.

— Ja nie chciałem tego robić! — tłomaczył się Noe z płaczem — ona mię zawsze całuje, czy chcę, czy nie chcę.

— O Noe! — wyszeptała Karolina z wyrzutem.

— Ona zawsze to robi, panie Bumble! — zapewniał Noe — tak jest, ty zawsze to robisz!... Ona mnie głaszcze po brodzie i pieści się ze mną na wszystkie sposoby.

— Milcz! — krzyknął Bumble surowo. — Ruszaj natychmiast do kuchni, moja pani! A ty, Noe, zamknij skład i czekaj na pana; gdy twój pan wróci, powiedz mu, że pan Bumble był tutaj i kazał mu powiedzieć, żeby jutro rano przyszedł do zakładu i wziął miarę na trumnę dla zmarłej starej kobiety... Czyś słyszał?...

Odsapnąwszy, pan Bumble wzniósł ręce do góry i dodał:

— Całować! Słyszane to rzeczy?! Zepsucie i zgorszenie niższych klas ludności tej gminy wzrasta w sposób przerażający. Jeżeli Parlament nie zajmie się temi sprawami, to kraj niewątpliwie zginie.

To rzekłszy, woźny opuścił skład pana Sowerberry z uroczystą powagą i ponurym wyrazem twarzy. A teraz, gdy doprowadziliśmy go już tak daleko na drodze do domu i uczyniliśmy wszelkie potrzebne przygotowywania do pogrzebu staruszki — powróćmy do Oliwera Twista i pójdźmy przekonać się, czy w dalszym ciągu spoczywa on w tym rowie, w którym zostawił go Tobjasz Crackit.

Rozdział dwudziesty ósmy

śledzi Oliwera i odnosi się do jego przygód.

— Żeby wam wilki gardła rozszarpały! — mruknął Sikes, zgrzytając zębami. — Gdybym był teraz pomiędzy wami, zamknąłbym wam gęby w jednej chwili...

Wyrzekłszy to przekleństwo z zajadłością rozbestwionego okrutnika, Sikes położył na chwilę rannego

Oliwera na swem zgiętem kolanie i spojrzał w stronę nadciągającego pościgu.

Z powodu mgły i ciemności trudno były cośkolwiek bądź rozpoznać; słychać było natomiast na wszystkie strony głosy ludzi, wołających o pomoc, szczekanie psów okolicznych, zbudzonych dźwiękiem alarmowego dzwonu.

— Stój, przeklęty tchórzu, serce zajęcze! — wołał Sikes za uciekającym Tobjaszem Crackit, który, korzystając z długości swoich nóg, wyprzedził go znacznie — stój!

Nawoływania te skłoniły nareszcie Tobjasza do wstrzymania biegu, tem bardziej, że nie był zupełnie pewny, czy wymknął się już poza odległość strzału, a wiedział o tem dobrze, że Sikes nie lubi żartować.

— Pomóż mi nieść tego chłopca! — krzyknął Sikes, kiwając z wściekłością na towarzysza. — Wróć się natychmiast!

Tobjasz udał, że wraca, ale odważył się wyrazić swoje niezadowolenie głosem urywanym z powodu braku tchu.

— Prędzej — wołał Sikes, kładąc chłopca w głębokim suchym rowie u swoich nóg i wydobywając z kieszeni pistolet. — Nie graj ze mną głupich komedyj!

W tej chwili wzmogła się wrzawa pogoni. Sikes, obejrzawszy się za siebie, spostrzegł wyraźnie kilka postaci, wdzierających się na płot, aby dostać się na pole, które było miejscem ich postoju; kilka psów wyprzedzało goniących.

— Teraz już wszystko stracone, Billu! — zawołał Tobjasz; zostaw chłopca na ziemi, a sam zmykaj, jak możesz najprędzej!

Udzieliwszy towarzyszowi tej dobrej rady, Crackit wolał narazić się na ewentualność strzału ze strony przyjaciela, niż na pewność, dostania się w ręce nie-

przyjaciół. Odwrócił się też i zaczął zmykać, ile mu tylko sił starczyło.

Sikes zacisnął zęby, rzucił okiem dokoła, okrył śpiesznie Oliwera tym samym płaszczem, którym okryli go przedtem, pobiegł szybko wzdłuż płotu, chcąc widocznie zmylić pogoń i odwieść ją od tego miejsca, gdzie leżał Oliwer, zatrzymał się potem na chwilę koło drugiego płotu, przecinającego pierwszy pod kątem prostym, wywinął pistoletem wysoko w powietrzu, wypalił z niego, skacząc przez płot i znikł w ciemnościach.

— Tu, tu, tu! Pinczer! Neptun! Do nogi... — wołał za nim drżący głos. — Tu Pinczer! Neptun!... Do nogi.

Psy, które, równie jak ich panowie, nie zdawały się okazywać wielkiej ochoty do tego rodzaju polowania, usłuchały rozkazu natychmiast. Niebawem zarysowały się postacie trzech mężczyzn, którzy zatrzymali się w pewnem oddaleniu dla odbycia wspólnej narady.

— Sądzę — odezwał się najgrubszy z trzech mężczyzn — to jest właściwie uważam za konieczne, żebyśmy natychmiast wrócili do domu.

— Zgóry pochwalam wszystko, co pan Giles uważa za potrzebne — odparł drugi cokolwiek niższy; musiał mieć zapewne twarz mocno pobladłą, przyczem był niewątpliwie człowiekiem bardzo grzecznym, takim, jakimi bywają często ludzie wystraszeni.

— Nie będę się wam sprzeciwiał — dodał trzeci, ten sam, który psy odwołał. — Jestem na to zbyt dobrze wychowany. Pan Giles wie o tem.

— Zapewne, zapewne — potwierdził niski jegomość — nie należy do nas sprzeciwiać się życzeniom pana Giles. Tak, wiem, gdzie jest moje właściwe miejsce i Bogu dzięki wiem, jak się na mojem miejscu należy zachowywać.

Jegomość ten musiał rzeczywiście znać dobrze swoje miejsce i o tem również musiał dobrze wiedzieć, iż nie było ono w tej chwili do pozazdroszczenia, gdyż dzwonił zębami.

— Jak widzę, masz stracha, Brittles — rzekł Giles.

— Wcale nie — zaprzeczył Brittles.

— Owszem, masz stracha — powtórzył Giles.

— Pan jest zdrajcą, panie Giles — rzekł Brittles.

— A ty jesteś kłamcą, Brittles — zawołał pan Giles.

Sprzeczkę wywołała złośliwa uwaga Gilesa, złośliwą uwagę zaś spowodowało oburzenie Gilesa na to, że całą odpowiedzialność za bezowocny powrót z pościgu do domu chciano zwalić na jego barki, tłomacząc się jednocześnie względami grzeczności pod jego adresem.

Trzeci pan zakończył dysputę w sposób najbardziej filozoficzny:

— Moi panowie, tu niema o co się kłócić... wszyscy trzej jesteśmy przerażeni.

— Niech każdy odpowiada tylko za siebie — burknął pan Giles, choć był najbardziej blady z całej paczki.

— Trzymam się zawsze tej zasady — odpowiedział trzeci jegomość. — To rzecz bardzo naturalna, że w podobnych okolicznościach człowiek jest przerażony. Ja jestem przerażony.

— Ja również — przyznał się Brittles — tylko, że to jakoś nie wypada stwierdzać coś podobnego tak wyraźnie.

To szczere wyznanie uspokoiło nieco pana Giles, który wkońcu przyznał się także do bojaźni. Postawiwszy kwestję jasno, wszyscy trzej zawrócili i w największej zgodzie zaczęli uciekać do domu. Pan Giles, uzbrojony w ciężkie widły, zmęczył się

najprędzej; użył więc całej swej wymowy, aby skłonić towarzystwo do postoju.

— Jednak to rzecz dziwna, do czego człowiek staje się zdolny, gdy krew w nim się wzburzy. Co do mnie, popełniłbym z pewnością zabójstwo, gdybym był dostał którego z tych łotrów w swoje ręce.

Okazało się, że i towarzysze pana Giles zupełnie tak samo byli usposobieni, ponieważ zaś teraz już się wszyscy trzej uspokoili, zaczęli przeto rozważać, co wpłynęło na zmianę ich usposobienia.

— Wiem — zawołał nagle pan Giles. — Przyczyna leży w płocie.

— Wcalebym się nie dziwił, gdyby istotnie tak było — zgodził się Brittlis skwapliwie.

— Możecie być pewni — ciągnął dalej Giles — że to płot ostudził nasze oburzenie. Czułem wyraźnie, jak ono mię opuszczało, gdym się na płot gramolił.

Szczególnym zbiegiem okoliczności, obaj jego towarzysze doznali w tej samej chwili tego samego uczucia. Stało się więc ostatecznie jasnem, że płot odegrał najważniejszą rolę, tem bardziej, gdy przypomnieli sobie jeszcze, że zmiana w ich usposobieniu dokonała się w chwili spotkania przy nim oko w oko ze złoczyńcami.

Powyższą rozmowę prowadzili dwaj jegomoście, którzy pierwsi złapali bandytów na gorącym uczynku, oraz wędrowny druciarz, który spał sobie w oficynie i którego, wraz z dwoma brytanami wezwano do pościgu za złoczyńcami.

Pan Giles działał tu w podwójnym charakterze: jako piwniczy oraz jako zarządca odosobnionego domu sądziwej staruszki; Bruttles zaś jako służący do wszystkiego tejże staruszki, u której pozostawał od dzieciństwa i przez którą uważany był zawsze

za „chłopca wiele obiecującego“, choć skończył szczęśliwie lat trzydzieści.

Trójka, rejterując z bezowocnego pościgu, dodawała sobie wzajem odwagi rozmową, którąśmy wyżej przytoczyli, nie mogła się jednak pozbyć trwogi, tuliła się do siebie i rzucała dokoła wystraszone spojrzenia. Najmniejszy szmer, nawet szelest gałęzi, poruszonych wiatrem, wprawiał ją w przerażenie i skłaniał do przyspieszania kroku. Tak dotarli do drzewa, pod którem zastawili latarnię z obawy, aby światło jej nie wskazywało bandytom kierunku, w jakim mają strzelać.

Zabrawszy latarnię, pospieszyli do domu jeszcze prędzej, niż przedtem. Wkrótce też zarysy ich postaci rozpłynęły się w ciemnościach nocy, tylko światło latarni długo jeszcze migotało wśród mroku, lecz i ono wkrótce znikło.

Im bliżej było świtu, tem chłód stawał się większy; nad ziemią sunęła mgła, niby gęsta chmura dymu. Łąki były mokre, woda stała na drogach i ścieżkach, a wilgotny, duszny wiatr dął ociężale ze stłumionym pomrukiem.

Nakoniec zaświtał dzień. Zimno przenikało do kości, gdy na niebie zajaśniały pierwsze słabe odcienie zorzy, towarzyszące raczej śmierci nocy, niż narodzinom dnia.

Przedmioty, które wśród nocnej ciemności wyglądały ponuro i mglisto, zarysowywały się teraz coraz wyraźniej i przybierały swoje właściwe kształty. Zaczął padać gęsty deszcz i szeleścił w krzakach, pozbawionych jeszcze liści.

Oliwer nie czuł deszczu; leżał wciąż na rozmiękłej ziemi nieruchomy, opuszczony, nieprzytomny...

Naraz słaby, bolesny jęk przerwał ciszę zalegającą dokoła; wydarł się on z piersi chłopca, który ocknął się wreszcie. Jego lewa ręka, owinięta szalem,

zwisała bezwładnie, cały szal był krwią przesiąknięty,

Oliwer tak był osłabiony, że z wielką trudnością zdołał się podnieść i usiąść; gdy tego dokonał, rozejrzał się dokoła, upatrując jakiejś ludzkiej istoty, do której mógłby się zwrócić z prożbą o ratunek. Wciąż jęczał z bólu, drżał z zimna i utraty krwi; chciał wstać, ale wstrząsnąwszy się od stóp do głowy, upadł znowu i zemdlał.

Po przyjściu do przytomności Oliwer uświadomił sobie, że umrze niechybnie, jeżeli dłużej zostanie w tem miejscu. Wstał więc i wytężywszy wszystkie siły, spróbował iść przed siebie.

Głowa ciężyła mu jak ołów, słaniał się na wszystkie strony, jak pijany, to wlókł się powoli, z pochyloną głową, sam nie wiedząc, dokąd.

W głowie czuł zamęt: snuły się w niej różnorodne myśli i obrazy.

To zdawało mu się, że idzie pomiędzy Billem i Tobjaszem Crackit, którzy kłócą się ze sobą tak głośno, iż słyszy wyraźnie ich słowa, a nawet sam z nimi rozmawia. To znów miał przywidzenie, że jest sam na sam z Billem, który go wlecze za sobą, jak wczoraj, i czuje wyraźnie silny uścisk jego żelaznej dłoni.

Nagle przystanął, gdyż wydało mu się, że słyszy wystrzał pistoletu, głośne okrzyki i hałasy; jakieś światła zamigotały mu w oczach, wrzawa, dolatywała zewsząd, i niewidziane ręce unosiły go w niewiadomym kierunku.

Wśród tych przywidzeń, które snuły się nadzwyczaj szybko, Oliwer doznawał nieokreślonego, przejmującego uczucia bólu, który nie ustępował ani na chwilę.

Tak oto wlókł się przed siebie, pełznąc przez przełazy w płotach, napotykanych po drodze, aż wreszcie znalazł się na gościńcu. Deszcz właśnie za-

czął padać tak rzęsisty, że Oliwer odzyskał przytomność.

Rozejrzawszy się dokoła, spostrzegł w niejakiej odległości dom, do którego przecież mógłby się ostatecznie dowlec. Pomyślał, że mieszkańcy domu ulitują się, gdy zobaczą go w tym stanie, a gdyby i ta nadzieja zawiodła, to w każdym razie będzie wolał umrzeć w pobliżu ludzi, niż wśród pustkowia.

Zebrał zatem resztę sił i powlókł się ku owemu domowi.

W miarę, jak zbliżał się do tego budynku, nabierał przekonania, że widział go już kiedyś; nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to było i wśród jakich okoliczności, lecz był pewny, że dom ten jest mu znany.

Mur ogrodowy!... Na trawniku, znajdującym się poza murem klęczał tej nocy i błagał złoczyńców o łaskę! To ten sam dom, który zamierzali obrabować.

Kiedy poznał to miejsce, taki strach go opanował, że na chwilę zapomniał o swojej ranie, a myślał jedynie o ucieczce.

Ucieczka... Ledwie na nogach może się utrzymać; a gdyby nawet posiadał pełnię sił młodocianych — to dokąd miał uciekać?

Oparł się o drzwiczki od ogrodu: nie były zamknięte i otworzyły się natychmiast. Powlókł się przez trawnik, wszedł po schodach i zapukał nieśmiało do drzwi... W tej chwili siły go opuściły, stracił przytomność i padł zemdlony na ganku.

Wtedy właśnie Giles, Brittles i druciarz pokrzepiali się w kuchni po przygodach i wrażeniach minionej nocy.

Giles nie miał wprawdzie zwyczaju dopuszczać do zbytniej ze sobą poufałości niższą służbę domową; zawsze obchodził się z nią łaskawie, lecz z pewną re-

zerwą, która miała jej stale przypominać jego wyższe stanowisko społeczne. Lecz śmierć, pożar, rabunek — zacierają różnicę, istniejące między ludźmi.

Giles siedział tedy w kuchni, z nogami wyciągniętemi przed siebie; lewą rękę wsparł na stole, a prawą ilustrował bardzo wyczerpujące opowiadanie o zbrodniczym zamachu, którego to opowiadania cała służba, słuchała z zapartym oddechem, zwłaszcza kucharz i pokojówka, którzy brali czynny udział w obronie.

— Około trzeciej nad ranem, a może trochę później, nie mogę na to przysiąc — mówił Giles — obudziłem się, i obróciłem na łóżku, ot tak — tu Giles wykręcił się na krześle i nakrył głowę końcem obrusa, wyobrażającego w danym momencie kołdrę — naraz zdaje mi się, że słyszę jakiś szelest...

W tym punkcie opowiadania kucharka nagle zbladła i kazała pokojówce zamknąć drzwi od kuchni, pokojówka poleciła uczynić to Brittlesowi, ten znów przekazał polecenie druciarzowi, a druciarz udał, że nie słyszy.

— Słyszę jakiś szelest — mówił dalej Giles. — Z początku mówię sobie: „przywidzenie"... i zabieram się do spania. Ale znów słyszę szelest, tym razem wyraźny.

— Jaki to był hałas? — spytała kucharka.

— Taki, jakby ktoś coś wyłamywał — odpowiedział Giles, potoczywszy okiem po wszystkich.

— Prędzej jakby ktoś pilnikiem przesuwał po żelazie — wtrącił Brittles.

— To ty usłyszałeś ten odgłos później — sprostował Giles — ale z początku szmer przypominał trzeszczenie lub coś podobnego. Odrzucam spiesznie kołdrę — ciągnął Giles, odwijając obrus na stole — siadam na łóżku i słucham...

— Boże miłosierny! — krzyknęły jednocześnie kucharka i pokojówka, przesuwając się z krzesłami do siebie.

— Wtedy już ten szelest słyszałem bardzo dokładnie — odpowiadał Giles. — Ktoś — mówię sobie — chce wysadzić drzwi albo okno... co tu robić? Trzeba będzie obudzić tego biednego chłopca, Brittlesa, żeby nie zamordowano go w łóżku; gotowi mu — tak sobie myślałem — gardło od ucha do ucha poderżnąć, a on nawet nie będzie wiedział kiedy to się stało!

Tutaj spojrzenia wszystkich zwróciły się na Brittlesa, który wlepił swoje oczy w mówiącego i patrzył na niego z szeroko rozwartemi ustami, z twarzą, na której malowało się niewypowiedziane przerażenie.

— Odrzucam kołdrę — ciągnął Giles, pastwiąc się nad obrusem i spoglądając twardo na kucharkę i służące — wyłażę pocichutku z łóżka... wdziewam parę.

— Panie Giles! Kobiety... — wtrącił druciarz.

— Wdziewam buty — powtórzył Giles, zwracając się do niego i wymawiając wyraz buty z wielkim naciskiem — chwytam nabity pistolet, który codziennie wieczorem wynoszę na górę wraz ze srebrem, i udaję się na palcach do jego pokoju. — „Brittles“ — mówię do niego, gdym go obudził — „tylko się nie przelęknij!“

— Wszystko prawda — potwierdził Brittles zcicha.

— „Brittles“ — mówię do niego — „mnie się zdaje, żeśmy zgubieni — nie bój się jednak!“

— Czy bardzo się przeląkł? — zapytała kucharka.

— Ani trochę — zapewnił Giles. — Tak był śmiały... tak śmiały — prawie, jak ja.

— Gdyby to mnie było spotkało, tobym była natychmiast ze strachu umarła... — szepnęła pokojówka.

— Bo jesteś kobietą — wtrącił Brittles, pusząc się lekko.

— Brittles ma rację — potwierdził Giles, skinąwszy głową na znak uznania — od kobiety niczego więcej nie można się spodziewać. My zaś, ponieważ jesteśmy mężczyznami, myśmy pochwycili natychmiast latarnię, którą Brittles zawsze ma przy sobie, i zeszliśmy z nią po schodach na dół, jak przystało mężczyznom.

Pan Giles wstał z krzesła i postąpił parę kroków z zamkniętemi oczyma, aby odpowiednim ruchem objaśnić dosadniej swoje opowiadanie. Naraz zadrżał gwałtownie, łącznie z całem towarzystwem, i przypadł z powrotem do krzesła.

Kucharka i pokojówka krzyknęły.

— Ktoś puka — rzekł po chwili Giles, odzyskawszy spokój — niechaj kto drzwi otworzy!

Nikt się nie ruszył.

— Dobijanie się do drzwi o tak wczesnej porze, jest w samej rzeczy wypadkiem szczególnym — zauważył Giles, spoglądając na wybladłe twarze otaczającej go gromadki, trzeba przytem dodać, że i jego oblicze było również blade, jak chusta — ale drzwi trzeba koniecznie otworzyć. Czyście słyszeli?

Giles, mówiąc to, spoglądał na Brittlesa, ale Brittles, jako skromna jednostka, uważał prawdopodobnie siebie za „nikogo“ i osądził, że wezwanie Gilesa nie mogło odnosić się do jego osoby, i na wszelki wypadek nie kwapił się z odpowiedzią.

Giles rzucił z kolei spojrzenie na druciarza, ale ten nagle zasnął.

— Jeżeli Brittles woli otworzyć drzwi w obecności świadków, to mogę mu służyć za świadka — odezwał się Giles po chwili milczenia.

— I ja również! — zawołał druciarz, budząc się tak samo niespodziewanie, jak niespodziewanie zasnął przed chwilą.

Brittles nie protestował.

Otworzono naprzód okiennice, a gdy się przekonano, że już dobrze rozedniało, nabrano pewnej odwagi. Jakoż cała gromada, z psami na czele i z kobietami w odwodzie — gdyż niewiasty nie chciały pozostać same w kuchni — udała się po schodach na korytarz.

Stosownie do mądrej rady Gilesa, całe towarzystwo rozmawiało jak najgłośniej, aby wcześnie ostrzec ową zagadkową osobistość, która dobijała się do domu, że, w razie złych zamiarów z jej strony, znajdzie tu liczny odpór. Również z porady doświadczonego Gilesa szarpano psy za ogony, aby skłonić zwierzęta do zajadlejszego ujadania.

Zastosowawszy te wszystkie środki ostrożności, Giles, trzymając mocno druciarza za rękę — niby dlatego, żeby w stanowczej chwili nie uciekł — polecił Brittlesowi drzwi otworzyć.

Brittles spełnił rozkaz, gdy zaś otworzył drzwi, szanowne grono, spoglądając trwożliwie jedno przez ramię drugiego, ujrzało zamiast całej bandy rozbójników, małego chłopca, który bez słów, oczyma pełnemi łez, błagał ich wymownie o litość.

— Chłopiec! — zawołał pan Giles, odpychając gwałtownie druciarza. — Co to ma znaczyć?

— Brittles, spojrzyj... czy nie poznajesz go?

Brittles wychylił głowę z za skrzydła drzwi, i wrzasnął przeraźliwie; tymczasem Giles, chwyciwszy Oliwera za jedną rękę, i za jedną rękę (szczęśli-

wie nie za złamaną) wciągnął go śpiesznie do sieni i ułożył na podłodze.

— Oto jest! — wrzeszczał na całe gardło, podniósłszy głowę w górę, ku schodom — oto jeden z rabusiów, proszę pani, jeden z tych łotrów... Panienko, oto jest... złodziej... Raniony... To ja, ja go raniłem, panienko, a Brittles przyświecał...

— Latarnią, proszę panienki! — dodał Brittles, przykładając rękę do ust, aby krzyk jego lepiej było słychać.

Służące pobiegły tymczasem na górę zawiadomić panią, że Giles schwytał rabusia; druciarz zajął się Oliwerem i cucił go gorliwie, nie chcąc dopuścić, aby chłopiec umarł, zanim go osądzą i powieszą.

Wśród tego wrzasku i rwetesu, rozległ się nagle dźwięczny głos kobiety, który wszystko uciszył.

— Giles! — mówił głos z górnych schodów.

— Jestem tutaj, panienko, jestem... Niech się panienka nie obawia... niebardzo mię poturbowano... on nawet nie stawiał oporu. Nie mógł nawet stawiać, bo miał nas wszystkich przeciwko sobie...

— Ależ cicho, Giles — przerwała mu panienka — wystraszysz ciocię jeszcze bardziej, niż złodzieje. Czy ten biedny człowiek jest bardzo ranny?

— Bardzo niebezpiecznie, panienko! — odparł Giles triumfająco.

— On tak wygląda, jekby się już na tamten świat chciał wynieść! — zawołał Brittles w ten sam sposób, jak przedtem. — A możeby panienka była tak łaskawa i zeszła na chwilkę, żeby mu się przypatrzeć na wypadek, gdyby...

— Cicho, na miłość Bożą! Proszę was, nie róbcie takiego hałasu, moi kochani — upomniała znów panienka. — Poczekajcie chwilkę, tylko rozmówię się z ciocią.

Pobiegła do pokoju, skąd niebawem wróciła, przynosząc polecenie, aby Oliwera zaniesiono jak najtroskliwiej na górę do izby Gilesa. Brittles zaś miał natychmiast okulbaczyć konia i udać się do Chertsey i sprowadzić lekarza oraz agenta policyjnego.

— Czy panienka nie chce go przedtem zobaczyc? — spytał Giles z taką dumą, jak gdyby Oliwer był jakimś niezwykle upierzonym ptakiem, którego on ze zdumiewającą zręcznością upolował. — Niech panienka chociaż okiem rzuci na niego...

— Nie teraz, za nic w świecie! — odpowiedziała panienka. — Biedny człowiek! Obchodźcie się z nim jak najlepiej, Giles, proszę was, uczyńcie to dla mnie.

Stary sługa spojrzał na oddalającą się dzieweczkę z taką dumą i uwielbieniem, jak gdyby ona była jego dzieckiem. Następnie nachylił się nad Oliwerem i przy pomocy jednej z kobiet przeniósł go po schodach na górę, zachowując przytem wszelką ostrożność i pieczołowitość.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

OLIVER
TWIST
I

DICKENS